



SHELLEY COOPER



Wymarzony ojciec

ROZDZIAŁ 1

Brady Ross był pewien trzech rzeczy.

Po pierwsze, że w razie potrzeby może się obejść bez seksu.

Po drugie, że 99,9 procent mężczyzn - oraz kobiet - interesuje wyłącznie pogoń za własnym szczęściem i biada temu, kto nieopatrznie stanie im na drodze.

Po trzecie, że kiepski z niego materiał na ojca.

O pierwszym przekonał się, gdy przez trzy lata, siedem miesięcy i siedem dni trzymano go w niewoli w południowoamerykańskiej dżungli.

Śmieszne, o czym to człowiek nie myśli, siedząc w celi niespełna metr na półtora i nie mając nic do roboty. Brady spędził niezliczone godziny na przywoływaniu w pamięci rzeczy, których brakowało mu najbardziej: ciepła kominka w chłodną zimową noc, czarnej kawy z rana, rześkiego powietrza po letnim deszczu. Seks bladł w porównaniu z rozkoszą, jaką pachniała wolność.

Brady już w dzieciństwie, dzięki licznym lekcjom, poznał prawdziwą ludzką naturę. Ojciec odszedł od matki, zanim Brady się urodził. Matka porzuciła go, gdy miał trzy lata.

Tułał się po rodzinach zastępczych aż do trzynastego roku życia. Poza pięcioma zbyt krótkimi latami, które spędził jako adoptowany syn ze wspianiałym i troskliwym człowiekiem, nie zaznał w dzieciństwie miłości. I nic z tego, czego doświadczył jako dorosły, nie zmieniło jego głębokiego przekonania, że człowiek jest z natury jednostką egoistyczną, obojętną na los innych i amoralną.

Zasada kierowania się w życiu raczej instynktem niż doświadczeniem stała się jego zaletą jako ojca. Ta rola wymagała jednak wielu zdolności, między innymi umiejętności troszczenia się o kogoś, a cechę tę Brady zatracił już dawno.

„Emocjonalnie trudny człowiek” - tak określiła go kobieta, z którą był związany tuż przed uwięzieniem. Inne mówiły podobnie: „Jesteś zamknięty w sobie”, „Nigdy nie wiem, o czym myślisz”, „Serca nie masz już od dawna, tylko nie dociera to do twojego umysłu”.

Ulubioną rozrywką ludzi, którzy go więzili, było dręczenie nieszczęśników nie umiejących ukryć swoich emocji. Brady tak doskonale wprowadził się w skrywanie uczuć, że zdobycie się na uśmiech kosztowało go wiele wysiłku. Stał się też emocjonalnie jeszcze trudniejszym człowiekiem.

No cóż, z pewnością nie nadawał się na ojca. Ale nic na świecie nie mogło zmienić faktu, że nim był, z czego jeszcze dwa tygodnie temu nie zdawał sobie w ogóle sprawy. Pewnego majowego poranka stanął na chodniku przed Centrum Dziecięcym imienia Melindy Dolan. Gdzieś tam w tym pospolitym budynku z czerwonej cegły znajdowała się jego córka, która niedługo miała skończyć trzy latka. Wystarczyło tylko wejść do środka.

Trudno było wyobrazić sobie bardziej niewłaściwy moment. Brady musiał się ponownie przystosować do świata, który zmienił się radykalnie w czasie jego nieobecności - niestety nie na korzyść. Musiał odnaleźć na nowo sens życia. Nie był pewien, czy poradzi sobie z ojcostwem w tej i tak już kłopotliwej sytuacji.

Choć pokusa była duża, nie potrafił tak po prostu odwrócić się na pięcie i odejść. Musiał pogodzić się z rzeczywistością. Honor i poczucie obowiązku - dla większości ludzi pojęcia śmiechu warte - były dla niego najważniejsze. Przez całe lata z oddaniem służył swojej ojczyźnie. Jak więc mógłby uchylić się od obowiązku wobec swojego dziecka? W żadnym wypadku nie wyrzekłby się córki, tak jak rodzice wyrzekli się jego.

Wyprostował się dumnie i ruszył po ścieżce wiodącej do oszklonych drzwi wejściowych.

- Raz kozie śmierć - mruknął pod nosem. - Skoro już tu jesteś, Brady, nie pora się cofać.

Haven Adams z westchnieniem osunęła się na krzesło i odchyliwszy głowę do tyłu, przymknęła oczy. Cisza panująca w biurze działała kojąco na napięte mięśnie i rozstrojone nerwy.

- Pięć minut - wyszeptała - pięć minut spokoju i znów będę...

Przerwała w pół zdania, bo rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

- ...gotowa podołać wszystkiemu - dokończyła, tłumiąc jęk.

Mogła mieć tylko nadzieję, że to nie Chad, jedno z najtrudniejszych dzieci, jakie miała pod opieką. W ciągu ostatniej godziny wzywano ją aż dwukrotnie do jego grupy i jej cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę

Ponownie rozległo się pukanie, teraz bardziej natarczywe. Haven wzięła głęboki oddech. Choć bardzo lubiła swoją pracę i nie wyobrażała sobie, iż mogłaby robić cokolwiek innego, bywały dni, że wolałaby w ogóle nie wstawać z łóżka. Najwyraźniej właśnie dzisiaj był taki dzień.

Przyglądziła niesforne włosy, starając się ułożyć twarz w zawodowo życziwy uśmiech.

- Proszę - powiedziała.

W drzwiach ukazał się wysoki, szczupły mężczyzna nieco po trzydziestce. Długie do ramion jasnoblonde włosy okalały twarz o nordyckich rysach. Szare oczy o stalowym odcieniu obiegały badawczo małe pomieszczenie, w którym panował spory bałagan, po czym zwróciły się ku Haven. Ten kompletnie pozbawiony emocji wzrok powinien ją przeszyć do szpiku kości - tymczasem Haven poczuła wzbierającą gdzieś w żołądku falę ciepła.

- Czym mogę panu służyć? - spytała, unosząc się z krzesła.

- Szukam pani Haven Adams.

Nie odwzajemnił jej uśmiechu, więc poczuła się nieco zbita z tropu.

- Ma ją pan przed sobą.

Obserwując, jak mężczyzna zbliża się do biurka, dostrzegła, że lekko utyka i że jest zbyt szczupły, nieomal wychudzony, pomimo szerokich ramion i umięśnionej klatki piersiowej. Poza tym był tak blady, że nie można było tego w

żaden sposób złożyć na karb tegorocznej, wyjątkowo srogiej zimy. Mimo to z całej jego postaci promieniowała jakaś siła, której nie sposób było zignorować.

- Nazywam się Brady Ross - oznajmił takim tonem, jakby spodziewał się, że Haven powinna znać jego nazwisko. Ale nic jej nie mówiło.

Sięgała mu zaledwie do ramion, musiała więc unieść głowę, by lepiej mu się przyjrzeć. Miał w sobie coś intrygującego. Ku własnemu zaskoczeniu nagle pomyślała, że mogłaby się mu godzinami przyglądać, gdy śpi. Od dawna nikt nie wywarł na niej takiego wrażenia.

Zaprzagnęła nagle, żeby usiadł. Nie czułaby się wtedy tak nieswojo i może udałoby się jej zebrać myśli.

- Proszę, niech pan siada - powiedziała, wskazując krzesło naprzeciwko biurka.

- Przyszedłem w sprawie córki - oświadczył, sadowiac się wygodnie.

Haven była dumna z tego, że znała na pamięć imiona i nazwiska wszystkich swoich dwustu podopiecznych. Nie było wśród nich dziewczynki o nazwisku Ross, ale oczywiście o niczym to nie świadczyło.

- Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, jak nazywa się pańska córka?

- Dolan. Anna Dolan... - Zawiesił głos i dodał po chwili: - Zdaje się, że jest pod pani kuratelą.

Wyraźnie oczekiwał, że wyprowadzi ją to z równowagi. I być może tak by się stało, gdyby nie fakt, że Haven znalazła się w podobnej sytuacji nie po raz pierwszy.

O, nie. Kolejny kandydat na ojca, pomyślała z niechęcią. Rozczarował ją. Stanowczo mógłby zdobyć się na coś lepszego.

Opadła na oparcie fotela i splotła ręce. Ze wszystkich spraw, z jakimi przypadło jej zmierzyć się tego ranka, ta wydała się najłatwiejsza.

- Spóźnił się pan - powiedziała. Mężczyzna zamrugał oczami ze zdumienia.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Pana konkurenci byli u mnie kilka tygodni temu.

Uniósł brew.

- Moi konkurenci...?

Dobry był. Bardzo dobry! Doza dociekliwości ze szczyptą zmieszania - wszystko w odpowiedniej proporcji. Haven oceniła jego umiejętność zwodzenia na piątkę. Wyraźnie wyróżniał się wśród rzeszy mężczyzn, którzy trafiali do jej biurka. Nie tylko wyglądem wikinga, ale również tym, że nie pachniał tanią wodą kolońską i nie robił wrażenia kogoś interesownego, tak jak inni.

- No właśnie - przytaknęła - Wszyscy inni ojcowie Anny. Ściągnęli tu sznurem po przeczytaniu artykułu w „Post-Gazette”.

Gdy Haven zobaczyła ten artykuł, uświadomiła sobie, że będzie miała kłopoty. Jego tematem był przemysł stalowy i zasługi trzech rodów, które przyczyniły się do tego, że stal z Pittsburgha stała się produktem numer jeden. Dolanów uznano za najbardziej prominentnych przedstawicieli tej branży.

Redaktor nie omieszkiał wspomnieć, że poza cioteczną babką Anna jest jedyną żyjącą spadkobierczynią. Co prawda, fortunę Dolanów nadszarpnęło nieco załamanie się popytu na stal na początku lat osiemdziesiątych, ale mimo to Anna była nadal bardzo bogatą dziewczynką. Dziennikarz wspomniał również o Haven, jako o opiekunce małej, i o Centrum Dziecka. Nie omieszkiał też dodać, że tożsamość ojca dziecka jest nieznana.

Zwłaszcza dwie ostatnie „rewelacje” wywołały u Haven koszmarne sny. Przyjaźniąc się z matką Anny, zrozumiała bowiem, że istnieją ludzie gotowi zrobić wszystko, by przywłaszczyć sobie pieniądze innych. Nieraz wspierała Melinę, gdy pojawiał się taki oszust.

Po ukazaniu się artykułu spodziewała się najgorszego. I tak też się stało. Od dnia, w którym się ukazał, Centrum zalała fala mężczyzn udających ojców Anny. Po tygodniu napływali wciąż wartkim strumieniem, ale po dwóch - już tylko leniwą strużką. Po trzech tygodniach sprawa całkowicie ucichła.

Odprawianie tych wszystkich cwaniaków było przykre i deprymujące. Okazało się jednak, że zadziwiająco łatwo dają się zdemaskować. Wystarczyło kilka podstawowych pytań, między innymi prośba o wyrażenie zgody na test DNA, rozstrzygający o ojcostwie, i znikali jak zmyci.

Kiedy Haven sądziła, że pozbyła się już wszystkich „ojców” Anny, nagle pojawił się ten mężczyzna.

Brady Ross poprawił się na krześle, nie odrywając od niej wzroku. Założył nogę na nogę. Wyraźnie mu się nie spieszyło i nie miała złudzeń, że łatwo się go pozbędzie. W dodatku robił wrażenie rozbawionego.

- Musi mi pani wyjaśnić tę sprawę - powiedział. - Obawiam się, że nie czytałem owego słynnego artykułu.

Haven nie wierzyła mu.

- Trudno go było nie zauważyć, bo nawet reklamowano go na okładce jako atrakcję numeru. Poza tym zawierał mnóstwo informacji. O tym na przykład, że ojciec Anny nie został zidentyfikowany. Dziennikarz rozwodził się też na temat wielkości spadku.

- Rozumiem. I pani myśli, że dlatego tu jestem.

- A nie? - spytała wyzywająco. Mężczyzna uśmiechnął się kpiąco.

- Nie jestem dzieckiem, panno Adams. Ton belfra nie robi na mnie wrażenia.

Rzeczywiście nie był dzieckiem, skonstatowała Haven. Był mężczyzną w każdym calu. I do tego bardzo interesującym. Drażniło ją, że czuje do niego słabość. Co gorsza, zachowywał się tak, jakby to ona była Bóg wie czemu winna, podczas gdy sam usiłował bezczelnie zagarnąć spadek dziewczynki.

- Chce pan powiedzieć, że nie znalazł się tutaj ze względu na pieniądze?

- Znalazłem się tutaj, ponieważ Anna Dolan jest moją córką.

- Czy ma pan na to jakiegokolwiek dowody? - spytała oschle.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni koszuli i wydobył z niej pomietą kartkę papieru. Rozprostował ją i położył na biurku.

- Mam to.

Była to fotokopia listu. Haven poczuła, że zapiera jej dech w piersiach na widok znajomego charakteru pisma. Niepewną ręką sięgnęła po kartkę, rozglądając się jednocześnie za okularami. Gdy znalazły się w końcu na jej nosie, odczytała powoli, słowo po słowie, list napisany przez matkę Anny:

Kochany Brady!

Nie jestem pewna, czy mnie pamiętasz, ale może powie ci coś data 13 sierpnia, która dla mnie znaczy bardzo wiele. Jestem kobietą, z którą byłeś tamtej nocy. Piszę do ciebie, ponieważ pragnę cię powiadomić, że będziesz ojcem. Nie oczekuję żadnego wsparcia, uważam jednak, że masz prawo o tym wiedzieć. Gdybyś zechciał uczestniczyć w jakikolwiek sposób w życiu swojego dziecka, proszę, skontaktuj się ze mną. Jeśli nie, nie będę miała do ciebie o to żadnych pretensji.

Melinda Dolan

Gdy skończyła czytać, poczuła, że drży na całym ciele, a jej serce bije jak młotem. W pierwszym odruchu chciała nakazać mężczyźnie, by wyszedł, ale nie sądziła, by to coś dało.

Przebiegła wzrokiem pokój, w którym spędziła tyle miłych chwil od momentu otwarcia Centrum Dziecka imienia Melindy Dolan, dwa lata temu. Na jednej ze ścian wisiał oprawiony w ramki dyplom i certyfikat oraz tablica z korka z tuzinem dziecięcych rysunków. Przy drugiej stał regał z książkami dotyczącymi wychowywania dzieci. Na biurku piętrzyła się sterta papierów, nad którą nie udawało jej się zapanować. Wszystko było znajome i swojskie.

Mimo to miała uczucie, jakby cały świat stanął nagle na głowie.

Mężczyzna powiedział:

- A więc musi pani przyznać, że jestem ojcem Anny.

Haven odłożyła na biurko okulary i kartkę. W tej chwili mogła przyznać jedynie, że niebo ma kolor błękitu.

- Zrobię to dopiero wtedy, gdy zobaczę oryginał - odparła.

Brady Ross skinął głową.

- Oczywiście, ale w odpowiednim towarzystwie - oświadczył, mając na myśli adwokata.

Haven nie sądziła, że kiedykolwiek znajdzie się w takiej sytuacji. Wielokrotnie podpytywała Melindę o kwestię ojcostwa, ale ta twierdziła uparcie, że sprawa nie istnieje.

- Ojciec Anny nie chce mieć z nią nic wspólnego - twierdziła stanowczo. - Nie martw się, nie będzie ci zawracać głowy.

Haven nie знаła jego tożsamości, bo Melinda nie podała jego nazwiska w akcie urodzenia. Każdemu ciekawskiemu odpowiadała, że to sprawa tylko jej dotycząca. Z szacunku dla przyjaciółki Haven nie naciskała, ale teraz żałowała własnej delikatności.

Dlaczego Melinda nie powiedziała jej nic o liście?

To musi być po prostu zwykłe fałszerstwo - doszła do wniosku. Melinda nie wspomniała słowem o liście, bo go nigdy nie napisała!

- Niezbędne będzie przeprowadzenie testu DNA - stwierdziła, usiłując ukryć wzburzenie.

- Oczywiście. Im prędzej wyjaśnimy tego typu sprawy, tym szybciej będę mógł poznać swoją córkę.

Haven zmroził strach. Mężczyzna był zbyt pewny siebie. Wszyscy inni pretendenci wycofywali się natychmiast, gdy tylko wspomniała o teście pozwalającym ustalić ojcostwo. Ale nie on. Albo miał żelazne nerwy, albo naprawdę wierzył, że jest ojcem Anny.

O Boże, czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czyżby miała stracić małą? Nie mogła w to uwierzyć. Anna była podarunkiem od Melindy, spełnieniem najskrytszych marzeń Haven.

Usiłowała zapanować nad uczuciem rosnącej paniki. Powinna za wszelką cenę zachować spokój. Chociażby ze względu na Annę.

W całej tej historii nie zgadzała się pewna rzecz. Chwyciła się jej jak ostatniej deski ratunku.

- Zgodnie z datą w nagłówku, Melinda napisała list, będąc mniej więcej w trzecim miesiącu ciąży. Było to, proszę pana... - Haven dokonała szybkiego obliczenia w myślach - ...ponad trzy i pół roku temu. Gdzie pan się podziewał, gdy Melinda była w ciąży? Gdy zachorowała i zmarła? Gdy urodziła się Anna?

Dostrzegła w jego oczach głęboki, zapiekły ból. Niemal natychmiast jednak przybrał maskę obojętności, tak że zastanawiała się, czy coś się jej przypadkiem nie przywidziało.

- To nie ma nic do rzeczy - oświadczył sucho.

- Sędzia może być odmiennego zdania - stwierdziła. - Mówi pan, że pragnie poznać swoją córkę. Dlaczego zjawia się pan dopiero teraz?

Brady Ross odparł z wyraźną niechęcią:

- Nic nie poradzę na to, że list Melindy dotarł do mnie dopiero dwa tygodnie temu.

- Chce pan powiedzieć, że poczta potrzebowała aż tyle czasu, żeby doręczyć panu list? - zapytała Haven z niedowierzaniem.

- Nie, doręczono go na czas.

- Przed chwilą powiedział pan, że otrzymał pan list dwa tygodnie temu.

- Zgadza się. Ale... przeprowadziłem się tuż przed tym, zanim wysłano do mnie ten list. Dotarł do mnie dopiero teraz.

Zabrzmiało to jak wymyślone na poczekaniu kłamstwo. Niemożliwe, żeby poczcie zajęło aż trzy i pół roku odnalezienie kogoś, kto, załóżmy, zapomniał zgłosić zmianę adresu. Najwyraźniej ten człowiek nie chciał powiedzieć, gdzie się w tym czasie podziewał. Ciekawe dlaczego?

Spojrzała na niego badawczo. Znow uderzyła ją bladość jego twarzy.

- Czyżby siedział pan w więzieniu? - zapytała.

Zaskoczył ją ponowny błysk w jego oczach. Tym razem dostrzegła w nim nie tylko ból, ale również podziw - i gotowa była przysiąc, że dla niej.

- Proszę się nie niepokoić. Nie siedziałem w więzieniu. Przynajmniej nie w takim, jakie pani ma na myśli. Zresztą nawet gdybym był kryminalistą, nie zmieniłoby to faktu, iż jestem ojcem Anny.

Haven poczuła, że ze strachu zaczynają jej drżeć kolana, na szczęście skryte pod biurkiem. Jeśli ten człowiek będzie w stanie udowodnić swoje ojcostwo, ona sama straci prawa do dziecka!

Anna, córka jej najlepszej przyjaciółki, słodka mała dziewczuszka, którą kochała bardziej niż samą siebie, znajdowała się w pokoju piętro wyżej. Czy ten mężczyzna zamierza wyrwać ją z bezpiecznego otoczenia i wziąć ze sobą?

Na Boga, nie może do tego dopuścić! Musi odkryć, czego naprawdę chce Brady Ross. Jeśli chodzi mu o pieniądze - co jest najbardziej prawdopodobne - może uda się znaleźć na niego jakiś sposób. Dostanie, ile zechce, nawet gdyby Haven zmuszona była pożyczyć je albo ukraść. Choć kochała Centrum Dziecka i swoją pracę, była gotowa w jednej chwili sprzedać wszystko, gdyby zmusiła ją do tego sytuacja.

- Ile pan chce? - spytała z determinacją.

- Nie rozumiem...

- Za ile zniknie pan stąd raz na zawsze? Zacisnął usta.

- Czy usiłuje mnie pani przekupić?

Jego głos brzmiał podejrzanie łagodnie. Haven poczuła, że przeszywa ją zimny dreszcz. Wyglądało na to, że Brady Ross będzie wyjątkowo trudnym przeciwnikiem. Powinna mieć się na baczności.

- Chcę jedynie dać panu do zrozumienia, że jeśli chodzi o pieniądze, powinniśmy się jakoś dogadać. W ten sposób ominęłaby pana kłopotliwa sprawa opieki nad małym dzieckiem.

Brady Ross zmrużył oczy i zapytał:

- Naprawdę uważa pani, że sprawowanie opieki nad moją córką to kłopotliwa sprawa?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła pospiesznie. - Opiekowanie się Anną to prawdziwa przyjemność.

Przygryzła wargi przestraszona, że się zdradziła. Jeśli ten człowiek odkryje, jak bardzo zależy jej na tym, aby zatrzymać Annę, może tak wyśrubować cenę, że nie będzie w stanie jej zapłacić.

- Wobec tego sądzę, że zajęcie się Anną również i mnie nie sprawi kłopotu - oświadczył z naciskiem.

- Chce pan powiedzieć, że nie interesują pana proponowane przeze mnie pieniądze?

- Chcę powiedzieć, że za żadne skarby świata nie wyrzeknę się córki.

- Każdy człowiek ma swoją cenę - stwierdziła Haven, wytrzymując przenikliwe spojrzenie mężczyzny.

- Czyżby?

Haven nie odpowiedziała.

- Pani jest gotowa zrobić wszystko, żeby zatrzymać dziecko, prawda?

Zaprzeczanie nie miało sensu.

- Tak - odparła, prostując się dumnie.

- Rozumiem. - Brady skinął głową z nie ukrywaną satysfakcją. - A więc miałem dobre informacje.

Haven spojrzała na niego zdziwiona.

- Jakie informacje?

- Zwróciłem się do prywatnego detektywa z prośbą o sprawdzenie pani przeszłości.

Oburzyło ją to.

- Śledził mnie pan?!

- Musiałem się dowiedzieć, kim jest osoba opiekująca się moją córką.

Brzmiało to całkiem logicznie. Haven zastanawiała się, czego takiego się o niej dowiedział? Jakie odkrył tajemnice? Co o niej sądził?

Kiedy pomyślała, że ktoś bez jej wiedzy grzebał w jej prywatnym życiu, poczuła się, jakby rozebrano ją do naga. Obecność Brady'ego Rossa sprawiła, że czuła się podwójnie skrepowana. Ten mężczyzna dziwnie ją pociągał. Był w stanie zniszczyć jej życie, okraść ją z marzeń - a mimo to ją pociągał. Boże, ależ z niej idiotka!

- Rozumiem - odparła powoli.

- Nie jest pani ciekawa, jakie zebrałem o pani informacje?

- Nie bardzo - skłamała.

- Może zainteresuje panią wiadomość, że postanowiłem pozostawić pani opiekę nad Anną. Przynajmniej na razie.

Zaparło jej dech w piersi.

- Nie zamierza pan zabrać mi Anny?

- Uważam, że nie należy pozbawiać dziecka stałego domu. Ale będę chciał oczywiście uregulować sprawę widywania Anny.

- To zrozumiałe - odparła Haven w zamyśleniu. Zastanawiała się, kim był właściwie Brady Ross i dlaczego nie chciał przejąć opieki nad Anną. Jeśli oczywiście była jego dzieckiem.

- Czy mógłbym zobaczyć córkę? - zapytał. - Tylko z daleka. Obiecuję, że jej nie porwę - dodał i uśmiechnął się sarkastycznie.

Chciała mu odmówić, jednak nie zdobyła się na to. Twarz Brady'ego wykrzywił, co prawda, cyniczny grymas, ale jego głos zdradzał tęsknotę, która ujęła Haven. Uznała, że nic się nie stanie, jeśli zobaczy Annę. Oczywiście z daleka, jak sam oświadczył. Wolała mu się nie narażać na wypadek, gdyby okazało się, że naprawdę jest ojcem dziewczynki. Wstała, czując, że z trudem może ustać na nogach.

- Proszę ze mną - powiedziała.

Brady podążał za Haven, zastanawiając się, czy nie powinien jej wyjaśnić, dlaczego upłynęło tyle czasu, zanim otrzymał list Melindy. Ta kobieta odnosiła się do niego ze zrozumiałą nieufnością i tylko prawda mogła tu cokolwiek zmienić. Nie lubił poruszać tematów osobistych, ale nie to było powodem, że zmilczał. Opowiadając o swoich przeżyciach, złamałby wiążącą go przysięgę.

Przez trzy lata, siedem miesięcy i siedem dni jego życie było piekłem. Zanim go wypuszczono, musiał w obecności przełożonych powtarzać bez końca, niczym litanie, wszystkie szczegóły owego piekła, przysięgając, że ich nigdy nikomu nie zdradzi. Cierpiał przy tym straszliwie, przeżywał bowiem cały ten koszmar jeszcze raz. Gdy wysiadł z samolotu, który przywiózł go z powrotem do Pittsburgha, przyrzekł sobie, że nigdy nie będzie wracać do tego, co się stało. Wspominanie niewoli stało się dla niego tematem tabu. Postanowił nie ujawniać tego nikomu, chyba że zostałby zmuszony przez sąd.

Nie obchodziło go w gruncie rzeczy, czy Haven Adams czuje do niego sympatię, czy nie. Prawo było po jego stronie, o czym dobrze wiedziała. Inaczej nie pozwoliłaby mu zobaczyć córki.

Haven szła przed nim, kołysząc lekko biodrami. Brady patrzył na nią z uznaniem. Była bardzo kobieca, a do tego miała wspaniałe nogi.

Wyobrażał ją sobie zupełnie inaczej. Po przeczytaniu raportu detektywa spodziewał się skromnej, zamkniętej w sobie kobiety, czegoś w rodzaju skrzyżowania bibliotekarki z zakonnica. Tymczasem miał do czynienia z małą tygrysią o ponętnie krągłych kształtach, z rudymi lśniąco-czerwonymi lokami i pięknymi oczami o intensywnym błękitnym kolorze. Brady zawsze miał słabość do rudych włosów i niebieskich oczu.

Była też bardzo zmysłowa. Chłód, z jakim dzielnie znosiła jego uporczywy wzrok, imponował mu, ale też prowokował. Domyślał się, a raczej wyczuwał, że płonął w niej skryty ogień namiętności. Wystarczyło spojrzeć na tę burzę rudych włosów i usta stworzone do pocałunków.

Gdy mijali wesoło urządzone pokoje pełne rozbawionych dzieci, nie umknęło uwagi Brady'ego, jak bardzo kontrastowały ze skromnie, a nawet surowo wyposażonymi pomieszczeniami biurowymi. Kim właściwie jest Haven Adams? - zastanawiał się. Według raportu detektywa w wieku dwudziestu pięciu lat zrezygnowała z doskonale płatnej posady chemika, by pielęgnować Melinę Dolan w ostatniej fazie raka, którego wykryto u niej jeszcze przed urodzeniem Anny. Co nią kierowało? Pobudki materialne czy też bezgraniczne oddanie przyjaciółce? Brady był gotów się założyć, że chodziło o pieniądze.

Ale skoro motywem były pieniądze - rozmyślał dalej, podążając za Haven schodami w górę - dlaczego zainwestowała prawie wszystkie zapisane jej w spadku pieniądze w otwarcie tego zakładu? Mogła przecież ulokować je znacznie korzystniej. Wiadomo było, że nie zbije na tym majątku - przy odrobinie szczęścia mogła jedynie wyjść na swoje.

Centrum Dziecka mieściło się w jednej z najbardziej zaniedbanych dzielnic Pittsburgha, a jego klientelę stanowiły głównie dzieci samotnych matek, zatrudnionych na najgorzej płatnych stanowiskach i z trudem wiążących koniec z końcem. Czesne, jakie płaciły, ledwie wystarczało na pokrycie podstawowych wydatków. Dlatego Haven była zmuszona szukać sponsorów. Każde dziecko otrzymywało codziennie w porze obiadowej gorący posiłek, a czasem też i śniadanie. Nie, osoby kierującej tą instytucją nie można było w żadnym przypadku nazwać interesowną.

Haven zatrzymała się przy drzwiach prowadzących do jednego z pokoi. W środku dziesięcioro maluchów słuchało kobiety czytającej im bajkę.

- Która z nich to Anna? - zapytał szeptem Brady.

- Ta w środku. W niebieskich spodniach i czerwonej bluzce.

Jaka malutka, pomyślał. Choć wiedział, że jego córka ma niecałe trzy latka, nie spodziewał się, że jest aż tak drobna. Zaskoczyło go też, jak bardzo jest zasłuchana w bajkę i jaką ma przy tym śmiertelnie poważną minę. A już z pewnością nie spodziewał się, że nagle poczuje nieodpartą chęć porwania tej

małej istotki w ramiona. Marzył, by tulić swoją córeczkę, pragnął chronić ją przed bezwzględną rzeczywistością, w jakiej przyszło im żyć.

- Nie jest do mnie podobna - stwierdził.

- To wykapana matka - odparła miękko Haven.

Brady usiłował przypomnieć sobie twarz Melindy Dolan, ale jej wizerunek stracił ostrość i zatarł się w pamięci. Pozostało jedynie uczucie bólu i rozczarowania, jakiego doświadczył w noc poczęcia dziecka. Cierpiała również Melinda. Na osłodę mieli oboje zaledwie kilka wspólnie spędzonych godzin.

- Co jej się stało w rękę? Haven skrzywiła się lekko.

- Anna usiłuje dorównać starszym dzieciom i zawsze robi to samo co one. Nie lubi pozostawać w tyle. W czasie ćwiczeń w sali gimnastycznej wspięła się wysoko po linie. Nie miała dość siły, by się utrzymać, spadła i złamała rękę w nadgarstku. Za tydzień zdejmą jej gips.

- Żywe srebro - mruknął Brady.

- Właśnie - przytaknęła Haven z dumą w głosie.

Brady stał tak blisko niej, że czuł zapach jej skóry. W więzieniu przesiedział długie godziny po ciemku, więc wyostrzyły mu się inne zmysły, zwłaszcza węch. Haven pachniała po trosze szamponem poziomkowym, dobrym mydłem i pokarmem dla dzieci. Jej obecność tak podziałała mu na zmysły, że nagle zapragnął zatopić palce w jedwabistych lokach i porwać ją w ramiona, całując do utraty tchu.

- Na dzisiaj starczy - powiedział niespodziewanie, odwrócił się i ruszył ku wyjściu.

- Kiedy pan się znowu odezwie? - spytała Haven, usiłując dotrzymać mu kroku.

Spojrzał na nią i powiedział:

- Na imię mam Brady. Nie sądzisz, że pora przestać traktować się tak formalnie, skoro będziemy się częściej widywać? Zobaczymy się już jutro rano.

Jesteśmy umówieni w sprawie pobrania krwi do testu DNA. Adres i godzinę zapisałem na odwrocie listu, który ci przekazałem.

- Jak to, jesteśmy umówieni? - spytała oszołomiona Haven. Była nie mniej zaskoczona niż on, gdy otrzymał list Melindy.

- Spotkanie dotyczy wprowadzie Anny i mnie, ale sądziłem, że może zechcesz być przy tym.

Prawdę mówiąc, był pewien, że i tak upierałaby się, aby pójść z nimi. Cóż, dopóki test nie wykaże pozytywnego wyniku, nie ma mowy, żeby zostawiła go sam na sam z dziewczynką.

- Przecież doskonale wiesz, że nie sposób stwierdzić, czy jestem ojcem Anny, nie pobierając próbki krwi również i od niej.

Haven, miotana przeróżnymi uczuciami, patrzyła, jak Brady Ross zmierza ścieżką w dół, w stronę zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Niedowierzenie, zakłopotanie, rozpacz - kotłowały się w niej z różną intensywnością. Ale przede wszystkim jej serce wypełniał po brzegi strach.

Gdy samochód zniknął z pola widzenia, pospieszyła natychmiast do gabinetu, niemal potykając się o własne nogi. Drżącymi rękoma zaczęła przekładać stertę papierów leżących na biurku.

- Gdzie to jest? Gdzie to jest? - mruzczała pod nosem. W końcu jej wzrok padł na fotokopię listu Melindy.

Opadła ciężko na fotel. Czyżby nie upłynęła nawet godzina od czasu, gdy patrzyła na siedzącego po drugiej stronie biurka Brady'ego Rossa, pewna, że rozprawi się z nim w ciągu paru minut? Przekonana była wtedy, że to kolejny oszust. Teraz jednak pojawiły się wątpliwości.

Doszła do wniosku, że są dwie możliwości. Albo była to z jego strony pokerowa zagrywka - i w takim razie nie pokaże się tu już nigdy więcej - albo rzeczywiście jest ojcem Anny. Jeśli tak, wkrótce go zobaczy. Ściślej mówiąc, już jutro rano.

Ogarnęło ją trwożne przeczucie, że w grę wchodzi raczej ta druga możliwość. Przypomniała sobie wzrok, jakim Brady wpatrywał się w Annę. Była w nim mieszanka czułości, podziwu i zdumienia, jakie ogarniały na ogół ojców na widok nowo narodzonego dziecka, gdy uświadamiali sobie, że odegrali istotną rolę w stworzeniu tej cudownej istoty.

Wiele rzeczy było nadal niejasnych, ale jedna wydawała się raczej pewna - że Brady Ross nie był oszustwem. Naprawdę wierzył, że jest ojcem Anny. List Melindy zresztą to potwierdzał. Czy jej się to podobało, czy nie, musi spojrzeć prawdzie w oczy. Za kilka tygodni będą znane wyniki testu DNA. Jeśli potwierdzą ojcostwo Brady'ego, Haven będzie musiała się kierować wyłącznie dobrem Anny.

Ale gdzie się podziewał ten człowiek przez ostatnie trzy lata i dziewięć miesięcy, od momentu poczęcia Anny? Czy dowiedział się o jej istnieniu dopiero dwa tygodnie temu? I dlaczego nie zamierzał wystąpić o pełną opiekę nad dzieckiem? Był to jedyny sposób, by zawładnąć dziedzictwem Anny.

Westchnęła głęboko. Szukanie odpowiedzi na te pytania doprowadzało ją do obłędu. Najważniejsze, że Brady stwierdził, iż nie zamierza bez powodu pozbawiać dziewczynki dotychczasowego domu. Ale jeśli znajdzie ku temu jakiś powód? Jeśli, na przykład, nie będzie się zgadzać z jej metodami wychowawczymi? Albo nie będzie mu odpowiadać marka pasty do zębów, jaką kupuje Annie?

Mimo zapewnień Brady'ego groźba utraty dziewczynki była możliwa. Musiała to brać pod uwagę.

Wyłowiła wreszcie spod sterty papierów książkę telefoniczną i zaczęła nerwowo przerzucać kartki w poszukiwaniu adresu prywatnego biura detektywistycznego. Nadeszła pora, by użyć tej samej broni i dowiedzieć się, kim jest Brady Ross. Musi zgromadzić wszelkie możliwe argumenty, które mogą się jej przydać w walce o Annę.

Wystukała numer i wsłuchała się w sygnał. Jeśli Brady sądzi, że podda się bez walki, to się grubo myli. Nikomu nie uda się odebrać jej Anny. Nikomu. Będzie o nią walczyć do ostatniego tchu.

ROZDZIAŁ 2

I odtąd już nigdy nie rozmawiała z obcym - skończyła czytać Haven.

Jak by to było dobrze, gdyby w życiu było jak w bajce - rozmarzyła się, zamykając książkę, po czym pocałowała delikatnie w czoło przytuloną do niej dziewczynkę. Dużo by dała, żeby zjawił się tu dzielny rycerz na białym koniu i uratował Annę, tak jak bajkową księżniczkę, przed groźnym obcym.

- Jesce raz, Binny! - prosiła Anna - Jesce raz!

Haven, zapominając na chwilę o swoich troskach, ze śmiechem zmierzwiła dłonią brązowe delikatne loczki.

- Czytałam ci tę bajkę dziś wieczorem już trzy razy. Poza tym jest już późno. Pora iść spać.

- Prose, Binny. Proooose...

Zielone oczy, tak podobne do oczu Melindy, patrzyły na Haven błagalnym wzrokiem. Ogarnął ją smutek. Właśnie w takich momentach najbardziej dotkliwie czuła ból po utracie swojej najlepszej przyjaciółki.

Miały zaledwie po sześć lat, gdy się spotkały w internacie, ale ich przyjaźń trwała nieprzerwanie przez następne dziewiętnaście lat, aż do śmierci Melindy. Były dla siebie jak rodzina, której żadna z nich nigdy nie miała. Rodzice Melindy zginęli w katastrofie samolotowej, a jej opiekunów interesowały jedynie pieniądze. Z kolei rodzice Haven byli zajęci wyłącznie swoją karierą naukową i nie mieli czasu dla jedyne go dziecka. Śmierć przyjaciółki pozostawiła w sercu Haven ogromną pustkę, której nie mogła wypełnić nawet Anna.

- No dobrze - poddała się - Przeczytam ci tę bajkę jeszcze raz.

Otworzyła książkę i zaczęła czytać: „Dawno temu w dalekim kraju mieszkała mała dziewczynka...”

Dziesięć minut później Anna już spała, a w pokoju słychać było jedynie odbijające się od dachu krople deszczu. Haven, uwolniwszy się z zaciśniętych wokół niej ramionek, wstała i ruszyła ku drzwiom. Zanim wyłączyła światło, rozejrzała się jeszcze po pokoju, który urządziła z taką starannością.

Na jasnozielonych ścianach ciągnął się na wysokości oczu Anny pas z malowanymi owieczkami. Pokój urządzony był francuskimi rustykalnymi meblami, wśród których największe wrażenie robiło łóżko z baldachimem. Staroświecka kołyska, w której jako niemowlę spała Melinda, wypełniona była po brzegi przeróżnymi przytulankami.

Jak bardzo ten pokój różnił się od pokoju dzieciennego Haven! Sprzyjał marzeniom i fantazjom, zabawom i sekretom. Można się w nim było przytulnie schronić. Był miejscem dającym poczucie bezpieczeństwa.

Ale teraz temu bezpieczeństwu zagrażał wysoki mężczyzna o szarych oczach i nieznanym zamiarach.

- Dobranoc, skarbie - wyszeptwała. - Śpij słodko.

Kiedy zgasiła światło, pomyślała, że nie uda jej się zapaść w równie spokojny sen.

- Anna już śpi? - spytała Josephine Clark, gdy Haven weszła do kuchni.

- Jak kamień.

Josephine była kiedyś jej niańką. Ponieważ rodziców prawie nigdy nie było, miała cały dom na swojej głowie. To jej silne czarne ramiona czule kołysały małą Haven do snu, gdy bała się zasnąć, dręczona lękiem przed nocnymi koszmarami. To jej długie, smukłe palce ocierały pot z czoła Haven, gdy miała gorączkę. Do szóstego roku życia, kiedy Haven umieszczono w internacie, właśnie Josephine - sama mająca zaledwie osiemnaście lat - była jedynym punktem oparcia dla osamotnionej dziewczynki.

Potem obie przez lata pozostawały w stałym kontakcie. Josephine nigdy nie wyszła za mąż. Po śmierci Melindy natychmiast zaproponowała pomoc. Tymczasowa sytuacja szybko zmieniła się w stały układ. W ciągu dnia Josephine prowadziła kuchnię w Centrum, a wieczorem pomagała przy Annie i zajmowała się domem. Haven nie wyobrażała sobie, że mogłaby sobie poradzić bez jej pomocy. I bez jej przyjaźni.

Z westchnieniem wzięła ścierkę i zaczęła wycierać piętzące się na suszarce naczynia. Choć kuchnia wyposażona była w zmywarę, Josephine uparcie zmywała naczynia ręcznie, twierdząc, że żadna wymyślna maszyna nie zastąpi człowieka.

- Powiedz mi, dziecko, co cię gryzie. Będiesz tak stać i dusić to w sobie?

- odezwała się Josephine.

Haven, zatopiona w myślach, aż drgnęła.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała, próbując udawać beztroski ton.

- Właśnie włożyłaś stertę wytartych talerzy do lodówki. Haven uchyliła drzwi lodówki i skrzywiła się.

- Masz rację...

- Powiesz mi, co się stało?

Haven z rozkoszą przerzuciłaby swoje kłopoty na szerokie barki Josephine, nie byłoby to jednak uczciwe. Przez ostatnie lata aż za bardzo obarczała tę wspianą kobietę swoimi problemami.

Może powinna jednak wspomnieć o istnieniu Brady'ego Rossa, zanim ten zacznie widywać się z Anną? To było nieuniknione. Uważała, że skoro Brady naprawdę jest ojcem Anny, to nawet gdyby chroniło ją prawo - nie powinna odbierać małej możliwości poznania taty. Nie powinna też odbierać Annie możliwości spełnienia jej marzeń. Sama aż za dobrze wiedziała, co znaczy dzieciństwo pozbawione nadziei i miłości.

Mimo że miała już dwadzieścia osiem lat, nadal nie potrafiła pogodzić się z faktem, że rodzice jej nie chcieli. Nadal bolało wspomnienie, że zawartość

jakiejś próbki wzbudzała w nich większy zachwyty niż własne dziecko. Ileż to razy zasypiała splakana, spragniona ich dotyku i zapewnienia o ich miłości i wsparciu. Jeśli Brady Ross może oszczędzić Annie takich doświadczeń, na pewno nie stanie mu na drodze.

Oczywiście Josephine powinna się o wszystkim dowiedzieć. Ale jeszcze nie teraz.

- O co chodzi, kochanie? - zapytała Josephine. Haven wzruszyła ramionami.

- Po prostu mam wiele spraw na głowie, to wszystko.

- Nie chcesz o tym mówić?

- Nie teraz. Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. - Haven włożyła noże do odpowiedniej przegródki w szufladzie i odwiesiła na miejsce ścierkę do naczyń.

- Nastawię kawę. Napijesz się ze mną?

W kwadrans później, gdy wszystkie naczynia były już zmyte i wy tarte, siedziały naprzeciwko siebie w kątku jadalnym w kuchni.

- Haven?

- Tak?

- Właśnie wsypałaś do kawy pięć łyżeczek cukru. Haven upiła łyk przesłodzonego napoju i skrzywiła się.

- Fuj! Ależ jestem dzisiaj roztargniona.

- Zazwyczaj tak się nie zachowujesz. - Josephine przyjrzała się jej uważnie. - Czyżby chodziło tu o jakiegoś mężczyznę? - spytała z nadzieją w głosie.

Haven stanęła w oczach, jak żywa, twarz Brady'ego. Zanim się spostrzegła, z jej ust wyrwało się potwierdzenie.

- Owszem. Josephine drgnęła.

- Kto to taki, dziecinko? Gdzie go spotkałaś? Co on robi? - Uniosła w górę dłoń - Nie, nic nie mów. Opowiesz mi wszystko w swoim czasie. Cieszę się bardzo, bo może ułożysz sobie w końcu życie.

- Ja już mam ułożone życie. Josephine parsknęła śmiechem.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytała Haven.

- W twoim życiu liczą się tylko dwie sprawy: Anna i Centrum. Jedyną twoją rozrywką jest czytanie książki w łóżku. Powiedz mi, kiedy ostatni raz byłaś na randce?

Haven wstała wzburzona i wylała kawę do zlewu.

- Jakbyś ty wypuszczała się co weekend do miasta poszaleć!

Josephine uniosła głowę. W jej piwnych oczach zabłysło rozbawienie.

- A jak myślisz, co robię, kiedy mam wychodne?

Haven nalala sobie świeżą filiżankę kawy, wsypała do niej tylko jedną łyżeczkę cukru, powoli zamieszała i wreszcie spojrzała na Josephine.

- Odwiedzasz rodziców, tak przynajmniej mówisz. Starsza kobieta teatralnym gestem złapała się za głowę.

- Boże, jesteś naiwna jak dziecko. Jestem u rodziców parę godzin, a resztę nocy spędzam w ramionach ciepłego, czułego, troskliwego mężczyzny.

- Naprawdę? - Haven ze śmiechem poklepała Josephine po ramieniu. - Ty niegodziwa kobieto! Kim jest ten mężczyzna? I dlaczego nie wspomniałaś mi o nim wcześniej?

- Nazywa się Jackson. Nic o nim nie mówiłam, bo nie chciałam kłuć cię w oczy moim szczęściem. Ale teraz, dziecinko, zaczynam się poważnie zastanawiać...

Haven czuła, że nie powinna dalej pytać, ale nie mogła się powstrzymać.

- Nad czym?

- Czy przypadkiem Anna i Centrum nie stanowią dla ciebie ucieczki od świata.

- Zapewniam cię, że nie. Nie musisz się o mnie martwić.

- Skoro tak, to nie widzę powodu, dlaczego miałabyś spędzać noce samotnie w domu. Jeśli ten nowo poznany mężczyzna zaprosi cię gdzieś, powinnaś przyjąć jego propozycję.

Zadzwoił telefon i Josephine odebrała go. Po chwili pochłonęła ją ożywiona rozmowa z jednym z partnerów do brydża.

Haven, wdzięczna za przerwanie rozmowy, wstawiła filiżankę i spodek do zlewu. Pomachała Josephine na dobranoc, po czym udała się na górę, do swojej sypialni.

Czyżby Josephine miała rację? - zastanawiała się, myjąc twarz. Czy naprawdę traktowała Annę i Centrum jak ucieczkę od świata? Nie przyszło jej to wcześniej do głowy.

Od czasu śmierci Melindy była tak zapracowana, że w jej życiu nie było miejsca na związek z mężczyzną. Rzeczywiście, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była na randce. Ilekroć ktoś usiłował się z nią umówić, zawsze znajdowała jakąś wymówkę.

Nie zdawała sobie do tej pory sprawy, jak bardzo tęskni za tym, aby ktoś porwał ją w silne ramiona i po prostu mocno przytulił, odgradzając od nieprzyjaznego świata.

I znów pomyślała o Bradym Rossie. Złapała się na tym, że cieszy się na czekające ją spotkanie.

Pokiwała głową, zdumiona własną głupotą. Marzyć o mężczyźnie, który mógł jej wyrządzić ogromną krzywdę! Gdyby Josephine się o tym dowiedziała, zatrzęśłaby się z oburzenia.

Przejeżdżające z rzadka samochody i ujadający pies zakłócały od czasu do czasu spokój nocy, ale głównie słychać było szum deszczu. Brady, lekko zdyszany, wspinał się na jedno ze wzgórz Pittsburgha. Wciągał łapczywie do płuc orzeźwiające powietrze, przepełnione zapachem rozwijających się z pąków kwiatów.

Nagle zaczął biec, jakby szybkość i zręczność miały uratować mu życie. Bieganie stanowiło od lat jego wielką pasję. W szkole średniej i na uczelni był gwiazdą na bieżni. Gdy w niewoli, dla zabicia nudy, ćwiczył w celi jogging, drepcząc w miejscu, przypominał sobie po kolei każdy krok i każdy oddech ze wszystkich zawodów. Dzięki temu pozostał przy zdrowych zmysłach.

Nie mógłby już wziąć udziału w żadnym biegu, ponieważ utykał. Nadal jednak mógł biegać dla czystej przyjemności, choć niezbyt szybko i lekko niezdarnie, jak mu się zdawało. Cóż, dobre i to.

Nie przeszkadzał mu deszcz. Wręcz przeciwnie, rozkoszował się kroplami chłodzącymi twarz i ramiona. Nie przeszkadzała mu również czerń nocy. W więzieniu przesiedział tyle czasu po ciemku, że mrok przestał być dla niego wrogiem, źródłem lęku.

Powodem, dla którego zerwał się w środku nocy z ciepłego łóżka, były nie dręczące go koszmary z tamtych lat, lecz Anna Dolan i Haven Adams. Ich twarze wryły mu się w pamięć tak, że nie mógł spać.

Lata, które spędził w wojsku w stopniu majora, nauczyły go planować w najdrobniejszych szczegółach każde przedsięwzięcie. Zastosował tę samą taktykę, zanim skontaktował się z Haven Adams. Obmyślił sobie wszystko, krok po kroku, poczynawszy od pierwszego spotkania, poprzez test krwi potwierdzający jego ojcostwo, aż po ustalenie wizyt. A przynajmniej tak mu się zdawało.

Dzisiejszego ranka odkrył jednak, że to jednak nie to samo, co planowanie tajnej operacji wojskowej.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na Haven Adams i swoją córkę, by pozbył się tej iluzji. Nie potrafił zachowywać się w stosunku do nich obojętnie. Kiedy to sobie uświadomił, zaskoczyło go to bardzo. Dotąd jedyną osobą, która poruszyła go do tego stopnia przy pierwszym spotkaniu, był Charles Ross, jego adopcyjny ojciec. Choć był wówczas dzieckiem zbuntowanym i do głębi rozczarowanym, nie potrafił odrzucić ludzkiej dobroci i uczciwości. Również teraz nie mógł zignorować faktu, że Haven i Anna zapadły mu głęboko w serce.

Czuł też do Haven wyraźny pociąg fizyczny. Złapał się na tym, że w jej obecności traci wypracowaną tak starannie kontrolę nad sobą. Nie pojmował również gwałtownego wzruszenia, jakie go ogarnęło na widok córeczki.

Natura kierowała się swoimi własnymi, nie podlegającymi kontroli prawami. I to go przerażało.

„Nie obiecuj więcej, niż jesteś w stanie z siebie dać” - brzmiała pierwsza zasada partyzantów w akcji. Co będzie, jeśli Anna zechce więcej, niż on będzie mógł jej dać? Co będzie, jeśli zawiedzie ją, tak jak ojciec zawiódł jego?

W gruncie rzeczy jego córeczka wcale go nie potrzebowała. Melinda zabezpieczyła ją finansowo. Z zebranych informacji wynikało, że również potrzeby uczuciowe dziecka zaspokajane są z nawiązką. Mógł odejść, unikając ryzyka, że ją kiedykolwiek zrani lub rozczaruje.

„Spełniaj zawsze daną obietnicę” - brzmiała druga zasada. Przed laty Brady przysiągł sobie, że nigdy nie wyrzeknie się własnego dziecka.

Zatrzymał się na szczycie wzgórza, z trudem łapiąc oddech. Kolka w boku uzmysłowiła mu, jak bardzo jest słaby. W ciasnej celi trudno było przerobić pełny program treningu. Daleko mu było jeszcze do dawnej formy.

Nagle usłyszał jakieś ciche piski. Przed sobą, w świetle latarni, spostrzegł przedmiot, który wyglądał na torbę. W środku wyraźnie coś się ruszało.

Co to może być? - zastanawiał się, rozsuwając zamek błyskawiczny. W torbie kulily się trzy mokre, trzęsące się z zimna i strachu małe szarobure kotki.

Zaklął pod nosem. Chociaż już od trzeciego roku życia nie miał żadnych złudzeń, wciąż zdumiewali go ludzie, którzy z premedytacją krzywdzili słabych i bezbronnych. Ale właściwie powinien był być wdzięczny człowiekowi, który porzucił kocięta na ulicy. Dzięki temu nie skończyły swojego krótkiego życia w rzece.

Zasunął zamek, podniósł torbę i szybkim krokiem ruszył w stronę domu. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zatrzymać kotków, ale odrzucił ten

pomysł. Doszedł do wniosku, że najpierw musi się upewnić, czy są zdrowe, a potem poszuka im odpowiedniego miejsca.

Po półgodzinie znalazł się w mieszkaniu, które wynajął po powrocie do Pittsburgha. Był to bardzo skromny kąt, ale Brady miał niewielkie potrzeby.

Nie zważając na to, że jest przemoczony do suchej nitki, zajął się najpierw kotkami. Postawił torbę na stole w kuchni, po czym przyniósł z łazienki ręcznik. Wytarł kotki starannie, a potem wyjął z lodówki mleko, nalał trochę do garnka i podgrzał na kuchence.

Kiedy przyglądał się, jak ochoczo chlepczą z miseczki, mrużąc z zadowolenia, zastanawiał się, czy jego córka lubi koty.

Haven nie spała zbyt dobrze tej nocy. Przewracała się z boku na bok, aż w końcu przysnęła nad ranem. Jęknęła na dźwięk budzika i ospale sięgnęła po ubranie do joggingu. Po powrocie z porannego biegu zerknęła do lustra i jęknęła ponownie na widok swoich podkrążonych oczu.

Wysłuchiwała prognozy pogody, która obiecywała słoneczny dzień i temperaturę powyżej trzydziestu stopni, po czym zaczęła się zastanawiać, w co się ubrać, co zwykle się jej nie zdarzało. Zdecydowała się w końcu na żółtą, obcisłą sukienkę bez rękawów z brązowym luźnym paskiem na biodrach i żółte sandały.

Udało jej się zatuszować makijażem ślady źle przespanej nocy, ale włosy buntowały się jak zwykle. Poskręcane kosmyki sterczały we wszystkie strony. Haven opuściła z rezygnacją ręce. Na kim właściwie chciała zrobić wrażenie? Na pewno nie na Bradym Rossie.

Kłamczucha - zganił ją głos wewnętrzny. Zignorowała go i poszła obudzić Annę.

Tym razem prognoza pogody sprawdziła się. Słońce przyjemnie grzało obnażone ramiona Haven, gdy maszerowała krętym przejściem, wiodącym do laboratorium, ściskając rączkę Anny. Nad ścieżką obramowaną tulipanami i

krzewami azalii o olśniewających kolorach, zwieszały się obsypane kwieciami gałęzie dereni. Ptaki śpiewały wesoło, powietrze było czyste i świeże.

Haven uwielbiała takie majowe poranki, ale dziś rano nie była w nastroju do podziwiania uroków przyrody.

- Adne kiatki, Binny! - wykrzyknęła Anna, uwolniła rączkę z uścisku i pobiegła przyjrzeć im się z bliska.

- Ostrożnie - ostrzegła ją odruchowo Haven i kucnęła obok dziewczynki, która wyciągnęła pulchną łapkę do jaskrawoczerwonego tulipana.

- Piękne, prawda? - odezwał się niski głos.

Haven przysłoniła ręką oczy i spojrzała w górę - prosto w twarz Brady'ego Rossa. Serce skoczyło jej do gardła. Być może uszły jej uwagi uroki przyrody, ale nie mogła nie dostrzec, jak wspaniale prezentował się w spranych dżinsach i dżinsowej koszuli, z długimi blond włosami lśniącymi w słońcu. A jeśli tak było mu do twarzy w starych dżinsach, wołała nawet nie myśleć, jak zabójczo musi wyglądać w garniturze, z włosami zebranymi w kucyk.

Wstała z klęczek, wygładzając szybkimi ruchami fałdy na sukience.

- Kto pilnuje interesu? - zapytał Brady.

- Interesu? - powtórzyła Haven, wciąż nie mogąc pozbierać myśli. - Ach, pan ma na myśli Centrum. Moja zastępczyni.

Miała wyrzuty sumienia, że zostawiła wszystko na głowie Violet, która nie znosiła brać na siebie odpowiedzialności i przeważnie trzeba ją było uprzedzić kilka dni naprzód, żeby zdążyła się wewnętrznie przygotować. Ale jeszcze większe wyrzuty sumienia miała w stosunku do Josephine. Skłamała jej, że idzie z Anną do pediatry.

Dziewczynka, ubrana w błękitną sukienkę z marynarskim kołnierzem, o identycznym odcieniu jak gips na jej prawej ręce i wplecione w kasztanowe włosy kokardy, zostawiła w spokoju tulipan i podeszła do Rossa.

- Ceść. Jestem Anna - przedstawiła się.

Haven stwierdziła, że musi przeprowadzić z małą poważną rozmowę. Tysiące razy czytała jej przecież pouczającą bajeczkę o dziewczynce i obcych, a mimo to Anna bez najmniejszego wahania podeszła do Brady'ego. W gruncie rzeczy się nie dziwiła. Ten mężczyzna sprawiał naprawdę wrażenie. Może trzeba było w rozmowie z dzieckiem zaznaczyć, że obcy może mieć mylący, miły wygląd. Sama również powinna zastosować się do swoich mądrych rad.

Brady milczał. Haven spojrzała na niego, zdziwiona, że nie przedstawia się córce. Stał, przelitykając nerwowo ślinę i wpatrywał się w dziewczynkę. Wyglądał na przerażonego. Zupełnie nie wiedział, jak się ma zachować. Nagle zrobiło jej się go żal.

- To jest pan Ross, Anno - powiedziała. - On też będzie miał badaną krew. Myślę, że się trochę tego boi.

Brady obrzucił Haven ciepłym, pełnym wdzięczności spojrzeniem. Był przy tym tak zabójczo przystojny, że aż przeszedł ją dreszcz.

- Bois sie? - spytała Anna.

Brady przykucnął tak, że jego oczy znalazły się na wysokości oczu dziewczynki.

- Troszkę.

- A ja nie!

- Jesteś bardzo dzielna, wiesz? Chciałbym być tak dzielny jak ty.

Mała wyprężyła dumnie pierś.

- Binny tsyma mnie za rąčke, jak sie boje. Ty tes potsymas?

- Z wielką przyjemnością, Anno - odparł Brady.

Wszystko przebiegło gładko. Anna ledwie pisnęła przy ukłuciu igły. Potem trzymała Brady'ego za rękę, szepcząc mu do ucha słowa otuchy, kiedy jemu pobierano krew. Gdy było już po wszystkim, pochwaliła go za odwagę.

Kiedy opuścili laboratorium, Ross robił wrażenie nieco oszołomionego.

- Uważam, że oboje zasłużyliście na coś dobrego - stwierdziła Haven. - Po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia.

- Cy jest tam tes oglódek dla dzieci? - spytała Anna.

- Na pewno.

- Juhuu! - wykrzyknęła dziewczynka i pobiegła przed nimi, podskakując radośnie to na jednej, to na drugiej nodze. Gdy dobiegła do rogu ulicy, zatrzymała się, czekając grzecznie, aż dorośli podejda.

- Fajna jest, prawda? - zauważył Brady z ojcowską dumą w głosie.

Wyglądało na to, że się już pozbierał.

Haven poczuła przeszywający ból w sercu. Widać było wyraźnie, że Anna go urzekła. Kto wie, może wkrótce dojdzie do wniosku, iż nie może bez niej żyć. I co wtedy? Ta myśl była nie do zniesienia.

- Tak, bardzo - przyznała cicho.

Kilka minut później siedziała naprzeciwko Brady'ego, ściskając w dłoniach parującą filiżankę kawy, za którą uparł się zapłacić. Parę metrów od nich Anna szalała ze szczęścia w namiocie pełnym kolorowych kulek, zapomniawszy o soku pomarańczowym i serniku.

- Jak na trzylatkę jest bardzo dobrze rozwinięta - powiedział Brady.

Haven przytaknęła, spoglądając na Annę.

- Pewnie dlatego, że zawsze jest w otoczeniu starszych dzieci. Zaczęła stawiać pierwsze kroki i powiedziała pierwszych parę słów, mając zaledwie dziewięć miesięcy. I jak mówi Josephine, od tego czasu jest w ciągłym ruchu, a buzia jej się nie zamyka.

Zerknęła na Brady'ego. Był wyraźnie rozbawiony.

- Uśmiechasz się - stwierdziła zaskoczona.

- I co w tym dziwnego?

- Odniosłam wczoraj wrażenie, że od dawna się nie śmiałeś.

- Zgadza się - odparł z dziwną zadumą.

- Czy zawsze bierzesz życie aż tak serio?

- Życie to poważna sprawa. Nie mniej poważna niż powód, dla którego znaleźliśmy się tutaj razem.

- Zgadza się - przyznała Haven. - Uważam jednak, że każdy człowiek powinien się od czasu do czasu uśmiechnąć.

- Doprawdy? - zapytał ze śmiertelną powagą, ale błysk w jego oczach zdradzał wesołość, która świadczyła o poczuciu humoru.

- Kim właściwie jest Josephine? - odezwał się po chwili milczenia.

Haven pomyślała, że jego szare oczy zdradzają nieprzeciętną inteligencję, którą niewątpliwie odziedziczyła po nim Anna - jeśli oczywiście była jego córką.

- To moja opiekunka z dzieciństwa. Pomaga mi teraz w Centrum oraz w domu, przy Annie.

- Dlaczego Anna nazywa cię Binny?

Haven peszył badawczy wzrok Brady'ego. Siedzieli tak blisko siebie, że czuła ciepło jego ciała i zapach wody kolońskiej.

Spuściła oczy, zatrzymując wzrok na miękkich złotych kędziarach opadających mu na pierś. Zacisnęła palce na filizance.

- Kiedy Anna zaczęła mówić, miała kłopoty z wymówieniem litery „v”. Nazywała mnie „Haben”. Po jakimś czasie wymyśliła zdrobnienie „Binny”.

- A więc nie mówi do ciebie „mamo”? Trafił w czuły punkt.

- Nie jestem jej matką - mruknęła, wpatrując się nieruchomo przed siebie.

- Czy Anna wie o tym? Haven skinęła głową.

- Tak, opowiedziałam jej wszystko o Melindzie.

- A czy wie coś o mnie?

Haven spojrzała Brady'emu Rossowi prosto w oczy.

- Nigdy nie pytała o ojca.

- Wyniki testu powinny być za trzy do czterech tygodni - oświadczył. - Jeśli potwierdzą moje ojcostwo, będziesz musiała jej powiedzieć.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła sztywno Haven.

- Płose pana, niech pan patsy! - zawołała dziewczynka. Gdy upewniła się, że Brady zwrócił na nią uwagę, zrobiła fikołka.

- Wspaniale, Anno - pochwalił ją.

Mała wyraźnie nie podzielała obiekcji Haven w stosunku do Brady'ego. Okazywała zaufanie każdemu, kto darzył ją szczerym zainteresowaniem.

Haven usiłowała powiedzieć coś sensownego, ale nie mogła zebrać myśli.

- Wydaje mi się, że powinniśmy się lepiej poznać - wypaliła w końcu bez zastanowienia i aż się zachnęła. Wyraźnie dawał o sobie znać brak snu.

- Próba rozpoznania wroga? - Brady uniósł ironicznie brew.

- Coś w tym rodzaju - odparła, wzruszając ramionami.

Zapadło niezręczne milczenie. Haven zajęła się mieszaniem kawy w filiżance. Gdy po jakimś czasie podniosła oczy, napotkała przenikliwy wzrok Brady'ego. Wstrzymała oddech. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu.

Pierwszy skapitulował Brady - odwrócił się, by zobaczyć, co robi Anna. Gdy powrócił spojrzeniem do Haven, w jego oczach pojawiło się jakby lekkie rozbawienie.

- Co chciałabyś o mnie wiedzieć? - zapytał leniwie.

Wszystko, pomyślała Haven. Starła się uspokoić kołaczące serce. Czowała taki pociąg do Brady'ego, że zupełnie straciła nad sobą kontrolę. Niewiele pozostało z pewnej siebie, dojrzałej kobiety. Musiała się mieć na baczności i za bardzo się z nim nie spoufalać.

- Może powinniśmy zacząć od tego, z czego właściwie żyjesz - powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał naturalnie.

Brady uniósł ręce za głowę i oparł się o ścianę.

- Chwilowo jestem bez pracy.

Mogła się tego spodziewać. Żaden z dotychczasowych rzekomych ojców nie miał stałego zatrudnienia.

- A co robiłeś ostatnio?

- Byłem w wojsku.

Obrzuciła go nieufnym spojrzeniem.

- W jakiej randze?

- Majora. - Na twarzy Haven pojawiło się zdziwienie, więc dodał: - Czy tak trudno w to uwierzyć?

Dziwne, że ktoś taki jak on awansował do tak wysokiej rangi! Sądząc po długości włosów, rozstał się z wojskiem już dawno temu. Chciała spytać, czy był kiedyś ranny i dlaczego utyka, ale doszła do wniosku, że to zbyt osobiste pytanie.

- Czy jesteś żonaty? - zapytała. Jeśli w jego życiu jest jakaś kobieta, powinna o tym wiedzieć ze względu na Annę.

- Nie mam zobowiązań wobec żadnej kobiety.

Skoro tak, to dlaczego siedzi tutaj ze mną? - pomyślała Haven.

- A Anna? Czy nie masz zobowiązań wobec niej?

- Nie. Za Annę jestem odpowiedzialny.

- Dla mnie to równoznaczne - stwierdziła Haven.

- Nie zgadzam się z tobą. Zobowiązanie podejmuje się z własnej, nieprzymuszonej woli. Odpowiedzialność to ciężący na człowieku obowiązek, z którego trzeba się wywiązać.

Tak naprawdę to on wcale nie jest atrakcyjny, uznała Haven, zaciskając zęby ze złości. Jak mógł być atrakcyjny ktoś o takich poglądach?

- A więc Anna to po prostu ciężący na tobie obowiązek? Brady wyraźnie się zmieszał.

- To, co czuję do Anny, jest... trochę bardziej skomplikowane.

- Czy zamierzasz podjąć pracę? - spytała Haven po dłuższej chwili.

W oczach Brady'ego znów pojawił się kpiący błysk.

- Jeśli trafi się odpowiednia okazja - odparł, wzruszając ramionami.

- Ale ty sam nic nie robisz, żeby ją znaleźć?

- W tej chwili nie.

Jakże mogła uwierzyć, że temu facetowi nie chodzi o pieniądze Anny?

- Gdzie się podziewałeś w czasie, gdy Melinda napisała do ciebie list? -
zaatakowała ostro.

- Daleko od Pittsburgha - odparł Brady, wyraźnie pochmurniejąc.

Ten człowiek był niemożliwy. Haven wstała, zaciskając zęby ze złości. Musiała stąd wyjść, zanim powie coś, czego będzie później żałować.

- Muszę wracać do Centrum - oświadczyła, sięgając po torebkę. -
Dziękuję za kawę.

ROZDZIAŁ 3

Było południe. Jedna z opiekunek zaprowadziła Brady'ego do tylnego wyjścia prowadzącego do, jak się wyraziła, ogrodu. Był to właściwie jeden wielki trawnik, na którym rozstawiono całe mnóstwo różnych urządzeń do zabawy. Drzewa rosły z rzadka. Zewsząd rozlegały się radosne krzyki bawiących się dzieci. Kobieta wskazała na kogoś w oddali. Była to Haven, zajęta huśtaniem małego chłopca.

Brady podziękował, po czym ruszył na przełaj przez trawnik. Mijał po drodze zjeżdżalnie i piaskownice, lawirując zręcznie, by nie zderzyć się z żadnym dzieckiem. Powtarzał w myślach przemowę, którą ułożył sobie po drodze w samochodzie. Nagle wszystko mu się poplątało, gdyż poczuł silne uderzenie w tył głowy.

Aż się skulił z bólu, gdy próbował rozetrzeć stłuczone miejsce. Okazało się, że dostał piłkę, która teraz leżała spokojnie u jego stóp.

- Psepraszam pana...

Zobaczył małą dziewczynkę w grubych okularach. Wyglądała jak mądra mała sówka. Wpatrywała się w niego z wyczekująco wyciągniętą ręką. Brady, ubawiony, podniósł piłkę i odrzucił ją dziewczynce, która natychmiast pobiegła z powrotem do swoich koleżanek.

Poszukał wzrokiem Haven. Skąpana w słońcu burza rudych włosów sprawiała wrażenie rozszalałego ognia; czubek nosa i ramiona młodej kobiety jaśniały różowawą plamą. Żółta sukienka bez rękawów, tak ładnie prezentująca się rano, była teraz okropnie pognieciona. Przy szyi widniała ciemnowiśniowa plama.

Boże, ale ona jest piękna, pomyślał Brady. Ostatnimi laty tak rzadko miał do czynienia z pięknem, że czuł się nim odurzony.

Chłopczyk, którym się zajmowała, powiedział coś i Haven zatrzymała na moment huśtawkę. Na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech, gdy patrzyła, jak dziecko wdrapuje się z powrotem na ławeczkę. Brady zorientował się, że go dostrzegła, bo przestała się uśmiechać i cała zeszywniała.

- Co ty tu robisz? - spytała słabym głosem, gdy się zbliżył.

- Musimy porozmawiać.

Obdarzyła go niezbyt zachęcającym spojrzeniem.

- Uważam, że już dosyć było rozmów jak na jeden dzień - stwierdziła.

Brady nie miał do niej żalu o to, że jest zła. Nie miał również pretensji o to, że go tak nagle opuściła rano, zachował się bowiem jak kompletny bałwan.

Przypomnił sobie znowu, co poczuł, gdy przed wejściem do laboratorium podeszła do niego Anna. Wpatrywał się w nią, ogarnięty paniką, nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa. Nie miał zielonego pojęcia, jak się zachować wobec własnego dziecka.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak zażenowany. Wielokrotnie skakał z samolotu ze spadochronem na terytorium wroga. Z zimną krwią planował i prowadził naloty na wrogie cele. Wytrzymał bez jednego jęku okrutne tortury.

Ale gdy stanął oko w oko z własną córką - sparaliżował go strach.

I wtedy przyszła mu na ratunek Haven, wybawiając go z opresji. A on, zamiast okazać jej wdzięczność, drażnił się z nią umyślnie, aż rozzłościła się tak, że sobie poszła.

To wszystko dlatego, że Haven za bardzo pobudzała jego zmysły. Zresztą zawsze był wrażliwy na kobiece wdzięki. Gdyby nagle dotknął tej kobiety, miałby kłopoty z zachowaniem twarzy pokerzysty.

Domyślił się, że i on podoba się Haven. Nie było to trudne, ponieważ nie potrafiła ukryć swego zainteresowania, chociaż wyraźnie usiłowała je zwalczyć, zresztą podobnie jak on. Dlatego postanowił dać jej do ręki broń, która pozwoli jej trzymać się od niego z daleka. Mierzyła go teraz takim wzrokiem, że wszystko wskazywało na to, iż jego taktyka się powiodła.

Odwołując się do surowej samokontroli, wypracowanej jeszcze w dzieciństwie i wyćwiczonej podczas trzech lat niewoli, usiłował stłumić w sobie tak niepożądane w obecnej sytuacji uczucia do Haven Adams. To, że mu się podobała, nie miało w tej chwili najmniejszego znaczenia. Najważniejsza była teraz jego córka.

- Wiem, że nasze stosunki nie układają się najlepiej - powiedział, przeczesując ręką włosy. - I to z mojej winy. Od samego początku nie podszedłem właściwie do tej sprawy.

Haven obrzuciła go ironicznym spojrzeniem.

- Wkroczyłeś wczoraj do mojego gabinetu z groźną miną i oznajmiłeś zniechęcająco, że jesteś ojcem Anny. Dziś rano z kolei dałeś mi do zrozumienia, że zależy ci na pracy jak na zeszłorocznym śniegu. Wybacz, ale trudno mi uwierzyć w twoje dobre intencje.

Brady zastanawiał się, czy Haven zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo wyraziste ma oczy - czytał w nich każdą jej myśl. Na moment zapomniał o samokontroli i puścił wodze fantazji, usiłując wyobrazić sobie te piękne oczy tuż po akcie miłosnym - szeroko rozwarte, przepełnione rozkoszą.

Zganił się w myślach, gdy poczuł gwałtowną reakcję własnego ciała. Nie pora na erotyczne fantazje. Zresztą żadna pora nie będzie odpowiednia, jeśli chodzi o Haven - to przecież opiekunka jego dziecka. Sam ma życie wystarczająco zagmatwane. Po diabła mu dodatkowe komplikacje?

Chciał zapewnić Haven, że choć nie ma pracy, nie oznacza to, że nie posiada żadnych zasobów pieniężnych. W gruncie rzeczy był znacznie bogatszy od Anny. Rozmyślił się jednak. Uznał, że lepiej będzie, jeśli Haven zachowa wobec niego ostrożność, przynajmniej na razie. Ich kontakt powinien ograniczać się wyłącznie do chwil, kiedy od czasu do czasu będzie przychodził zobaczyć Annę. Utwierdzając Haven w przekonaniu, że jest beztróskim wagabundą, wzmoże jej czujność i nie dopuści do bliższej zażyłości.

- Zawsze mam się na baczności przed ludźmi - powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie. - Jestem zamknięty w sobie. I z natury nieufny, podobnie zresztą jak ty...

Przerwał na chwilę w nadziei, że Haven zareaguje, ale ona patrzyła na niego, milcząc.

Westchnął ciężko. Sprawy miały się nie najlepiej.

- Masz prawo być sceptyczna co do mnie i moich motywów. Do diabła, gdybym był tobą i ktoś wparowałby do mojego gabinetu, tak jak ja to zrobiłem, pewnie wyrzuciłbym go na zbity pysk. Nie powinienem był zjawić się w taki sposób. Należało cię najpierw do tego przygotować. Ale wiesz... byłem, podobnie jak ty, kompletnie wytrącony z równowagi. Nie wiedziałem, jak się zachować. Wierz mi, chodzi mi wyłącznie o dobro Anny.

- A jeśli ci powiem, że dla dobra Anny powinieneś stąd odejść? - zapytała Haven.

- Nie mogę tego zrobić - odparł Brady i pokręcił stanowczo głową.

Haven zrobiła bojową minę.

- Dlaczego? Bo czujesz się za nią odpowiedzialny? - zapytała zjadliwie.

- Po części tak - przyznał. - Również dlatego, że pragnę poznać Annę bliżej, chcę być przy niej, kiedy mnie będzie potrzebowała. Pragnę też, żeby i ona poznała mnie lepiej. Dlatego mam nadzieję, Haven, że jakoś się dogadamy.

- Przysłonił ręką oczy i rozejrzał się po placu zabaw. - Gdzie ona jest? - zapytał zaniepokojony. - Nigdzie jej nie widzę.

- Śpi. Wszystkie trzylatki leżakują codziennie o tej porze.

- Rozumiem - mruknął i wzruszył ramionami. - Czy ci się to podoba, czy nie, nie zamierzam się w najbliższym czasie nigdzie wynieść. Musimy się jakoś dogadać... choćby ze względu na Annę. Być może wymagam od ciebie zbyt wiele, ale czy moglibyśmy spróbować zacząć wszystko od nowa?

Wyglądało na to, że Haven opuściła wola walki. Pochyliła głowę i wbiła wzrok w ziemię.

- Gdy przyszedłam do domu wczoraj wieczorem, porównałam list, który mi dałeś, z innymi listami Melindy - powiedziała. Mówiła tak cicho, że Brady musiał wyteńczyć słuch.

- No i?

Haven przygryzła wargę.

- To bardzo sprytne fałszerstwo - stwierdziła.

- To nie jest żadne fałszerstwo, Haven.

Gdy spojrzała na niego, zobaczyła w jego oczach smutek.

- Melinda twierdziła, że nie chcesz mieć nic do czynienia z dzieckiem - powiedziała.

- Melinda była w błędzie - odparł spokojnie Brady. Wytrzymał spojrzenie Haven. - A więc? Czy możemy zacząć wszystko od nowa?

Westchnęła głęboko, po czym wyciągnęła dłoń.

- Haven Adams - powiedziała uroczyście.

- Brady Ross - odparł równie uroczyście Brady.

- Miło mi cię poznać, Brady.

- Nawzajem, Haven.

Chciała dodać coś jeszcze, ale przeszkodziło jej w tym jakieś zamieszanie. Usłyszeli rozzłoszczone głosy, a potem okrzyk bólu i głośny płacz. Zobaczyli grupkę dzieci skupioną wokół huśtawki, pod którą leżał skulony mały chłopczyk.

- Przepraszam cię - rzuciła Haven i pobiegła na pomoc kobiecie, która przykucnęła przy dziecku. Po piegowatej twarzy chłopca spływały strumieniami łzy.

Obok grupki dzieci, próbującej chronić leżącego na ziemi kolegę, stał, zaciskając pięści, mały, mniej więcej sześciolatek. Nie ulegało wątpliwości, że to on był winowajcą.

Chłopczyk ten przykuł uwagę Brady'ego. Miał jasnoblonde włosy, niebieskie oczy i twarz aniołka, ale spoglądał na zgromadzonych z wściekłością.

Brady'emu stanęły przed oczyma lata własnego dzieciństwa. Gdy patrzył na chłopca, czuł się tak, jakby cofnął się w czasie. Jak dobrze był mu znany zły błysk w oczach dziecka. Ileż to razy ogarniała go niepoohamowana, domagająca się ujścia złość, gdy przerzucano go wciąż z jednej rodziny zastępczej do drugiej. Gotów był się założyć, że ojciec chłopca zniknął zaraz po jego urodzeniu, porzucając matkę - prawdopodobnie bez żadnego wykształcenia i zbyt młodą, by dać sobie samej radę. Być może musiała pracować na dwóch posadach, aby z trudem związać koniec z końcem.

Chłopak wyraźnie chciał zwrócić na siebie uwagę, co było charakterystyczne dla porzuconych dzieci. I pewnie tak jak kiedyś Brady, był gotów zrobić wszystko, by osiągnąć swój cel. Nawet gdyby to miało mu zaszkodzić. A im będzie starszy, tym gorzej będzie się zachowywał.

Gdy podrośnie, stanie się pewnie, podobnie jak Brady, częstym gościem w sądzie dla nieletnich. I raczej mało prawdopodobne, że zjawi się wtedy na jego drodze równie wspaniałomyślny człowiek jak Charles Ross, gotów go mimo wszystko zaadoptować. Wciąż się zastanawiał, jak Charles z nim wytrzymał. Pierwszy rok spędzony wspólnie pod jednym dachem, dopóki przybranemu ojcu nie udało się przełamać wszystkich oporów Brady'ego, był istnym piekłem. Jeśli wkrótce nie zjawi się odpowiedni człowiek, skłonny przysposobić tego chłopaka, jego przyszłość maluje się w czarnych kolorach.

Obserwował Haven, która pozostawiła poszkodowane dziecko pod opieką drugiej kobiety i zwróciła się do stojącego z boku łobuziaka. Rozmawiała z nim tak długo, aż złość znikła z jego oczu. Wydawało się nawet, że jest bliski płaczu. Skinął potakująco głową w odpowiedzi na słowa Haven, po czym podszedł do grupki dzieci otaczających huśtawkę.

- Billy, przepraszam, że cię uderzyłem - powiedział ledwie słyszalnie.

Billy wytarł ręką nos, pozostawiając na policzku smugę brudu.

- W porządku. Pobawimy się w berka?

- Dobra.

Brady pomyślał, że być może przyszłość chłopca nie wygląda aż tak czarno. Zrozumiał też, jak ważną rolę odgrywa

Haven w życiu tych dzieci. Podobnie jak Charles, podtrzymywała w nich nadzieję, pocieszała ich i była pełna zrozumienia. Zastępowała im rodziców, którzy nie mieli dla nich czasu.

- Przepraszam cię za to całe zamieszanie - powiedziała Haven, podchodząc do niego. - Ale tak już tu jest. Co chwila coś dzieje.

- Jak nazywa się ten chłopiec?

- Który?

- Ten, który rzucił się z pięściami na kolegę.

- Aha, chodzi ci o Chada.

- Wygląda na to, że potrzebuje silnej ręki.

- Jemu po prostu brakuje ojca - stwierdziła z westchnieniem i natychmiast pożałowała swoich słów.

Brady, choć świadom, że może się ponownie narazić, nie był w stanie oprzeć się pokusie wykorzystania nadarzającej się okazji.

- Nie tylko chłopcom potrzebny jest ojciec. Dziewczynkom też - powiedział.

- Czego ty ode mnie właściwie chcesz? - zapytała Haven.

- Chcę, abyś pomogła mi być ojcem dla mojej córki.

- Powiedziała ci już, że nie mam nic przeciwko temu, żebyście się widywali.

Brady potrząsnął przecząco głową.

- Nie to mam na myśli. Jesteś przecież nauczycielką. Chciałbym, żebyś mnie nauczyła, jak być ojcem.

- Mam cię uczyć, jak być ojcem? - zdziwiła się Haven.

- Czy to taka niedorzeczna prośba?

- Nie, ale zaskakująca.

- A więc pomożesz mi?

- Po prostu przytulaj i całuj Annę jak najczęściej, kochaj ją całym sercem, pomagaj jej podnieść się, kiedy się przewróci, i słuchaj tego, co ma do powiedzenia.

- To wszystko? Haven rozłożyła ręce.

- To wszystko. Prawda, jakie to proste?

Być może było to proste, ale Brady wcale nie był pewien, czy podoła. Obawiał się zwłaszcza, czy potrafi okazać Annie miłość.

- Sama widziałaś, jak się zachowałem w stosunku do Anny dzisiaj rano. Obawiam się, że nie przyjdzie mi to tak łatwo.

- Bądź po prostu sobą. Dzieci doskonale wyczuwają najdrobniejszy fałsz. Rozluźnij się. Wszystko będzie dobrze.

- Jakoś nie wyszło mi na dobre, że byłem sobą w stosunku do ciebie - stwierdził.

Ku jego zaskoczeniu Haven roześmiała się.

- To co innego.

Zastanawiał się, o co jej chodzi. Czy o to, że był ojcem Anny i intruzem w życiu Haven? A może o to, że się jej podobał?

- Czy chcesz najpierw dowiedzieć się, jaki będzie wynik testu DNA, zanim pozwolisz mi widywać się z Anną?

Haven pomyślała, że należy mu się rozmowa na ten temat, i podjęła szybką decyzję.

- Co robisz dziś wieczorem? - zapytała.

Siedziała w bujanym fotelu, który skrzypiał rytmicznie, i tuliła niemowlę, głaszcząc je delikatnie po plecach. Po chwili maluchowi odbiło się.

- Wspaniale, Jimmy - zagruchała czule, unosząc trzymiesięczne dziecko w powietrze. - Nawet mnie tym razem nie opluć. Twój układ trawienny funkcjonuje coraz lepiej.

Jimmy uśmiechnął się szeroko, śliniąc się przy tym.

Haven uwielbiała dzieci, ale najbardziej lubiła niemowlaki. Kochała w nich wszystko: to, że były takie małe i bezradne, że tak miło je było wziąć w ramiona i przytulić, i to, że były tak bardzo zależne od niej. Bardzo chciałaby mieć dom pełen niemowlaków. Oczami wyobraźni widziała siebie w zaawansowanej ciąży, z niemowlęciem na ręku, otoczona gromadką dzieci uwieszonych u jej sukienki.

Niestety los zrządził inaczej. Gdy miała szesnaście lat, uległa wypadkowi samochodowemu, w wyniku którego nie mogła mieć dzieci. Na szczęście los podarował jej Annę. Zajmowała się też dziećmi innych kobiet i czuła się chwilami tak, jakby była ich rodzoną matką. Bólu w sercu nie udało jej się ukoić do końca, ale kiedy tylko zatęskniła za słodkim maluszkiem, miała pod ręką cały żłobek.

Przytuliła Jimmy'ego do piersi, zamknęła oczy i zaczęła znowu bujać się w fotelu. Wróciła myślą do Brady'ego Rossa i jego ponownej niespodziewanej wizyty. Żaden mężczyzna nie wzbudził w niej nigdy tylu mieszanych uczuć w tak krótkim czasie. Co jej strzeliło do głowy, żeby zaprosić go na kolację?

Pewnie zrobiła to, bo wiedziała, że w gruncie rzeczy Brady ma rację. Ze względu na Annę powinni spróbować się jakoś dogadać. Należało powoli zacząć przyzwyczajać małą do wizyt ojca, na początku pod czujnym okiem Haven. Anna powinna oswoić się z obecnością Brady'ego, nawiązać z nim

kontakt, zanim dowie się, że jest jej tatusiem - oczywiście jeśli zostanie to oficjalnie potwierdzone.

Mogła też kazać mu czekać na wyniki testu. Było to jednak dość ryzykowne, bo w przyszłości mógłby wziąć na niej odwet. Nie, lepiej się nie narażać. I w żadnym przypadku nie wyprowadzać go z równowagi.

A jeżeli okaże się, że nie jest ojcem Anny? - pomyślała nagle z przerażeniem. Że cała sprawa jest ukartowanym podstępem? Wyniki testu DNA będą gotowe dopiero za kilka tygodni. Jeśli Brady ma nieuczciwe zamiary, zyskuje w ten sposób czas, żeby zrealizować swój cel. Na przykład porwać dziecko...

Zawsze obawiała się porwania z powodu fortuny, jaką dziedziczyła Anna. Wielokrotnie rozważała ewentualność wzięcia dla niej ochroniarza - zwłaszcza po ukazaniu się artykułu o małej. Za każdym razem jednak rezygnowała z tego zamiaru. Melinda nigdy niczego się nie bała i na pewno nie chciałaby, żeby jej córka żyła w strachu.

Tuż przed śmiercią wyraziła życzenie, aby Anna wychowywała się zwyczajnie, jak każde inne dziecko. Depczący po piętach ochroniarz na pewno nie towarzyszył każdemu dziecku. Prawdopodobieństwo, że jakieś pozbawione skrupułów indywiduum będzie próbowało porwać dziewczynkę dla wymuszenia okupu, było raczej niewielkie, choć nie można było całkowicie wykluczyć takiej możliwości. Haven z Anną wiodły skromne życie w średnio zamożnej dzielnicy. Większość ludzi nie miała pojęcia, kim jest Anna i jak bardzo jest bogata.

Nie sądziła, aby Brady planował porwanie Anny. Gdyby tak było, nie pojawiłby się w Centrum i nie deklarowałby, że jest ojcem dziewczynki. Większość porywaczy raczej nie ujawnia swojej twarzy wobec rodziny ofiary.

Haven wciąż łudziła się, że to tylko sen, z którego się za chwilę obudzi, i wszystko będzie po staremu. Niestety była to nieubłagana rzeczywistość. Brady Ross nie zamierzał zniknąć z ich życia, co wyraźnie podkreślił w rozmowie, a ona doskonale wiedziała, że nie jest ani porywaczem, ani nikim w tym rodzaju.

W gruncie rzeczy ufała mu. Musiała mu ufać, bo inaczej nie dopuściłaby go do Anny ani nie zgodziłaby się na test ojcostwa. A już z pewnością nie zaprosiłaby go do domu na kolację.

Ale to wszystko nie trzymało się kupy. Jak mogła ufać człowiekowi, do którego nie czuła nawet cienia sympatii?

Brady był arogancki, cyniczny i całkowicie pozbawiony taktu. I do tego wszystkiego mógł zabrać jej Annę. Logika nakazywała trzymać się od niego z daleka. Niestety logika zawodziła ją, gdy ten mężczyzna znajdował się w pobliżu.

Haven skrzywiła się, gdy przypomniała sobie jego stwierdzenie, że Anna potrzebuje ojca tak samo jak Chad. Brady nie zdawał sobie nawet sprawy, w jak czułą strunę uderzył. Lata całe zżerała ją tęsknota za ojcem, a tu nagle zjawił się Brady Ross, oferując Annie to, czego Haven zawsze tak bardzo pragnęła w dzieciństwie. Jak mogła odmówić małej takiej radości?

Natomiast jednego była pewna. Jeśli Brady zrobi Annie krzywdę - jest gotowa udusić go gołymi rękami.

Przecież to nie żadna randka, skarciła się Haven w myślach, gdy parę godzin później malowała usta szminką z przesadną starannością. Dlaczego tak się zachowujesz, idiotko?

Odłożyła szminkę, zastanawiając się nad swoim spostrzeżeniem. Przed chwilą zdjęła pogniecioną, żółtą sukienkę z plamą z soku na przodzie i włożyła lekką sukienkę w kwiaty, bez rękawów i z głębokim dekoltem. Stwierdziła, że ma bardzo opalone ramiona. Pora, żeby zacząć smarować siebie i dzieciaki kremami z filtrem.

Doszła też do wniosku, że się zbyt wydekoltowała. Nie chciała, aby Brady sobie pomyślał, że to dla niego tak się wystroiła. Postanowiła się przebrać. Luźne spodnie i bluzka wydały jej się bardziej stosowne na tę okazję. Bluzka oczywiście zapięta pod samą szyję.

- Binny! - zawołała Anna z dołu.

- Co takiego, kochanie? - odkrzyknęła Haven, wychodząc z garderoby.

- Kuchenka sycy jak wąż.

Kuchenka? O Boże, ziemniaki! Zupełnie o nich zapomniała. Pewnie wygotowała się woda.

- Już biegnę! - zawołała do Anny.

Nie zdążyła się przebrać. Zbiegła schodami na dół, zadowolona, że Josephine wyszła na noc. Nie dojrzała jeszcze do tego, by jej powiedzieć o Bradym, a zwłaszcza o przyczynie jego wizyty.

Zaledwie zdążyła opanować sytuację w kuchni, rozległ się dzwonek do drzwi. Wzięła głęboki oddech, usiłując nastawić się psychicznie na czekający ją wieczór. Od dziś zamierzała zacząć uczyć Brady'ego Rossa, jak być ojcem. Modliła się tylko w duchu, by nie stracić przy tym Anny.

- Cześć - powitał ją z uśmiechem, gdy otworzyła drzwi.

Jeszcze nigdy nie widziała go tak rozpromienionego. Gdy uśmiechał się, robiły mu się dołki w policzkach. Ciepłe spojrzenie szarych oczu przyprawiło Haven o przyśpieszone bicie serca. Oblała się rumieńcem.

- Cześć - odpowiedziała na powitanie, z trudem opanowując drżenie głosu.

Na miłość boską, przestań zachowywać się jak szesnastolatka, która po raz pierwszy umówiła się na randkę, ostrzegła się w duchu. W dodatku to nie jest żadna randka!

Brady spojrzał na Haven. Błysk uznania, jaki dostrzegła w jego oczach, sprawił jej głęboką satysfakcję.

- Ładnie wyglądasz - powiedział.

Haven zauważyła, że się przebrał. Zamiast dzinsów miał teraz na sobie spodnie koloru khaki i białą bawełnianą koszulę.

- Dziękuję - odparła. - Ty też dobrze wyglądasz.

- Gdzie jest Anna?

- Ogląda „Ulicę Sezamkową”.

- Czy mogę wejść?

Haven zarumieniła się. Przyglądała mu się z taką uwagą, że zapomniała zaprosić go do środka.

- Oczywiście - powiedziała i usunęła się na bok.

Gdy przekraczał próg, Haven dostrzegła, że w jednej ręce ma pluszowego misia, z pewnością dla Anny, a w drugiej plastikową butelkę. Zamknęła drzwi i odwróciła się twarzą do niego.

- To dla ciebie - powiedział Brady i podał Haven butelkę. Było to mleczko do opalania. Popatrzyła na niego zdumiona.

- Zauważyłem dzisiaj po południu, że masz spieczone od słońca nos i ramiona.

- Dziękuję - odparła z rezerwą. - To bardzo uprzejme z twojej strony.

Czyż nie był to jeszcze jeden dowód na to, że Brady nie odwzajemniał jej zainteresowania? Przecież mężczyzna zabiegający o względy kobiety nie przynosi jej w prezencie mleczka do opalania! Owszem, kwiaty, czekoladki, wino. Ale mleczko? Nie, to na pewno nie jest randka, stwierdziła Haven, prowadząc gościa do pokoju.

Anna wdrapała się na kanapę, ściskając mocno misia, którego dostała w prezencie, i usadowiła się obok Brady'ego. Haven wycofała się do kuchni, zostawiając ich sam na sam, aby mogli się lepiej poznać. Dobiegające stamtąd szczerkanie zmywanych talerzy działało na Brady'ego kojąco.

Podsumował w myślach wieczór i doszedł do wniosku, że wcale nie było tak źle. Kolacja przeszła spokojnie, bez żadnych spięć, choć może przesadnie delectował się jedzeniem. Ale był to dla niego pierwszy domowy posiłek od niepamiętnych czasów, prawdziwa uczta. Gdy wziął do ust pierwszy kęs, nie mógł się już powstrzymać. Widział, że Haven przygląda mu się od czasu do czasu ze zdziwieniem, ale nie pytała, dlaczego Brady tak się zachowuje.

Wciąż czuł się niezręcznie w stosunku do Anny, jednak powoli zaczynał się do niej przyzwyczajać. Nabrał nadziei, że po jakimś czasie nie będzie już tak spięty w jej obecności. Oby mu się tylko udało zwracać mniej uwagi na Haven!

Ona sama mu tego z pewnością nie ułatwiała. Wystarczyło, że przymknął oczy, a obraz jej obnażonych ramion i smukłej szyi stawał przed nim jak żywy. Spalone słońcem ramiona stanowiły pokusę, której z trudem mógł się oprzeć.

- Wujku Blady? - odezwała się Anna. Zdecydowali wspólnie z Haven, że lepiej będzie, jeśli

Anna trochę się z nim spoufali, bo łatwiej będzie jej potem przestawić się na nazywanie go „tata”. Brady, słysząc jak dziewczynka nazywa go wujkiem, poczuł ściskanie w gardle.

- Tak, Anno? - spytał ochrypłym głosem.

- Dlaczego jedna noga ci nie placuje?

- Bo upadłem i złamałem ją. Kuleję, ponieważ nie udało się jej dobrze wyleczyć.

- A dlaczego upadłeś?

- Wskoczyłem z samolotu i źle wylądowałem. Anna otworzyła szeroko oczy.

- Ze spadochronem, tak?

- Tak, ze spadochronem - skinął głową Brady.

- Ojej!

Ten okrzyk zachwyty rozbawił go.

- Czy chciałabyś kiedyś skoczyć z samolotu?

- Aha. Ale Binny nie pozwoli, bo to niebezpieczne.

- Binny jest bardzo mądra - powiedział Brady. - Powinnaś zawsze jej słuchać.

Uznał temat nogi za zamknięty, ale Annę wyraźnie nurtowała ta sprawa.

- Dlaczego jej dobrze nie wylecyli?

Ponieważ zostałem wzięty do niewoli przez grupę partyzantów. Nikomu nawet się nie śniło sprowadzać do mnie lekarza, więc nastawiłem sobie nogę sam, tak jak umiałem, odpowiedział w duchu, a głośno odparł krótko:

- Po prostu nie udało się, i tyle. No dobrze, a teraz powiedz mi, na co masz ochotę?

Anna zeskoczyła z kanapy, podbiegła do półki i zdjęła z niej książkę.

- Pocytas mi?

Z początku Brady często się zacinał, a jego głos brzmiał nienaturalnie. Nie mógł się skoncentrować, czując bliskość dziewczynki. Była taka malutka i patrzyła na niego z taką ogromną ufnością. Przerazało go to.

„Rozluźnij się. Bądź sobą” - pobrzmiwały mu w głowie słowa Haven. Wreszcie udało mu się skoncentrować na tym, co czytał. Nawet nie spostrzegł, kiedy historyjka o wiekowych trollach pochłonęła go całkowicie.

Gdy skończył czytać, spojrzął sponad książki i zobaczył stojącą w drzwiach Haven. Wpatrywała się w niego ciepłym i rozmarzonym wzrokiem. Przez chwilę nie mógł oderwać od niej oczu, a serce zaczęło mu walić jak młotem.

- To było wspaniałe - powiedziała. - Dzięki tobie ta historia ożyła, a znamy ją przecież prawie na pamięć.

Chciała w ten sposób dać mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Westchnął z ulgą, wdzięczny za tę zachętę, usiłując uspokoić jakoś kołaczące niespokojnie serce.

- Dzięki za pochwałę. Czy mogę pomóc ci przy zmywaniu?

Haven potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Już prawie skończyłam. Poza tym zdaje się, że ktoś inny ma w stosunku do ciebie pewne zamiary... - powiedziała, patrząc wymownie na dziecko.

Dziewczynka siedziała przytulona mocno do Brady'ego. Na jej kolanach piętrzyła się sterta książek. Przez chwilę był tak zajęty Haven, że nawet nie zauważył, kiedy zdążyła je przynieść.

- Pocytas mi jesce, wujku Blady? - spytała z nadzieją w oczach. - Tak fajnie cytas.

Brady'emu ścisnęło się serce. Nie potrafiłby odmówić córce, nawet gdyby zapragnęła gwiazdki z nieba. Wziąłby wtedy sznur i spróbował schwytać ją na łąso.

- Jasna sprawa, maluchu - powiedział szorstko, usiłując ukryć wzruszenie
- Od czego chcesz zacząć?

Godzinę później, gdy Anna już spała, Brady i Haven siedzieli na bujanej kanapie na werandzie, w bezpiecznej odległości od siebie. Skrzypienie huśtawki mieszało się w z cykaniem świerszczy. Brady obserwował opadające za horyzont słońce.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś nigdy przedtem nie widział zachodu słońca - stwierdziła rozbawiona Haven.

- Rzeczywiście tak się czuję - odparł Brady i spojrzał na twarz Haven w półmroku.

- Jest piękny, prawda?

Brady zajrzał Haven głęboko w oczy.

- To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałem.

Haven wytrzymała jego spojrzenie przez dobrą minutę, po czym odwróciła twarz.

- No dobrze, a kiedy zamierzasz zacząć szukać pracy? - zapytała.

Brady skrzywił się. Dobrze mu tak! Nie powinien z nią flirtować po tym, jak za wszelką cenę usiłował ją do siebie zrazić.

- Dręczy cię to, że jestem bez zajęcia, prawda?

- Owszem - przytaknęła.

- Ale dlaczego?

- Przypomnij sobie matkę Chada. Gotowa jest zapracować się na śmierć, żeby zapewnić swojemu dziecku lepsze warunki. Dlatego odczuwam niesmak na widok zdrowego mężczyzny, któremu życie przecieka przez palce.

- Masz na myśli mnie? - upewnił się Brady.

- Tak.

- Anna jest bogata. Nie potrzebuje finansowego wsparcia.

Zapadający zmrok nie był w stanie ukryć rozgoryczenia w oczach Haven.

- Dzieci uczą się, biorąc przykład z innych - powiedziała. - Jakim przykładem może być dla niej bezrobotny ojciec? To, że Anna jest bogata, nie oznacza, że ma wieść próżniacze życie.

- Zgadzam się z tobą.

- Doprawdy? - Zmrużyła oczy.

Choć Brady nie zamierzał na razie ujawniać Haven swojej przeszłości ani też rozwodzić się nad tym, z jakich powodów miał obecnie status bezrobotnego, w tej sprawie mógł się spokojnie z nią zgodzić.

- Tak, Haven. Naprawdę.

- Więc dlaczego nie pracujesz? Brady zapatrzył się w noc.

- Potrzebuję trochę czasu dla siebie. Może uspokoi cię fakt, że nie pobieram zasiłku i że nie zamierzam pozostać bez pracy na dalszą metę. Gdy Anna będzie na tyle duża, żeby zadać mi pytanie na ten temat, na pewno będę w stanie dać jej odpowiedź.

- Cieszy mnie to.

Zamilkli. Ostatnie promienie słońca zniknęły za horyzontem. Rosnące na dziedzińcu pierwiosnki rozwinęły płatki, w ciemnościach zamigotał rój świetlików.

- Czy dziś dobrze się zachowywałem w stosunku do Anny? - odezwał się w końcu Brady.

- Owszem. Wyszedłeś z tej pierwszej próby zwycięsko. Brady pokręcił głową.

- Wiesz, nie sądziłem, że to będzie takie...

- Proste? - przerwała mu w pół słowa Haven. - Czy też przyjemne?

- Myślę, że jedno i drugie.

- Jeśli traktuje się coś jak obowiązek, trudno wyobrazić sobie, że może to również sprawiać przyjemność - stwierdziła Haven wyzywająco.

- Poddaję się! - odparł Brady. - Udało ci się zapędzić mnie w kozi róg. Nie traktuję swoich powinności ojcowskich wyłącznie jako obowiązku. Na początku może i tak było, ale gdy tylko zobaczyłem Annę, zrozumiałem, że znaczy dla mnie dużo więcej. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że istnieje między nami taka... więź.

- To całkiem normalna rzecz między rodzicami i dziećmi - powiedziała cicho Haven. Brady wyczuł coś dziwnego w jej głosie.

- To dlatego tak bardzo się zjeżyłaś na mój widok, prawda? - zapytał. - Nie dlatego, że zjawilem się ni stąd, ni zowąd, ale ponieważ oświadczyłem, że łączą mnie z Anną więzy krwi.

Haven skinęła głową.

- Anna potrzebuje kochającego ojca, a nie takiego, który jest z nią wyłącznie z poczucia obowiązku.

Brady w całym swoim życiu był w stanie pokochać tylko dwie osoby. Jedną z nich był mężczyzna, który mu zastąpił ojca, drugą - jego najlepszy przyjaciel. W obu przypadkach przyszło mu to z trudem. Nawet teraz, choć czuł silną więź z małą dziewczynką, która była jego córką, nie był pewien, czy potrafi okazać jej miłość. Musiał jednak spróbować, choćby z uwagi na pamięć o Charlesie Rossie.

- Nie jestem pewien, czy wierzę w miłość - powiedział - ale jestem tutaj, Haven. I nie ruszę się stąd ani na krok.

- To dopiero początek - ostrzegła go. - Pamiętaj, że masz przed sobą jeszcze kilka lekcji. Wierz mi, znacznie łatwiej jest wychowywać trzyletnie

dziecko niż szesnastolatkę. Jak się zachowasz, gdy Anna zacznie ci zadawać pytania na temat seksu?

Brady'ego przeraziła sama myśl o tym.

- Najlepiej zamknąć ją w klasztorze, aż do skończenia trzydziestu lat - odparł.

Haven wybuchnęła śmiechem.

- Mówisz jak prawdziwy ojciec.

Ta uwaga Haven sprawiła Brady'emu przyjemność. Tak jak sprawiało mu również przyjemność siedzenie po ciemku obok niej, napawanie się jej bliskością, podziwianie jej pięknej twarzy.

Spuścił nogę na ziemię i zatrzymał huśtawkę. Najwyższa pora wracać do domu. Musi uciekać stąd, zanim ulegnie czarowi nocy i czarowi tej kobiety - i zrobi coś, czego będzie potem żałował, na przykład zanim ją pocałuje.

- Dziękuję za kolację - powiedział, wstając, a Haven poszła za jego przykładem. - I za lekcję na temat ojcostwa.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedziała ciepło.

- Czy prawdziwy Brady Ross zechciałby wystąpić z szeregu? - mruknęła Haven, patrząc za odjeżdżającym samochodem. Ten mężczyzna był wielką zagadką. Nie chciał powiedzieć, gdzie się podziewał od czasu, gdy Anna została poczęta, ani dlaczego czuł taką niechęć do pracy, ale za to zwierzał się ze swoich wątpliwości i obaw co do tego, czy nadaje się do roli ojca. Miał cyniczny stosunek do miłości, ale zachwycał się zachodem słońca. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek go zrozumie. Być może, dla własnego spokoju, nie powinna nawet próbować.

Właśnie zamierzała wejść do domu, gdy nagle na podjazd wtoczył się, charcząc, zdezelowany wóz. Drzwiczki otworzyły się i z samochodu wysiadła starsza kobieta.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała Haven.

- Szukam pani Haven Adams.

- To ja - odparła Haven. Ogarnęły ją złe przeczucia. Wczoraj dokładnie tymi samymi słowami zagadnął ją Brady Ross. I nic dobrego z tego nie wynikło.

- Proszono mnie, abym to pani doręczyła - powiedziała kobieta i podała Haven szarą kopertę, po czym ruszyła z powrotem do samochodu.

Haven poczekała, aż dziwna wysłanniczka odjedzie, i dopiero wtedy otworzyła kopertę. Kiedy przeczytała napisany na maszynie tekst, poczuła, że krew odpływa jej z twarzy i uginają się pod nią kolana. Osunęła się na krzesło stojące na werandzie.

- Nie! - wykrzyknęła. - To niemożliwe.

Przeczytała list jeszcze raz, aby upewnić się, że nie myli ją wzrok. Niestety wszystko zgadzało się co do słowa.

Do sądu wniesiono pozew. Rozprawa miała się odbyć za sześć tygodni. Haven była pozwana w sprawie o opiekę nad Anną.

RS

ROZDZIAŁ 4

Zdesperowana Haven z niespokojnie bijącym sercem czekała, aż jej adwokat przekopiuje stertę papierów, które trzymał w ręku. Nie była w stanie usiedzieć na miejscu, wierciła się w fotelu i bębniła palcami o jego oparcie w rytm bicia serca, błędząc wzrokiem po gabinecie.

Słońce rzucało snopy światła przez długi rząd okien; na szarym wełnianym dywanie widoczne były smugi cienia. Ściany zdobiła mahoniowa boazeria i szafy na książki, kilka olejnych obrazów oraz oprawione w ramki dyplomy Uniwersytetu w Pensylwanii i Wydziału Prawa w Harvardzie. Wokół unosił się zapach dobrego gatunku drewna, dużych pieniędzy i drogich cygar.

Jeszcze większe wrażenie niż pokój robił mężczyzna siedzący za masywnym mahoniowym biurkiem. Syd Spear był tuż po pięćdziesiątce, miał blisko dwa metry wzrostu, łysinę, atletyczną budowę i orli wzrok. Specjalizował się w sprawach majątkowych i prawie rodzinnym, odnosząc ogromne sukcesy. Haven poznała go dzięki Melindzie, a po śmierci przyjaciółki Syd został jej adwokatem. Miała nadzieję, że dzisiejszego ranka stwierdzi, że jej obawy są bezpodstawne.

- A więc? - zapytała, nie mogąc już dłużej czekać.

Syd z westchnieniem odłożył papiery na biurko i zmęczonym gestem potarł skroń.

- Nie miałem czasu dokładnie przestudiować treści tego pisma. Ale wynika z niego, że Douglas i Pamela Zieglar, cioteczna babka i dziadek Anny, wnieśli do sądu pozew w sprawie przejęcia opieki nad dzieckiem.

- Wiem o tym. - Haven była zbyt zniecierpliwiona, żeby wysłuchiwać długich, skomplikowanych wyjaśnień. - Pozostawmy formalności i przejdźmy do sedna sprawy. Co to oznacza dla mnie?

- Chwileczkę... - Syd nacisnął guzik interkomu, powiedział parę słów, po czym ponownie zagłębił się w fotelu. - Najpierw moja sekretarka przyniesie ci kawę. Gdy ją wypijesz, odetchnij kilka razy głęboko. Jesteś napięta bardziej niż przestrojona struna w gitarze. Jeśli mamy cokolwiek zdziałać, musisz się najpierw uspokoić.

Haven opadła ciężko na fotel.

- Przepraszam cię, Syd. Wiem, że jestem spięta. Od zeszłego wieczora, to znaczy od chwili gdy otrzymałam tę wiadomość, nie mogę myśleć o niczym innym. Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Jestem kłębkiem nerwów.

- Rozumiem.

Haven spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie mogę stracić Anny. A już na pewno nie mogą jej dostać ci ludzie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jacy oni są.

- Mam o nich jako takie pojęcie. Nie zapominaj, że byłem adwokatem Melindy. Wiem, że po śmierci jej rodziców wzięli ją do siebie wyłącznie z pobudek finansowych. Wiem też, że nie okazywali Melindzie ani krzty miłości. Ale są dobrze znani i zajmują dosyć wysoką pozycję w tutejszej społeczności. Niezależnie od tego, co o nich myślimy, mają nienaganną reputację.

Haven ścisnęła palcami leżącą na kolanach torebkę.

- Co nie oznacza jeszcze, że są dobrymi ludźmi - mruknęła.

- To prawda - przyznał Syd.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła wysoka, szczupła kobieta z filiżanką kawy w ręku. Podała ją Haven, która bąknęła coś w podziękowaniu i chciwie upiła łyk. Poczowała, że gorący płyn przywraca jej powoli równowagę.

- Lepiej? - spytał Syd.

- Dużo lepiej - odparła, skinąwszy głową. - Powiedz mi teraz, o co tu w ogóle chodzi?

- Dopiero kiedy dopijesz kawę i weźmiesz kilka głębszych oddechów.

Haven, choć z niechęcią, zastosowała się do jego życzenia.

- W porządku - powiedziała. - Już jestem spokojna i opanowana. Więc o co tu chodzi?

- Państwo Zieglar postawili zarzut, że nie jesteś odpowiednią opiekunką dla Anny.

Haven wstrząsnął dreszcz. Omal nie upuściła pustej filiżanki.

- To niedorzeczne!

Poczuła, że ogarnia ją panika. Odetchnęła parę razy głęboko, starając się odzyskać spokój. Musiała zastosować taktykę, dzięki której skutecznie pokonywała wszelkie kryzysy w Centrum. Utrata kontroli nad sobą oznaczała przegraną. Nie mogła w żadnym wypadku pozwolić sobie na to, żeby przegrać tę walkę.

- Jeśli ktoś nie jest odpowiednim opiekunem dla Anny - powiedziała opanowanym głosem - to właśnie oni. Mogłabym ci opowiedzieć historie, od których włosy stają dęba na głowie. Jak to możliwe, że wysuwają tak idiotyczne zarzuty?

- Wszystko stoi czarno na białym w pozwie - odparł Syd.

- Może jednak mi to wyjaśnisz? Syd przerzucił kilka kartek.

- Po pierwsze zarzucają ci, że Anna przebywa cały czas w ośrodku opieki dziennej...

- Tak jak wiele dzieci pracujących matek, którym nikt nie zarzuca, że są złymi opiekunkami. Mała jest w ośrodku, ponieważ ja go prowadzę.

Otworzyłam go, gdy Anna miała rok. Przebywa w nim, żeby być blisko mnie.

- Cała rzecz w tym, że nie jesteś matką Anny, tylko jej opiekunką. A to zmienia postać rzeczy.

Jego słowa zabolaly Haven. Bardzo pragnęła zaadoptować dziewczynkę. Błagała Melinę, żeby się na to zgodziła, ale przyjaciółka odmówiła. Anna była ostatnim potomkiem rodu Dolanów i Melinda nie chciała, żeby ród przestał istnieć. Według niej przyznanie Haven praw opieki nad dziewczynką czyniło ją jej matką. Niestety, jak zauważył Syd, prawo miało do tego jeszcze bardziej

rygorystyczny stosunek. Gdyby Haven pozwolono adoptować Annę, nie siedziałaby teraz tutaj, przerażona możliwością utraty dziecka.

- W jakich godzinach jest czynny ośrodek? - spytał Syd.

- Od ósmej rano do szóstej wieczorem, od poniedziałku do piątku - odparła Haven znużonym głosem.

- Czyli dziesięć godzin dziennie.

- Owszem. Brawo, Syd, udało ci się to obliczyć bez używania kalkulatora.

- Haven nawet nie usiłowała ukryć, że czuje się dotknięta. - Dlaczego mnie tak przepytujesz? Dlaczego usiłujesz wzbudzić we mnie uczucie, że nie jestem w porządku?

- Staram się spojrzeć na tę sprawę oczami adwokata państwa Zieglarów. Wierz mi, Haven, to ważne. Nie zapominaj, że jestem po twojej stronie, nawet jeśli masz inne wrażenie. Czy pozwolisz, że będę pytał dalej? Haven skinęła sztywno głową.

- Zakładam, że jesteście z Anną w ośrodku przez cały ten czas...

- Tak.

- A ile czasu poświęcasz wyłącznie Annie? Haven rozłożyła ręce, coraz bardziej sfrustrowana.

- Nie mam pojęcia. Każdą wolną chwilę. Nie zapisuję przecież sobie tego. Spędzam z nią również wszystkie wieczory i weekendy. Czy to się nie liczy?

- Zieglarowie twierdzą, że są w stanie poświęcić Annie o wiele więcej czasu.

Haven wyduła wargi.

- Oboje wiemy, że jeśli dostaną dziecko w swoje ręce, pozbędą się go natychmiast, gdy tylko będzie w odpowiednim wieku, wysyłając je do internatu.

- My o tym wiemy, ale sędzia nie.

- To dlaczego mu o tym nie powiemy?

- Ponieważ wysłanie dziecka do internatu nie jest żadnym przestępstwem - stwierdził Syd.

- Z wielką przyjemnością powiem w sądzie o tym, jak przez lata zaniechali Melindę. Nigdy jej nie odwiedzali, nie brali na wakacje do domu, nawet nie przysłali jej kartki na urodziny...

Syd pokręcił głową.

- Niestety Melinda nie będzie mogła tego potwierdzić. Twoje oświadczenie może zostać uznane za czyste pomówienie. Sędzia ci nie uwierzy. Do tego Zieglarowie mają dodatkowy atut, którego ty nie posiadasz.

- Co to za atut?

- Więzy krwi. Są spokrewnieni z Anną, a ty nie. Często w sprawach tego typu jest to kluczowy argument. Jest bardzo prawdopodobne, iż będą twierdzić, że skoro wychowali osieroconą bratanicę, mają prawo do jej córki.

Melinda w gruncie rzeczy wychowywała się sama, pomyślała Haven, ale nie wypowiedziała tej myśli głośno. Nie musiała, bo Syd o tym wiedział. Zastanawiała się, jak zareagowałby, gdyby wyładowała frustrację i złość, kopiąc z całej siły jego biurko.

- A wiek? - spytała. - Czy nie są dla Anny za starzy? Są przecież jej ciotecznymi dziadkami.

- Wielu dziadków wychowuje dziś swoje wnuki - odparł Syd. - Kluczową sprawą jest to, że są rodziną. W większości przypadków uważa się, że rodzina, bez względu na wiek, jest lepsza niż obcy ludzie. Muszę cię ostrzec, że sędzia, który prowadzi tę sprawę, również skłania się ku takiej opinii.

Do tego, żeby grupę ludzi można było uznać za rodzinę, potrzebne są nie tylko więzy krwi, ale coś znacznie więcej, pomyślała Haven. Potrzebna jest, na przykład, miłość. A także dążenie do wspólnego celu. Dlaczego sąd nie miałby tego zrozumieć?

- A jak wygląda sprawa ostatniej woli matki Anny? - zapytała. - Melinda zdecydowanie obstawała przy tym, abym to ja była opiekunką dziewczynki.

- Zieglarowie tłumaczą to jej chorobą, twierdząc, że nie była w stanie trzeźwo ocenić, co będzie najlepsze dla Anny. Sędzia może się na to nabrać.

- A jeśli zamknę ośrodek? Będę się wtedy mogła całkowicie poświęcić małej.

- Na jak długo starczy ci wtedy pieniędzy? - zripostował Syd. - Co zrobisz, jak się skończą? Wiem, że nie ruszysz pieniędzy Anny. Przynajmniej do tej pory tego nie zrobiłaś.

- Co jeszcze? - Haven westchnęła ciężko.

- Zieglarowie wystąpili z pozwem dokładnie dwa tygodnie temu, po tym jak Anna upadła, będąc w ośrodku, i złamała sobie rękę w nadgarstku.

Haven wpatrywała się w adwokata przez dłuższą chwilę, kompletnie ogłupiała.

- I to ma świadczyć o moim braku kompetencji? Wierz mi, dzieci bez przerwy się przewracają. W ten sposób odkrywają świat. Zdarza się czasem, że coś sobie przy tym złamią.

- Podobno ktoś jest gotów zaświadczyć, że poszłaś z Anną do lekarza dopiero sześć godzin po wypadku.

- Mary - jęknęła głucho Haven.

- Mary...?

- Jedna z opiekunek. Zwolniłam ją, gdy odkryłam, że wykrada zapasy. Miała dyżur na placu zabaw właśnie tego dnia, kiedy Anna złamała rękę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ta kobieta żywi do ciebie urazę i z tego powodu jest gotowa skłamać w sądzie?

Haven czuła, że zupełnie podupada na duchu.

- Nie, ona mówi prawdę. Annie udzielono pomocy lekarskiej dopiero sześć godzin po wypadku.

- Dlaczego tak późno? - zdziwił się Syd.

- Anna ma dość wysoki próg bólu. Zrozumiałam to dopiero później. Nie było żadnych objawów złamania ani nawet stłuczenia. Zaczęła skarżyć się na ból dopiero po sześciu godzinach. Wtedy uświadomiłam sobie, że być może złamała nadgarstek, i natychmiast zaprowadziłam ją do lekarza.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, jak to wypadnie w sądzie?

Haven skinęła głową. Naoglądała się w telewizji dość dramatów rozgrywających się na sali sądowej, by rozumieć, czym to się może skończyć. Sprawy nie wyglądały najlepiej.

- Czy Zieglarowie stawiają jeszcze jakieś zarzuty? - spytała.

- Tak... Podobno przed rokiem zatrudniłaś osobnika skazanego za molestowanie dzieci.

Haven przymknęła oczy.

- Znowu Mary - mruknęła.

- Czy to prawda? Kiwnęła głową.

- Zatrudniłam go jako nocnego stróża. Przedtem oczywiście sprawdziłam jego referencje. Sprawdziłam również, czy nie był karany. Odkryłam, że kiedyś go skazano. Z wyjątkiem rozmowy ze mną, nigdy więcej nie przekroczył progu ośrodka. Zresztą wtedy też byłam przy nim przez cały czas. Nie zbliżył się nawet na krok do żadnego dziecka.

- To powinno przemawiać na twoją korzyść.

Ton głosu Syda zdradzał, że być może jest to jedyna pozytywna rzecz. Haven poczuła, że dławi ją strach, a głos odmawia posłuszeństwa. Z trudem łapała oddech.

- Coś mi mówi, że to nie wszystko - odezwała się niemal szeptem.

- Zgadza się - odparł Syd. - Pozew donosi, że dziesiątego lutego o godzinie drugiej w nocy sąsiadka, June Samuelson, znalazła Annę błakającą się po okolicy w koszuli nocnej i kapciach i zawiadomiła policję, która sporządziła protokół.

- Tak, ale wszczęte później dochodzenie nic nie wykazało - wyrzuciła z siebie nerwowo Haven. - Gdy wyjaśniłam jej, co się stało, przeprosiła mnie. Poprzedniego dnia wprowadziłyśmy się do domu obok. June nie miała pojęcia, kim jesteśmy. Sądziła, że działa dla dobra Anny. Nie mam do niej o to pretensji. Pewnie zrobiłabym to samo w podobnej sytuacji.

- Co Anna robiła na ulicy o drugiej w nocy? - spytał rzeczowo Syd.

Na twarzy Haven pojawił się wymuszony uśmiech.

- Wyczołgała się przez drzwiczki dla psa. Wieczorem czytałam jej przed zaśnięciem historię o krasnalu, który miał mnóstwo złota. Tamtej nocy była pełnia księżyca i Anna postanowiła udać się na poszukiwanie swojego własnego krasnoludka. Po tym wszystkim zmieniałam drzwi i przeprowadziłam z nią długą rozmowę... Czy jest coś jeszcze, Syd?

Syd miał grobową minę.

- Jak na razie to wszystko.

- Nie jesteś specjalnie zadowolony.

- Rzeczywiście, nie jestem. Prawdę powiedziawszy, martwię się o ciebie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Zieglarowie mogą wygrać sprawę? - wykrztusiła Haven.

- Cóż... nie mam pojęcia, czym to wszystko się skończy.

Ileż bym dała za to, pomyślała z rozpaczą Haven, żeby za chwilę się obudzić i stwierdzić, że to był tylko zły sen. Jak to możliwe, że para starych egoistów pozbierała do kupy kilka drobnych, w sumie nieistotnych incydentów, formując z nich dowód na jej niedbałość i nieudolność?

Choć miała niewielkie pojęcie o prawie, zdawała sobie sprawę z tego, jakie wnioski może z nich wysnuć ktoś, kto nie zna jej ani Zieglarów.

Przez myśl przemknęły jej fragmenty dawno zapomnianej rozmowy z Melindą, którą przeprowadziły w ostatnich, tak ciężkich dniach choroby. Haven nie mogła zrozumieć, dlaczego przyjaciółka postanowiła zapisać blisko połowę swojego majątku ciotce i wujowi.

- Robię to dla Anny - oświadczyła wtedy Melinda. - Jeśli dostaną dosyć pieniędzy, zostawią ją w spokoju.

- To kwestia pieniędzy - wypowiedziała głośno swoją myśl Haven. - Prawdopodobnie wydali wszystko, co im zapisała Melinda i dlatego wystąpili z pozwem o opiekę nad Anną.

- Pewnie masz rację - mruknął Syd. - Doszły mnie słuchy, że Douglas Zieglar ulokował ostatnio swoje pieniądze w kilku kiepskich inwestycjach. Nie zbankrutowali, ale wiedzie im się nie najlepiej.

- Czy nie możesz powiedzieć o tym sędziemu? Przecież to dowód na to, że chcą mi odebrać Annę wyłącznie ze względu na pieniądze.

- Niestety, Haven. Dowodzi to jedynie tego, że Douglas Zieglar niewłaściwie zainwestował swoje pieniądze. Musimy wysunąć przeciwko nim zarzuty oparte na konkretnych faktach, które można udowodnić, a nie na aluzjach i pogłoskach. Spójrzmy prawdzie w oczy: sprawa nie wygląda dla ciebie najlepiej. Zieglarowie mają świadka, raport lekarski i protokół policji. Przesłuchanie ma się odbyć w sądzie cywilnym. Przewodniczyć mu będzie sędzia. Nie będzie ławy przysięgłych. Jeśli w głowie sędziego zrodzi się choć cień wątpliwości w stosunku do twojej osoby, przyzna opiekę nad Anną Zieglarom.

- Więc chcą zagarnąć teraz drugą połowę majątku Melindy - powiedziała Haven.

- Najwyraźniej.

- A my nie możemy tego udowodnić.

- Niestety, nie.

- A jak wygląda sprawa ojca Anny? - zapytała Haven.

- O ile mi wiadomo, Melinda nie zdradziła jego tożsamości.

- A jeśli ten ktoś do niedawna nie wiedział, że jest ojcem Anny? I teraz ujawniłby się i wystąpił do sądu z pozwem o opiekę? I dysponowałby pozytywnym wynikiem testu DNA?

Syd wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie przyznano by mu opiekę nad córką i wtedy na pewno straciłabyś Annę. Z Zieglarami masz przynajmniej cień szansy.

Haven zrobiło się ciemno przed oczyma. Musiała stąd jak najszybciej wyjść, zostać na chwilę sama, żeby sobie wszystko dokładnie przemyśleć.

Westchnęła głęboko, odstawiła pustą filiżankę na mosiężną tacę, po czym stanęła niepewnie na nogach.

- Dokąd się wybierasz? - spytał zaskoczony Syd.

- Muszę wyjść na świeże powietrze. Zadzwoń do ciebie później.

Zrobiła sobie długi spacer. Gdy po godzinie wróciła do Centrum, wciąż ze skołataną głową, zastała w swoim biurze Pamelę i Douglasa Zieglarów. Zakłęła w duchu, zamykając za sobą drzwi. Usiłowała przygotować się psychicznie na czekającą ją konfrontację.

- Witaj, Pamelo, witaj, Douglasie - powiedziała, powstrzymując się całym wysiłkiem woli od krzyku. - Dawno się nie widzieliśmy.

Czuła, że dostaje gęziej skórki na ich widok. Na pierwszy rzut oka robili całkiem przyjemne wrażenie. Byli jednak typowym przykładem tego, że pozory mylą.

Oboje byli ubrani po staroświecku. Douglas miał na sobie ciemnoszary garnitur, a Pamela blad różową, rozkloszowaną sukienkę. Jej uszy i szyję zdobiły perły. Wyglądali na zamożnych ludzi z klasą, ale Haven wiedziała, że to nuworysze o sercach z kamienia.

- Przyszliśmy, by zaoszczędzić ci masę kłopotów - oświadczył Douglas.

- Ach, tak? - Haven założyła ręce na piersi, marszcząc brwi. - To bardzo uprzejme z waszej strony.

- Jak ci zapewne wiadomo - dodał Douglas - wystąpiliśmy z pozwem o opiekę nad córką Melindy.

Haven za żadne skarby nie chciała dać po sobie poznać, że ta sprawa ją zabolowała.

- Tak, wiem o tym - odparła, unikając ich wzroku.

- Być może zainteresuje cię fakt, że sędzia prowadzący tę sprawę studiował razem z ojcem Melindy na Uniwersytecie Yale. Jesteśmy członkami tego samego klubu golfowego.

- Doprawdy?

- Jak myślisz, po czyjej stanie stronie?

Haven poczuła, że burzy się w niej krew, ale próbowała opanować się. Nie chciała dawać im kolejnej broni do ręki.

- Chcesz powiedzieć, Douglas, że przekupiłeś sędziego? - zapytała beztrzesko. - Zdajesz sobie sprawę z tego, że za coś takiego możesz wylądować w więzieniu?

Douglas uśmiechnął się nieszczercze.

- Oczywiście, że go nie przekupiłem. Nie ma najmniejszej potrzeby. Usiłuję jedynie dać ci do zrozumienia, że mogłabyś sobie oszczędzić sporo czasu i wysiłku, załatwiając z nami tę sprawę polubownie.

- Być może - odparła Haven ze sztucznym uśmiechem, maskującym jej wewnętrzny niepokój - Nie zapominaj jednak, że to właśnie sama Melinda, moja najlepsza przyjaciółka, przyznała mi opiekę nad swoją córką.

Douglas zacisnął mocno usta.

- Melinda była młodą, niezrównoważoną kobietą - stwierdził lekceważąco. - Nigdy nie pozbierała się po śmierci rodziców.

- Nie zamierzam przekazać wam Anny - ucięła krótko Haven.

Douglas wzruszył ramionami.

- Chciałem ci jedynie oszczędzić kłopotu.

- Tylko rozejrzyj się wokół! - zawołała Pamela, krzywiąc się z niesmakiem. - Nasza biedna malutka spędza większość swojego życia w takim okropnym miejscu. Wyobrażasz to sobie, Doug?

Przez blisko trzy lata nie zainteresowała się nawet przez chwilę ową „biedną malutką”. Na myśl o hipokryzji tej kobiety Haven ogarnęła złość.

Nagle poczuła, że ma tego wszystkiego dosyć. Nie zamierzała wysłuchiwać dłużej Zieglarów. Chciała, żeby sobie stąd poszli.

- Doceniam, że zadaliście sobie tyle trudu - powiedziała sztywno. - Wybaczcie jednak, mam mnóstwo pracy. Jeśli chcecie, możecie się w każdej chwili skontaktować z moim adwokatem.

- Ach, tak? - Pamela wyraźnie poczuła się dotknięta.

- Zapamiętaj sobie dobrze moje słowa, Haven - rzucił ostrzegawczo Douglas. Ujął żonę pod łokieć i poprowadził do drzwi. - Nie wygrasz tej sprawy. To dziecko należy się nam. Nie ma takiego sędziego na świecie, który by zawyrokował inaczej. Dobrze o tym wiesz, tak samo jak my.

Gdy Zieglarowie wyszli, Haven opadła ciężko na fotel i zakryła rękami twarz. Była kompletnie wyczerpana. Nigdy w życiu nie czuła się tak beznadziejnie. Marzyła o tym, by zamknąć na chwilę oczy i zasnąć, zapominając o świecie, który legł w gruzach.

Ogromnym wysiłkiem woli uniosła głowę i spojrzała na stojące na biurku zdjęcie uśmiechniętego dziecka. Nie miała wyboru. Pamela i Douglas Zieglar podjęli za nią decyzję. Musiała kierować się dobrem Anny. Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce.

W niecałe pół godziny później, pozbierawszy się jakoś, podglądała przez małe owalne okienko Annę malującą coś palcami umaczanymi w farbie. Z wyrazem skupienia na okrągłej twarzyczce, rozsmarowywała grubą warstwę niebieskiej farby na kartce papieru. Wysunęła z buzi czubek języka, jak zwykle gdy była bardzo skoncentrowana.

Haven ścisnęło się serce, z trudem powstrzymywała łzy. Boże, czy naprawdę wystarczy jej sił? Wiedziała jednak, że nie ma innego wyjścia. Przyglądała się jeszcze przez chwilę małej dziewczynce, która skradła jej serce i dla której gotowa była umrzeć. W końcu wyprostowała się i odeszła.

Gdy otworzyła drzwi do swojego biura i zobaczyła w nim Brady'ego, ogarnęły ją zupełnie inne uczucia niż w stosunku do Zieglarów. Zapragnęła podbiec do tego mężczyzny i rzucić mu się w ramiona. Poczuć jego bliskość i usłyszeć, jak ją uspokaja, szepcząc, że wszystko będzie dobrze. Powstrzymała się jednak. Podeszła powoli do biurka i usiadła.

- Dziękuję, że zjawiliś się tak szybko.

Brady usiadł naprzeciwko Haven i przyjrzał się jej uważnie.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Haven zdawała sobie sprawę z tego, że wygląda fatalnie. Była blada, miała zapadnięte i podkrążone oczy i była nie umalowana.

Doszła do wniosku, że najlepiej będzie powiedzieć Brady'emu otwarcie, o co jej chodzi.

- Wniesiesz do sądu pozew o opiekę nad Anną - oznajmiła bez wstępów.

Brady milczał przez dłuższą chwilę.

- Chcesz, abym wystąpił o przyznanie mi opieki nad dzieckiem?

- Tak.

- I prosisz, abym ją tobie zabrał? Haven z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Tak.

- Dlaczego?

Haven opowiedziała o Pameli i Douglasie Zieglarach oraz o tym, jak lekceważyli przez całe życie Melinę. Powiedziała też, że wnieśli pozew do sądu o opiekę nad Anną, a także o tym, co będzie, według Syda Speara, jeśli zjawi się nagle prawdziwy ojciec.

- Jak widzisz, nie ma innego wyjścia - oświadczyła. - Musisz wystąpić o dziecko. To twój obowiązek wobec Anny. Nie możesz pozwolić na to, by dostała się w ręce tych ludzi, którym zależy jedynie na pieniądzu.

- Zdaje się, że i ja podejrzewany byłem o chciwość - burknął Brady.

- Powiedzmy, że wydarzenia z ostatnich dni spowodowały, iż zmieniłam zdanie na twój temat.

- Ale przecież jest szansa na to, że wygrasz sprawę. I co wtedy?

Haven potrząsnęła przecząco głową.

- Wolę nie ryzykować. Poza tym nie chcę, aby Anna spędziła z tymi ludźmi choć jedną sekundę.

Brady uśmiechnął się kwaśno.

- Więc z dwojga złego wolisz mnie?

- Uważam, że to jedyne rozsądne wyjście. - Haven westchnęła ciężko. -

Wszystko już sobie obmyślałam. Ponieważ będziesz musiał udowodnić w sądzie, że jesteś w stanie zapewnić Annie utrzymanie, postanowiłam cię zatrudnić czasowo u siebie, na stanowisku pracownika technicznego.

- Skąd weźmiesz na to pieniądze? I tak ledwie wążesz koniec z końcem.

- A ty skąd o tym wiesz? - zdziwiła się Haven. - A, no tak. Od prywatnego detektywa. Nie martw się o mnie. Jakoś sobie poradzę, ale oczywiście musisz jak najszybciej poszukać prawdziwej pracy. Nie stać mnie na to, by zatrudniać cię przez dłuższy czas. Chodzi tylko o to, by przekonać sędziego, że masz stałe dochody.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- Nie pora unosić się fałszywą dumą - powiedziała Haven. - Masz przyjąć moją propozycję, czy ci się to podoba, czy nie. Musisz mieć zatrudnienie.

- Jestem bogaty, Haven. Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Ani pieniędzy Anny.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że jestem bogaty - powtórzył.

- Jesteś bogaty? Brady skinął głową.

- Siedzę na pieniądzach.

- Nie wierzę w to.

- Czy mówi ci coś nazwisko Charles Ross?

- Oczywiście. Był to człowiek umiejący dokonywać cudów, jeśli chodzi o finanse.

- Adoptował mnie. Jestem jego jedynym spadkobiercą. Haven otworzyła usta ze zdumienia.

- Jesteś synem Charlesa Rossa?

- Zgadza się.

- Ale nie wyglądasz na bogatego - zauważyła. Rozbawiła go tym stwierdzeniem.

- A jak, według ciebie, powinien wyglądać bogaty człowiek? - zapytał.

Haven zdawała sobie sprawę z tego, że powinna być zadowolona z faktu, iż Brady jest równie bogaty jak Anna, a może nawet bogatszy. Powinna się też czuć szczęśliwa, iż znalazł się tutaj z poczucia obowiązku wobec swojej córki, a nie z pobudek finansowych. Jeśli test DNA potwierdzi jego ojcostwo, sąd będzie musiał przyznać mu opiekę nad dzieckiem. Intrygowało ją jednak, dlaczego Brady nie powiedział jej wczoraj całej prawdy o sobie.

- Okłamałeś mnie - stwierdziła z wyrzutem.

- Kiedy?

- Powiedziałeś mi wczoraj, że jesteś bezrobotny.

- Bo to prawda.

- Zasugerowałeś mi w ten sposób, że jesteś bez środków do życia.

- Miałem ku temu powody - mruknął Brady, wzruszając ramionami.

Co ja wyprawiam? - pomyślała Haven. Dlaczego sprzeczasz się z człowiekiem, w którego rękach jest przyszłość Anny?

- Czy zgodzisz się wystąpić o opiekę nad swoją córką? - zapytała ponownie. - Czy wniesiesz pozew do sądu, gdy tylko znane będą wyniki testu DNA?

Milczał tak długo, że Haven była pewna, iż zamierza odmówić.

Ogarnęła ją rozpacz. Miała nadzieję, że uda jej się zaapelować do jego poczucia obowiązku. Ale dlaczego właściwie miałby spełnić jej prośbę? Choć przyznawał się do więzi ze swoją córką, znalazł się tu w pewnym sensie z przymusu. W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, kto wychowuje Annę. Twierdził przecież, że nie wierzy w miłość. Haven zastanawiała się, czy w ogóle jest w stanie kogokolwiek pokochać.

- Jest jeszcze inne rozwiązanie - odezwał się w końcu.

Haven nie miała pojęcia, co ma na myśli.

- Jakie? - spytała z niecierpliwością.

- Możemy się pobrać.

ROZDZIAŁ 5

Haven miała uczucie, jakby schwyciły ją jakieś niewidzialne palce i wrzuciły w sam środek obrazu Salvadora Dali. Wszystko było takie surrealistyczne: jej palce u rąk, u nóg, jej twarz, powietrze, które wdychała. Krawędzie mebli rozmywały się i wydawało się, że biurko przeleje jej się za chwilę na kolana, jak woda z wiadra. Zaczęła mrugać oczami i w końcu pokój odzyskał swoje kontury.

Gdy doszła do siebie, zobaczyła, że Brady wpatruje się w nią uważnie. Miał kamienną twarz i patrzył tak obojętnym wzrokiem, że nie potrafiła odgadnąć, o czym myśli. Był dla niej jedną wielką zagadką, co początkowo wydawało się nawet intrygujące, ale teraz stawało się coraz większą udręką.

Haven umierała ze strachu o Annę i bolało ją, że Brady jest tak nieobliczalny. W dodatku, za każdym razem, gdy na niego patrzyła, jej serce ruszało do szalonego galopu. Był taki duży, silny i tak... diabelnie przystojny.

A teraz, jeśli nie myliły ją uszy, zaproponował jej małżeństwo. Tak po prostu, jakby nigdy nic.

Zdobyła się na uśmiech.

- Za dużo mam ostatnio przeżyć i z tego wszystkiego miesza mi się już w głowie. Gotowa byłabym przysiąc, że słyszałam, jak powiedziałeś, że moglibyśmy się pobrać. Co za bzdura!

- Nie masz racji - odparł z powagą Brady. - Po tym wszystkim, co mi powiedziałeś, wydaje mi się to nawet koniecznością.

Na kilka sekund Haven puściła wodze fantazji, wyobrażając sobie, że jest żoną Brady'ego Rossa, że codziennie rano budzi się obok niego, a wieczorem

zasypia w jego ramionach. Zachwyciło ją to tak bardzo, że na moment straciła jasność rozumowania.

- Chyba żartujesz - wykrztusiła w końcu.

- Wcale nie żartuję - odparł. - Po prostu nie widzę lepszego rozwiązania.

- Cóż, z mojego punktu widzenia - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał naturalnie - jest to chyba najgorsze ze wszystkich możliwych rozwiązań.

- Dlaczego? Chcę ci zapewnić coś, czego tak bardzo pragniesz.

Możliwość bycia z Anną.

- Ale małżeństwo... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Tylko na papierze i wyłącznie do czasu, dopóki nie zostanie potwierdzone moje ojcostwo.

Haven wiedziała, że to znacznie poważniejsza sprawa, niż wynikałoby z jego słów. Małżeństwo to nie to samo co kupno nowych rękawiczek. A wyplątanie się z niego, nawet gdyby trwało bardzo krótko, zawsze pociągało za sobą pewne konsekwencje.

- Ale małżeństwo... - zaczęła ponownie.

- Czy słyszałaś kiedyś o prawie Murphy'ego?

- Jasne - prychnęła. - „Jeśli jest szansa na to, że coś się źle skończy, to prawdopodobnie tak będzie”. Przekonuję się o tym przez cały ostatni tydzień i powoli dochodzę do wniosku, że Murphy był optymistą.

- Skoro tak, powinnaś sobie zdawać sprawę, jak źle może się to wszystko skończyć. Co będzie, jeśli, na przykład, z takich czy innych względów laboratorium nie będzie miało jeszcze wyników w dniu procesu? Albo jeśli ktoś przypadkiem zapodzieje próbkę z moją krwią? Taka zwłoka może nas drogo kosztować. Dlatego powinniśmy się zawczasu zabezpieczyć, biorąc ślub. Jest jeszcze dodatkowy plus takiego rozwiązania: wystąpisz przeciwko Zieglarom jako kobieta zamężna, wytrącając im z ręki jeden z argumentów. Od tej chwili nie będą ci mogli zarzucić, że samotnie wychowujesz dziecko.

Propozycja Brady'ego była bezsprzecznie nęcąca. Oznaczała, że Haven nie utraci Anny. Musiała się jednak nad nią zastanowić, zapominając o sobie. Powinna kierować się wyłącznie dobrem dziecka. Wszak Melinda powierzyła jej opiekę nad swoją córką z pełnym zaufaniem.

Nagle dał o sobie znać niedobór snu. Haven poczuła, że głowa ciąży jej ze zmęczenia. Pochyliła się do przodu i wsparła głowę na rękach.

- To niemożliwe - wymamrotała, kręcąc głową.

- Masz skończone dwadzieścia jeden lat? - spytał Brady.

- Tak.

- Nie jesteś formalnie z nikim związana? Podniosła głowę i spojrzała na niego spod oka.

- Wiesz dobrze, że nie. Brady rozłożył ręce.

- Więc nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy się pobrali. Nie pozostaje nam nic innego, jak udać się do urzędu stanu cywilnego. Naprawdę to jedyne wyjście.

Haven znów spojrzała na niego. Ależ z niego trudny do rozgryzienia, doprowadzający do szału typ!

- Czy zawsze postępujesz w życiu tak szlachetnie? - spytała wyzywająco, ignorując fakt, że przed chwilą sama apelowała do jego sumienia, prosząc, by oficjalnie wystąpił o opiekę nad Anną.

- Staram się.

- Bez względu na sytuację?

- Nie zawsze jest to proste, ale przynajmniej usiłuję. Przemawiał jak jakiś belfer. Albo rodzic.

- Założę się, że jako trzynastoletni chłopak zapisałeś się do harcerstwa.

Brady uśmiechnął się.

- Jako trzynastoletni chłopak byłem bandziorem. Moją specjalnością były rozróbki. Gdy pojawiałem się na ulicy, matki wołały swoje dzieci do domu.

To dlatego robi takie niebezpieczne wrażenie, pomyślała Haven. Na pewno przeżył niejedno. Poznał, co to ból, wściekłość, a także smutek oraz poczucie krzywdy i beznadziei. Doświadczył uczuć, które na ogół nie kojarzą się z dzieciństwem.

- Ale teraz już nim nie jesteś - powiedziała, licząc na to, że Brady opowie coś więcej o sobie. - Po tylu latach musiałeś się zmienić.

- Przynajmniej zewnątrz - potwierdził. - Powiedz mi w końcu, czy zgodzisz się wyjść za mnie za mąż?

Haven doszła do wniosku, że Brady naprawdę nie żartuje. I choć było to niedorzeczne, kusilo ją, by powiedzieć „tak”.

- To niemal desperacki krok dla kogoś, kto nie chce się wiązać - zauważyła.

- Och, nie traktuj tego w ten sposób. Pamiętaj, że to tylko tymczasowe rozwiązanie.

- A co będzie potem?

- Spokojnie się rozwiedzimy. Pozostaniesz opiekunką Anny, a ja zachowam prawo do wizyt. Znajdziemy się w punkcie wyjścia, ale pozbedziemy się na zawsze Zieglarów.

- Dlaczego decydujesz się na takie rozwiązanie? Przyniesie ono korzyść wyłącznie Annie i mnie. A co ty będziesz z tego miał?

Brady przyglądał się jej badawczo. Z każdą chwilą atmosfera między nimi stawała się bardziej napięta. Mimo to coś ich do siebie wzajemnie przyciągało.

Haven miała wrażenie, że otaczający ją świat wypełnił się nagle światłem i czułością. Zapało jej dech. Nie była w stanie zebrać myśli. Brady przeszywał ją wzrokiem, jakby usiłował zajrzeć w głąb jej duszy. Haven zaczerwieniła się, ale nie spuściła oczu.

- Czy nie sądzisz, że korzyścią dla mnie będzie możliwość przebywania na co dzień z córką?

- Oczywiście - odparła szorstko, tłumiąc emocje.

- No więc, czy nie jest to wystarczający powód? Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie sądzę. Nie musisz się ze mną żenić, by być z Anną. Wystarczy, że upomnisz się o swoje ojcowskie prawa. Musi być jeszcze inny powód, dla którego gotów jesteś ożenić się z zupełnie obcą ci kobietą. Chcę wiedzieć, co to takiego, zanim dam ci odpowiedź.

Brady uśmiechnął się uwodzicielsko, a tętno Haven przyspieszyło niepokojąco. Uprzytomniła sobie, jak bardzo niebezpieczny jest ten mężczyzna. Jakże mogła o tym zapomnieć!

- Być może złożyłem ci tę propozycję - oświadczył głosem pełnym skrywanej namiętności - ponieważ czuję do ciebie silny pociąg fizyczny.

Haven dokonywała heroiczkich wysiłków, by zachować spokój.

- Już dawno minęły czasy, kiedy mężczyzna żenił się z kobietą tylko po to, żeby pójść z nią do łóżka - stwierdziła chłodno.

- Chcesz powiedzieć, że zgodziłabyś się przespać ze mną, gdybym cię o to poprosił?

Oczywiście! Natychmiast by się zgodziła!

- Po prostu nie wierzę, że chcesz ożenić się ze mną wyłącznie po to, by pójść ze mną do łóżka. Poza tym sam wspomniałeś wcześniej, że ma to być małżeństwo na papierze.

Brady westchnął.

- Jeśli się pobierzemy, Anna nie straci domu. Już ci mówiłem, jak bardzo mi na tym zależy.

Owszem, mówił. Nie wyjaśnił tylko, dlaczego. Należał do ludzi, którzy nie lubili mówić o sobie. Niewątpliwie przyczyną tego była jego przeszłość.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne? - spytała. Brady odwrócił wzrok.

- Mam ku temu powody.

Nie odezwała się, dopóki znowu na nią nie spojrział.

- Proszę cię, Brady. Naprawdę muszę to wiedzieć.

Zapadło długie milczenie. Haven miała wrażenie, że nie doczeka się odpowiedzi. W końcu Brady zaczął mówić monotonnym głosem, wpatrując się nieruchomo w jakiś punkt ponad jej ramieniem:

- Gdy miałem trzy lata, ktoś z opieki społecznej znalazł mnie skulonego pod stołem w mieszkaniu pełnym karaluchów. Moja matka zniknęła kilka dni wcześniej. Z tego, co wiem, ojciec porzucił mnie i matkę. Gdy mnie znaleziono, pożywiałem się właśnie surową mąką, bo w mieszkaniu nie było nic innego do jedzenia.

Co za koszmar, pomyślała Haven. Brady mówił dalej, jakby zapomniał o tym, że Haven jest w pokoju:

- Później przierzucano mnie z jednej rodziny zastępczej do drugiej. Obliczyłem, że między trzecim a trzynastym rokiem życia, kiedy adoptował mnie Charles Ross, przewinałem się przez dziesięć rodzin.

Haven uświadomiła sobie, że pod obojętnością Brady'ego kryje się straszliwe cierpienie. Nie była w stanie wyobrazić sobie, jak się czuł, gdy wrywano go z rąk ludzi, do których ledwie zdążył się przywiązać, i umieszczano gdzie indziej. Sądziła, że po trzech, czterech razach musiał na wszystko zobojętnieć. A przecież jego los powierzano przyzwoitym ludziom. Lepiej nie myśleć, ile musiałby przecierpieć, gdyby trafił do innych, gorszych rodzin.

Nic dziwnego, że nie chciał pozbawiać Anny domu. Fakt, że był gotów ożenić się z kobietą, której nie kochał, po to tylko, by oszczędzić córce bólu, jakiego sam zaznał, świadczył o jego prawości. Haven ogarnęło uczucie głębokiego podziwu. W gruncie rzeczy przedkładał dobro Anny nad własne.

Brady snuł swoją opowieść monotonnym głosem, patrząc gdzieś w górę, ponad nią. Dopiero gdy nagle spuścił wzrok, spostrzegła, jak bardzo jest wzburzony. Bolesne wspomnienia musiały ożyć w nim na nowo. Haven poczuła nieodpartą chęć pocieszenia go. Pragnęła chwycić jego dłoń i uścisnąć, ale nie zrobiła tego z obawy, że może się ośmieszyć. Tym bardziej że siedział sztywno

z rękoma skrzyżowanymi na piersi i nie wyglądał na człowieka szukającego pocieszenia.

Haven zastanawiała się, czy Brady potrafi kiedykolwiek otworzyć przed kimś serce. Być może pozostanie na zawsze w stanie emocjonalnej hibernacji. Na myśl o tym ogarnął ją taki smutek, że zachciało jej się płakać.

- Jak to się stało, że postanowił cię adoptować ktoś taki jak Charles Ross?

Oczy Brady'ego zgasły niczym ognisko zalane przez nagłą ulewę. Były znowu szarobure i chłodne.

- Wybrałem się kiedyś na przejażdżkę jego samochodem, oczywiście nie pytając go o pozwolenie. Gdy pojawił się na rozprawie w sądzie, wyczuł jakimś cudem, że mam zadatki na porządnego człowieka, i zaszokował wszystkich zebranych w sali sądowej, oznajmiając, że chce zostać moim przybranym ojcem. Sędzia wyraził zgodę. Rok później adoptował mnie.

- Z tego wynika, że Charles Ross odmienił twoje życie.

- Gdyby nie on, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Wylądowałbym prawdopodobnie w więzieniu, o co mnie zresztą podejrzewałaś.

- Westchnął głęboko. - Teraz już wiesz, dlaczego jest dla mnie takie ważne, by Anna pozostała z tobą.

- Tak - odparła Haven. - Teraz już wiem.

- Chyba zgodzisz się wobec tego ze mną, że małżeństwo jest jedynym wyjściem z sytuacji.

Jego słowa brzmiały logicznie i były wyprane z wszelkich emocji. Jednak ciało Haven reagowało na Brady'ego wbrew rozsądkowi. W gruncie rzeczy pragnęła z całego serca, aby zawarli małżeństwo z zupełnie innych pobudek niż te, na które wskazał Brady.

- Więc byłby to tylko tymczasowy układ? - spytała.

- Jedynie do czasu, aż będziemy w stu procentach pewni, że Zieglarowie na zawsze zniknęli z życia Anny - potwierdził. - Jest jeszcze tylko jedno „ale”. Nie wolno nam nikomu zdradzić, dlaczego zamierzamy się pobrać.

- Czemu? - zdziwiła się Haven.

- Ze względu na Annę powinniśmy zachowywać się tak, aby wszyscy wierzyli, że pobieramy się z miłości. To jedyny sposób, by przekonać sąd o tym, że nasz związek jest prawdziwy.

Rozum mówił jej, że Brady ma rację, ale mimo to poczuła odruch buntu.

- Chcesz, abyśmy udawali, że jesteśmy w sobie zakochani?

- Tak - odparł ze stoickim spokojem. Przygryzła mocno dolną wargę.

- Obawiam się, że nie będę umiała się na to zdobyć.

- Czy to aż takie trudne? - Brady spojrzał jej prosto w oczy. - Czy jestem aż tak odrażający, że na samą myśl o tym, że masz się do mnie uśmiechnąć albo przytulić się do mnie publicznie, robi ci się niedobrze? Wierz mi, wystarczy jedynie stwarzać pozory kochającej się pary. To wszystko.

Gdyby czuła do niego odrazę, sprawa byłaby znacznie prostsza! Nie zdawała sobie sprawy, że jej pożądanie jest tak silne. Na samą myśl, że tuli się do Brady'ego, miękły jej kolana. Obawiała się, że ta gra pozorów może się źle skończyć. Przynajmniej dla niej.

- Nie mogę powiedzieć prawdy nawet Josephine?

Gdyby mogła zwierzyć się choć jednej osobie, byłoby jej znacznie lżej.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nawet Josephine. A skoro już o niej mowa, to co ona właściwie wie o mnie?

- Nic.

Brady zmarszczył brwi.

- Nic?

- Chciałam coś wspomnieć o tobie, ale doszłam do wniosku, że na razie nie będę zawracać jej głowy.

- To ułatwia sprawę. Jak zwykle miał rację.

- Domyślałam się, że będziemy zmuszeni zamieszkać razem.

- To się rozumie samo przez się.

- U kogo?

- Ze względu na Annę wydaje mi się, że najlepiej będzie zamieszkać u ciebie. Zresztą moja jednopokojowa dziupla jest dla nas za mała.

Haven spojrzała na Brady'ego zdumiona.

- Taki bogaty człowiek jak ty zajmuje jednopokojowe mieszkanie?

- Mam niewielkie potrzeby - odpowiedział zdawkowo.

- A co zrobimy z Josephine? - spytała Haven. - Zajmuje trzecią sypialnię.

Brady wzruszył ramionami.

- Znajdziemy jakieś wyjście.

Haven zaschło w ustach na myśl o tym, co to ewentualnie mogłoby być.

- A co powiemy Annie? - spytała szybko.

- Prawdę. Że zamierzamy się pobrać. Gdyby sprawa trafiła do sądu, a mała nic by nie wiedziała o naszym małżeństwie, wyglądałoby to podejrzanie. Przecież i tak będę się kręcił po domu.

- Zamierzasz powiedzieć Annie, że jesteś jej ojcem?

- Tak, ale jeszcze nie teraz.

Haven zastanawiała się, czy jest w stanie wyjść za mąż bez miłości za człowieka, który pociąga ją fizycznie bardziej, niż sobie tego życzyła. Czy potrafi udawać przed całym światem, że go kocha? Jednak na myśl o tym, jaką ma przed sobą alternatywę, zrozumiała, że nie ma wyboru.

- Czy twój adwokat sporządził już wstępną umowę ślubną? - spytała.

- Niepotrzebna nam żadna umowa, Haven. Gdybym choć przez sekundę podejrzewał, że będziesz chciała wykorzystać tę sytuację, nigdy nie złożyłbym ci podobnej propozycji.

Świadomość, że Brady darzy ją zaufaniem, sprawiła Haven nieklamana przyjemność. Dobrze wiedział, że nigdy nie wykorzystałaby faktu, iż byli małżeństwem, by wyciągnąć od niego pieniądze. Sama z kolei była przekonana, że i on nigdy nie zabrałby jej Anny.

- Kiedy chcesz się ze mną ożenić?

- Co powiesz na sobotę?

O wiele za wcześnie, pomyślała Haven w popłochu.

- Czy jesteśmy w stanie to tak szybko załatwić? - spytała.

- Formalnie od momentu zgłoszenia chęci zawarcia ślubu muszą upłynąć co najmniej trzy dni, ale znam kogoś, kto mógłby nam pomóc obejść ten przepis. Może więc spotkamy się w porze lunchu i wypełnimy niezbędne papiery? Musimy też wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę, którą będziemy mogli opowiadać ludziom.

- Skąd ty właściwie wiesz, jakie przepisy prawne obowiązują w przypadku małżeństwa? Przecież jesteś wolnym mężczyzną.

Brady wstał z krzesła i podszedł do drzwi.

- Przed kilku laty pomogłem przyjacielowi uciec od żony.

Był jedną wielką zagadką. Nie wierzył w miłość, ale pomógł przyjacielowi porzucić żonę dla innej kobiety. Nie wierzył w ludzi, ale był gotów ożenić się z obcą kobietą dla dobra małego dziecka.

- Myślę, że powinienes dzisiaj wieczorem przyjść znowu na kolację - oświadczyła Haven. - Powiemy wtedy o nas Josephine.

- W porządku. Przedtem zobaczymy się w południe - odparł i chwycił za kłamkę, ale na moment się zatrzymał. - Aha, jeszcze jedno pytanie: czy nie jesteście przypadkiem uczulone na koty?

Cztery godziny później, gdy dopełnili już wszystkich formalności, koniecznych do zawarcia małżeństwa, Brady, zatopiony głęboko w myślach, wszedł do samochodu i odjechał z parkingu.

Kiedy Haven powiedziała mu o wniesionym przez Zieglarów pozwie do sądu, wiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby uchronić córkę od grożącego jej niebezpieczeństwa. Nie miał też najmniejszej wątpliwości, że najlepiej będzie, jeśli Anną nadal będzie się opiekować Haven. Dlatego doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak się z nią ożenić. Nie żałował swojej decyzji ani przez chwilę.

Dlaczego więc miał taki mętlik w głowie?

Przyczyną tego była ta kobieta. Piękna, rudowłosa, o alabastrowej cerze i cudownych lazurowych oczach. I do tego tak bardzo kochająca małą dziewczynkę, która nie była przecież jej córką. Haven była ideałem matki, o jakim Brady mógł tylko marzyć.

Jego własna matka, pierwsza kobieta, z jaką się zetknął w życiu, pozbawiona była ciepła i troskliwości. Z kolei kobiety, z którymi spotykał się już jako dorosły mężczyzna, nie potrafiły zapomnieć o jego majątku, odziedziczonym po przybranym ojcu, nie umiały też wybaczyć mu szorstkich manier i zajrzeć w głąb jego udręczonej duszy. Nie traktował ich więc poważnie i nadal pozostawał samotny. Dlatego, gdy patrzył, z jaką miłością Haven wychowuje Annę, robiło mu się ciepło na sercu.

Wciąż miał przed oczami jej twarz, gdy usiłowała przekonać go, że powinien dochodzić swoich rodzicielskich praw i wystąpić o opiekę nad Anną. Widział sińce z niewyspania pod oczami, które czyniły ją jeszcze piękniejszą, bardziej eteryczną. Widział też ogromne współczucie malujące się na jej twarzy, gdy opowiadał o koszmarze swojego dzieciństwa.

Nie oznaczało to jednak, że był bliski zakochania się. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Skoro pragnął uczestniczyć w życiu Anny, musiał mieć do czynienia z Haven Adams. Musiał się z nią ożenić, choćby tymczasowo, aby zapewnić bezpieczeństwo córce. Gdyby wdał się w romans, wszystko by się tylko niepotrzebnie skomplikowało, a rozstanie stałoby się niepotrzebnym zgrzytem. To, że ich związek skończy się rozstaniem, tak jak wszystkie inne przedtem, było dla Brady'ego oczywiste.

Gdy spojrział przez przednią szybę, zobaczył, że zatrzymał samochód na podjeździe dwupiętrowego murowanego domu z zielonymi okiennicami. Uśmiechnął się do siebie. Podświadomość zaprowadziła go do miejsca, w którym powinien się znaleźć. Ustalili, co prawda, z Haven, że świadkiem na ślubie będzie ktoś z pracowników Centrum, ale Brady dopiero teraz zdał sobie

sprawę z tego, że jest ktoś, kogo szczególnie pragnąłby mieć u swego boku w najbliższą sobotę.

Wysiadł z samochodu i ruszył krętą brukowaną ścieżką. Kiedy nacisnął dzwonek, drzwi otwarły się z hukiem i ukazał się w nich olbrzym o czarnych kręconych włosach, niebieskich oczach schowanych pod krzaczastymi brwiami, krzywym nosie ze śladami wielokrotnego złamania, i dłoniach jak dwa wielkie bochny. Na widok gościa uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym uścisnął go tak mocno, że Brady'emu zabrakło tchu.

- Ostrożnie, bo mi połamiesz kości... - wykrztusił.

- Ty byku krasy! - ryknął tubalnym głosem Pete Loring, jego przyszywany brat. - Wróciłeś!

Chwycił Brady'ego pod ramię, wciągnął do środka i zamknął za nimi drzwi.

- Eileen, choć szybko, Brady jest tutaj! - huknął w głąb korytarza.

Eileen Loring była kobietą pokaźnej tuszy. Miała piwne oczy, nos jak kartofel i kąciki ust zawsze uniesione lekko w górę, nawet kiedy się złościła. Jej twarz, okrągła jak księżyc w pełni, tryskała radością.

Uściskała Brady'ego równie serdecznie jak jej mąż.

- Spójrzcie, jak on wygląda - cmoknęła z przyganą, przyglądając się uważnie niespodziewanemu gościowi. - Chudy jak szkapa! Sama skóra i kości. Chodź natychmiast do kuchni! Właśnie upiekłam szarlotkę.

- Udało nam się wyciągnąć od wojska tylko tyle, że zostałeś złapany - powiedział Pete, gdy rozsiedli się wygodnie przy prostokątnym dębowym stole.

- Za każdym razem, jak do nich dzwoniłem, używali tych samych wykrętów. Że masz się dobrze, że są w trakcie pertraktacji o uwolnienie ciebie, ale nie potrafią powiedzieć dokładnie, kiedy wrócisz.

Obejrzał Brady'ego od stóp do głów.

- Wygląda na to, że wyszedłeś cało z tej paskudnej przygody.

Brady nie zamierzał wyprowadzać go z błędu.

- Zgadza się - odparł, spoglądając na siedzącego naprzeciwko przyjaciela. Wzruszenie ścisnęło mu gardło. - Jasny gwint, Pete, ależ się za tobą stęskniłem!

Poznali się, gdy mieli po dwanaście lat. Trafili do tej samej rodziny zastępczej. Pete był jeszcze większym rozrabiaką niż Brady. To, że przybrani rodzice potrafili znieść ich obu dłużej niż przez dwadzieścia minut, graniczyło z cudem. Wydawało się, że obaj źle skończą. Na szczęście stało się inaczej. Brady spotkał na swojej drodze Charlesa Rossa, a Pete młodą, pełną optymizmu kobietę - Eileen Tobias.

- Ja za tobą też, braciszku - stwierdził Pete. - Powiedz, jak się skończyła wasza misja?

- W gruncie rzeczy sam nie wiem. Od początku mieliśmy pecha. Pogoda była fatalna i samolot zboczył z kursu. Złamałem nogę, skacząc ze spadochronem. Ocknąłem się, patrząc prosto w wycelowaną we mnie lufę karabinu.

- Coś mi się zdaje, że nie za dobrze cię tam traktowali - powiedziała Eileen. - Pewnie dlatego jesteś taki zabiedzony i utykasz.

Brady nie był w stanie opowiedzieć o koszmarnych latach niewoli nawet Eileen.

- Utykam, ponieważ nie złożono mi prawidłowo nogi. A jeśli chodzi o warunki, to powiedzmy, że nie był to pięciogwiazdkowy hotel. Ale przeżyłem.

- Modliłam się o ciebie codziennie - powiedziała miękko Eileen, tłumiąc łzy.

Pete głośno odchrząknął. Brady uświadomił sobie, że jego przyjaciel, zawodowy bokser zwany „Zabójcą”, wzruszył się tak samo jak on.

- Nie mówmy więcej o tym - oświadczył gospodarz. - Najważniejsze, że wróciłeś.

Eileen postawiła przed Bradym talerz z kawałkiem szarlotki, który starczyłby z powodzeniem dla trzech osób.

- Chcę, żebyś zjadł wszystko, do ostatniego okruszka - zarządziła, sadowiac się przy stole.

- Co zamierzasz teraz robić? - zagadnął Pete.

- Pierwsza rzecz, porzucić wojsko - odparł Brady, biorąc widelczyk do ciasta.

- Alleluja! - wykrzyknęła Eileen. - Więc nie zamierzasz już więcej igrać ze śmiercią?

- Spotulniałem jak owieczka.

- I co dalej, chłopie? - dopytywał się Pete.

- Nie mam pojęcia.

- Mówisz, jakbyś przeżywał kryzys czterdziestolatka - Olbrzym ugryzł kawałek ciasta i zaczął je przeżuwać.

Szarlotka była rzeczywiście pyszna. Brady rozkoszował się każdym kęsem.

- Powinieneś znaleźć sobie jakieś zajęcie - stwierdziła Eileen.

Brady przełknął ostatni okrusz ciasta, odłożył na stół złożoną serwetkę, i rozluźnił pasek, a potem wypalił znienacka:

- W najbliższą sobotę się żenię. Mam nadzieję, że oboje przyjdziecie na ślub.

Zapadła głucha cisza. Pete i Eileen otworzyli szeroko oczy ze zdumienia.

- Hej, co się z wami dzieje? Wyglądacie, jakbym wam oznajmił, że zamierzam obrabować bank - zażartował Brady.

- Żenisz się? - spytał Pete.

- Zakochałeś się? - wykrztusiła w tym samym momencie Eileen.

Brady uśmiechnął się.

- Tak, żenię się, i owszem, jestem zakochany. Czy zamierzacie mi w końcu pogratulować?

Pete wyciągnął swoją wielką dłoń i poklepał Brady'ego po ramieniu.

- Gratuluję ci, braciszku - powiedział serdecznie. - Co za wspaniała wiadomość. Prawda, kochanie? - zwrócił się do żony.

Eileen wciąż nie mogła dojść do siebie.

- Kto to taki? Gdzie ją poznałeś? Przecież dopiero co wróciłeś!

Brady opowiedział historię, którą wymyślili wspólnie z Haven. Doszli do wniosku, że nie powinni wzbudzić w nikim żadnych podejrzeń, jeśli powiedzą, że poznali się przed laty, gdy Brady miał romans z Melindą, a potem niedawno spotkali się ponownie, zupełnym przypadkiem, podczas joggingu. Nawiązali rozmowę i zaczęli się widywać codziennie, aż zdali sobie sprawę z tego, że się w sobie zakochali.

Jeśli chodzi o Annę, Brady napomknął jedynie, iż jest podopieczną Haven. Nie wspomniał ani słowem, że jest jej ojcem. Wiedział, że wkrótce prawda i tak wyjdzie na jaw. To, że poznali się z Haven dzięki Melindzie, powinno w jakiś sposób tłumaczyć dziwny zbieg okoliczności, iż właśnie Brady jest ojcem.

- Sama nie wiem - odezwała się Eileen, gdy Brady skończył opowiadać. - Skąd ten pośpiech? Żeby ci tylko ta cała Haven nie złamała serca.

Brady zaniemówił. Spodziewał się usłyszeć jedynie, że powinien być ostrożny i zabezpieczyć swój majątek. Zastanawiał się, czy ktoś w ogóle był w stanie złamać mu serce. Kilka dni temu odpowiedziałby przecząco na takie pytanie, ale nie znał wtedy jeszcze Anny ani Haven.

- Daj spokój, Eileen - mruknął Pete. - Po tym wszystkim, co ten gość przeszedł, należy mu się trochę szczęścia, nie uważasz?

- Masz rację. - Kobieta rozchmurzyła się i uścisnęła serdecznie dłoń Brady'ego. - Gratuluję ci, kochany. Bardzo się cieszę. Uprzedzam jednak, że w sobotę dobrze się przyjrzę tej twojej Haven i jeśli tylko będę miała jakiegokolwiek wątpliwości, otworzę buzię w odpowiednim momencie.

- Jak cię znam, to zalejesz się łzami, i tyle - stwierdził ze śmiechem Pete.

Haven miała nerwy napięte do ostatnich granic, gdy Brady zjawił się na kolację. Nie wiedziała, jak przetrwa ten wieczór, zwłaszcza że zamierzali udawać zakochanych. Josephine rzucała jej nieustannie badawcze spojrzenia, dając do zrozumienia, że doskonale orientuje się, iż coś jest nie tak. O nic jednak nie pytała.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał Brady, gdy Haven otworzyła mu drzwi.

- Prawdę mówiąc, mam uczucie, że za chwilę zemdleję - odparła, uśmiechając się niepewnie.

- Nie, moja droga, nie zemdlejesz - powiedział stanowczo. - Pamiętaj, że chodzi o Annę. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Jestem z tobą.

Dziwna rzecz, ale te słowa pocieszyły ją. Wyprostowała się i westchnęła głęboko.

- No to chodźmy.

- Ceść, wujku Brady - ucieszyła się Anna, gdy weszli do jadalni. - Mas dla mnie coś?

- Anno! - skarciła ją Haven - To niegrzecznie upominać się o prezenty.

- Pseplasam.

- W porządku. Usiądź teraz spokojnie, a ja przedstawię wujka Brady'ego naszej Josephine.

Anna posłusznie pobiegła do stołu i wdrapała się na krzesło.

Haven spojrzała na Josephine, która zmarszczyła brwi. Natychmiast zorientowała się, że Brady i Anna znają się i że Brady był już kiedyś w tym domu. Aż dziw, że mała nie pisnęła do tej pory ani słówkiem o nowym wujku i misiu, którego dostała w prezencie. Może dlatego, że Haven cały czas ją zagadywała, opowiadając o klaunie, którego zamówiła na przyjęcie urodzinowe Anny w przyszłym tygodniu.

Haven podprowadziła Brady'ego do Josephine.

- Josie, to jest Brady Ross. Brady, to Josephine, moja prawa ręka.

- Bardzo mi miło - powiedział z uśmiechem. - Dużo o tobie słyszałem.

- A ja o tobie niewiele. Siadaj, proszę. Chętnie cię lepiej poznam.

Wszystko układało się pomyślnie. Wyglądało na to, że Brady przypadł Josephine do gustu. Być może Haven niepotrzebnie się zamartwiała.

Gdy kolacja dobiegła już końca, odczekała, aż Anna pobiegnie do swojego pokoju, po czym zdobyła się na uśmiech.

- Josie, mamy ci z Bradym coś ważnego do powiedzenia. W najbliższą sobotę bierzemy ślub.

Widelec z brzękiem wypadł z dłoni Josephine.

- Co takiego?!- wykrzyknęła. Odpowiedziała jej cisza.

- Czy mogę porozmawiać z tobą na osobności? - zwróciła się Josephine do Haven po długiej chwili.

Przeraziła się, że jeśli znajdzie się sam na sam z Josephine, niania błyskawicznie ją zdemaskuje. Brady najwyraźniej wyczuł sytuację, bo chwycił Haven za rękę i ścisnął dla dodania otuchy.

- Nie mam przed Bradym żadnych tajemnic. Mów śmiało.

- W porządku. Nie podoba mi się to, moje dziecko. - Josephine zerknęła na mężczyznę. - Ani trochę.

- Doskonale rozumiem twoje wątpliwości - stwierdził Brady.

Haven czuła się okropnie. Nienawidziła kłamać. Jak mogła oszukiwać kobietę, która była jej bliższa niż rodzona matka! Nawet jeśli wchodziło w grę dobro Anny.

- Josie, dlaczego ta wiadomość tak cię zbulwersowała? Przecież kilka dni temu, gdy dowiedziałaś się, że w moim życiu jest jakiś mężczyzna, bardzo się ucieszyłaś.

- Kilka dni temu nie wspomniałaś ani słowem o małżeństwie. Z jakiego powodu tak się wam spieszy?

- Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale my się po prostu kochamy. Mam dwadzieścia osiem lat i wydaje mi się, że potrafię rozpoznać prawdziwą miłość. Uważam, Josie, że podjęłam słuszną decyzję.

- Naprawdę go kochasz?

Boże, czy tym kłamstwom nie będzie końca? I czy Josephine nie obrazi się na nią śmiertelnie, gdy dowie się o procesie i o tym, że Brady jest ojcem Anny? Ale na razie nie miała innego wyjścia.

- Tak, Josie, naprawdę. Josephine spojrzała na Brady'ego.

- A ty kochasz Haven?

- Z całego serca - odparł uroczyście.

- Nie martw się - zapewniła Haven Josephine. - Dla ciebie to nic nie zmienia. Oboje chcemy, żebyś została z nami.

Josephine pokręciła przecząco głową.

- O, nie, moje dziecko. Gdy tylko wyjdiesz za mąż, wyprowadzę się stąd. Haven była zaszokowana. Tego się nie spodziewała.

- Ale... dlaczego?

- Znasz to powiedzenie o piątym kole u wozu? Kiedy się pobierzecie, musicie zbudować wspólne życie. Tylko bym wam zawadzała.

- Ale przecież nie możesz... - zaczęła Haven.

- Czego nie mogę? - spytała Josephine, patrząc jej uważnie w oczy.

Zostawić mnie z nim samą! - odparła Haven w duchu, a głośno powiedziała:

- Nie, nic takiego.

W pewnym sensie odczuła ulgę na myśl, że Josephine się wyprowadzi. Oznaczało to bowiem, że Brady, zamiast dzielić z nią sypialnię, będzie mógł zająć dla siebie wolny pokój.

- Gdzie będziesz mieszkać, Josephine? - spytała.

- Oczywiście u Jacksona. Od miesięcy namawia mnie, żebym się do niego wprowadziła. - Josephine uśmiechnęła się. - Kto wie, może uda mi się wpłynąć na niego i pójdziemy w wasze ślady?

Haven miała szczerą nadzieję, że Josephine znajdzie swoje szczęście.

- Wiem, że pewnie się nie zgodzisz, ale bardzo bym chciała, abyś została moją druhną.

Piwne oczy Josephine wypełniły się łzami.

- Oczywiście, moje dziecko, że się zgodzę. Wiesz dobrze, że zrobiłabym dla ciebie wszystko. Kiedy ten wasz ślub?

- W sobotę, o dwunastej.

- Wystroję się w swoją najlepszą sukienkę - oświadczyła Josephine i wstała. - No a teraz, moi drodzy, pomóżcie mi sprzątnąć ze stołu.

ROZDZIAŁ 6

Czas biegł tak szybko, że Haven nawet nie spostrzegła, kiedy nadeszła sobota. Rano pobawiła się trochę z Anną, ale potem zostawiła ją pod troskliwą opieką Josephine i poszła się przebrać. Nie zajęło jej to wiele czasu, dzięki czemu zyskała jeszcze chwilę dla siebie. Usiłowała nastroić się odpowiednio na spotkanie z mężczyzną, który wkrótce miał zostać jej mężem.

- Wyciągnij mnie jakoś z tego - szepnęła do swego odbicia w lustrze.

Ale z lustra spoglądała na nią twarz, na której nie było ani śladu niepokoju, wręcz przeciwnie, wyglądała nawet na rozpromienioną. Zaróżowione policzki i błysk w oczach weselni goście powinni zinterpretować jako zrozumiałe w tak uroczystej chwili podniecenie.

- To czysta farsa - powiedziała głośno Haven.

Zerknęła na zegarek. Za chwilę powinna wyjść. Przeczesała niesforne włosy i pomalowała usta szminką, po czym zeszła na dół.

W pokoju nie było nikogo, ale z kuchni dochodziły odgłosy rozmowy.

- Czy jesteście gotowe? - zawołała.

- Za chwileczkę! - krzyknęła w odpowiedzi Josephine.

Haven, nie mogąc usiedzieć na miejscu, podeszła do okna i wyjrzała na dwór przez rozchyloną żaluzję. Zdumiona stwierdziła, że leje deszcz. Gotowa była przysiąc, że gdy szła na górę, by się przebrać, na niebie nie było ani jednej chmurki.

- Podobno słońce przynosi pannie młodej szczęście - bąknęła pod nosem.

Nie była przesadna, ale ulewny deszcz uznała za zły omen. Cóż, urządzała sobie kpiny z instytucji małżeńskiej, mogła się spodziewać, że przyjdzie jej za to zapłacić. Skoro mogła w ten sposób zagwarantować Annie bezpieczeństwo i spokój, to gotowa była zapłacić każdą cenę.

- Ładnie wyglądas, Binny - dobiegł ją głos małej. Odwróciła się i zobaczyła Josephine w odświętnej sukni.

Obok niej stała Anna. Wyglądała uroczo w różowej sukience, białych lakierkach i z wielką koronkową kokardą we włosach. Identyczna kokarda zdobiła gipsowy opatrunek na rączce.

- Ty też ślicznie wyglądasz, kochanie - powiedziała Haven. Widok Anny dodał jej otuchy. Poczula, że powzięła właściwą decyzję.

Josephine w milczeniu oceniła bladoniebieską sukienkę, którą Haven kupiła poprzedniego dnia. Nie miała zamiaru sprawiać sobie ślubnej kreacji, ale gdy zobaczyła na wystawie tę sukienkę, nie mogła się powstrzymać. Była to jedwabna stylowa suknia z głębokim dekoltem. Materiał układał się miękko wokół ciała i Haven czuła się w niej niemal jak księżniczka.

- Och, dziecko - powiedziała ciepło Josephine, a w jej oczach zakręciły się łzy. - Jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziałam... Chyba zaraz się rozplaczę - dodała, pociągając nosem.

Haven również się wzruszyła.

Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała po Josephine, było to, że popadnie w sentymentalizm.

- Przestań się rozczulać - burknęła z udawaną złością. - Bo inaczej...

- Bo inaczej co, moje dziecko?

- Zwolnię cię z posady, ot co.

- To niemożliwe - pokręciła przecząco głową Josephine, śmiejąc się przy tym serdecznie. - Jestem niezastąpiona. Nie poradzisz sobie beze mnie.

- Jak zwykle masz rację - stwierdziła rozbawiona Haven.

- Czy na nas już nie pora? - spytała Josephine.

- Tak. Musimy tylko wziąć parasole, bo leje jak z cebra. Josephine spojrzała na Haven zdumiona.

- O czym ty mówisz? Przecież w ogóle nie pada.

Haven zerknęła ponownie na dwór i stwierdziła, że niebo jest bezchmurne i praży słońce. Czyżby jej się przywidziało? Ale kałuże na chodniku świadczyły o tym, że przed chwilą lał deszcz.

- To pewnie było jakieś nagłe oberwanie chmury - mruknęła pod nosem.

- Chodźmy już - powiedziała Josephine i wzięła Haven pod rękę. - Chyba nie chcesz, żeby pan młody musiał na ciebie czekać.

- Chodź, Binny - włączyła się Anna - Tseba wyjść za mons.

Ruszyły do samochodu, milcząc uroczyście. Haven znowu poczuła wyrzuty sumienia. Przez ostatnie kilka dni udawali z Bradym zakochanych tak przekonująco, że Josephine przestała mieć jakiegokolwiek obiekcje. Doszła do wniosku, iż ich ślub jest co najmniej tak romantyczny jak ślub angielskiego króla Edwarda VIII, który zrzekł się tronu, by poślubić rozwódkę Wallace Simpson.

Poprzedniego wieczoru Haven była bliska załamania. Nienawidziła siebie za to, że oszukuje Josephine. Zasnęła dopiero około czwartej nad ranem, ukojona myślą, że robi to dla dobra dziecka.

- Czy naprawdę nie chcecie wybrać się choćby na tydzień w podróż poślubną? - spytała Josephine, gdy Haven zapinała Annie pas bezpieczeństwa. - Miodowy miesiąc z płaczącym się pod nogami maluchem nie wydaje mi się zbyt romantyczny.

Haven zrobiło się słabo na myśl o ewentualnej nocy poślubnej z Bradym.

- Zamierzamy spędzić pierwszy tydzień właśnie w trójkę, by poczuć się jak prawdziwa rodzina - odparła, zadziwiając samą siebie kolejnymi kłamstwami.

Przyjechały na miejsce jako pierwsze. Sześciopiętrowy murowany budynek, w którym mieścił się urząd stanu cywilnego, robił wrażenie wyludnionego.

- Halo! Jest tam kto? - zawołała Haven.

- Już idę! - huknął w odpowiedzi jakiś mężczyzna. - Proszę się rozgościć w poczekalni.

Poczekalnia była mała i nieprzytulna. Znajdowało się w niej obdrapane metalowe biurko i cztery stare winylowe krzesła w kolorze rdzy. Podłogę zdobił podniszczony perski dywan. Haven, fantazjując w przeszłości na temat zamążpójścia, trochę inaczej wyobrażała sobie miejsce, w którym weźmie ślub. No cóż, dawniej marzyło jej się również, że wyjdzie za mąż z miłości.

Spojrzała na zegarek. Było pięć po dwunastej.

- Brady się spóźnia - mruknęła. - Kto wie, może się rozmyślił? - Zastanawiała się, czy powinna się smucić, czy cieszyć z tego powodu.

- Zżera cię ślubna trema, moje dziecko - stwierdziła Josephine. - Pewnie twój przyszły mąż właśnie jedzie windą na górę i zaraz tu będzie, więc nie martw się na zapas. - Pstryknęła nagle palcami. - Póki pamiętam... Mam coś dla ciebie.

- Nie, Josie - zaprotestowała Haven. - Daj spokój. I tak już tyle dla mnie zrobiłaś.

Josephine machnęła ręką i sięgnęła do torebki.

- A, tutaj jesteś! - wykrzyknęła radośnie. Wydobyła z torebki czarne aksamitne pudełko od jubilera i podała je Haven. - Masz na sobie coś nowego i niebieskiego. Ale brakuje ci jeszcze do szczęścia czegoś starego i pożyczonego.

Haven uchyliła ostrożnie wieczko pudełka. Na czarnym aksamicie leżał przepiękny sznur pereł. W oczach Haven zakręciły się łzy.

- O Boże, jakie piękne!

- Odziedziczyłam je po matce - powiedziała Josephine, uśmiechając się porozumiewawczo. - Matka miała je na sobie w dniu ślubu z moim ojcem. Przeżyli ze sobą szczęśliwie blisko pięćdziesiąt lat. Może i tobie przyniosą szczęście.

Haven otarła łzy, i pomyślała, że musiałyby się chyba stać jakiś cud, żeby jej małżeństwo z Bradym przetrwało.

Josephine wyjęła perły z pudełka i zapięła je na szyi Haven.

- Mam dla ciebie coś jeszcze. - Sięgnęła ponownie do torebki i wyczarowała z niej, niczym Mary Poppins, mały bukietik czerwonych róż.

- Wiem, że chciałaś, aby ślub był skromny, ale nie wyobrażam sobie, żebyś nie miała bukietu.

Haven nie mogła już tego znieść. Nie była w stanie dłużej kłamać. Postanowiła powiedzieć Josephine całą prawdę. Westchnęła głęboko.

- Josephine, wiesz... - Urwała, ponieważ otworzyły się drzwi i do poczekalni weszły trzy osoby: kobieta i mężczyzna, a z tyłu za nimi Brady. Haven przebiegła przelotnie wzrokiem po nieznanym. Stwierdziła, że mężczyzna jest atletycznej postury, a kobieta ma okrągłą, rozpromienioną twarz - po czym spojrzała na swojego przyszłego męża.

Na widok Brady'ego ogarnęła ją fala ciepła. Wyglądał wspaniale w czarnym smokingu i nieskazitelnie białej koszuli. Guzik przy kołnierzyku miał rozpięty, a czarna muszka zwisała luźno wokół szyi. Ogarnęła ją nieprzeparta chęć, by zawiązać mu muszkę, ale powstrzymała się od tego siłą woli, zaciskając pięści.

Jednak największe wrażenie zrobiła na Haven fryzura Brady'ego.

Miał teraz obcięte krótko włosy, trochę w stylu wojskowym, w każdym razie krócej, niż nakazywała aktualna moda. Nowa fryzura, podkreślając jego ostre rysy twarzy, czyniła go jeszcze bardziej męskim.

- Przepraszam - zwrócił się do Haven nieznajomy mężczyzna - ale czuję, że prędzej wrosną nam tu korzenie, zanim nasz przyjaciel nas sobie przedstawi. Wybaczam mu to jednak. Najwyraźniej zrobiła na nim piorunujące wrażenie uroda przyszłej żony - dodał i wyciągnął rękę na powitanie. - Nazywam się Pete Loring, a to moja żona, Eileen.

Haven uściśnęła automatycznie dłoń mężczyzny, nie odzywając się ani słowem. Całą uwagę miała skupioną wyłącznie na Bradym.

- Miło mi, że przyszliście - powiedziała w końcu, podając dłoń Eileen Loring.

Kobieta zmierzyła Haven czujnym spojrzeniem. Po chwili jednak uśmiechnęła się szeroko, z wyraźną aprobatą.

- Dziękujemy za zaproszenie - odparła. - Za żadne skarby, nie przepuściłabym takiej okazji. - A potem dodała, zwracając się ku Brady'emu: - Nie sądzę, żebym miała jakiegokolwiek obiekcje.

Haven zdziwiły te słowa, ale o nic nie pytała.

Nagle po prawej stronie korytarza otworzyły się drzwi, skrzypiąc tak niemiłosiernie, jakby nie były oliwione od lat. Ukazał się w nich podstarzały, mocno przygarbiony mężczyzna, chudy jak szczapa.

- Witam wszystkich - powiedział radośnie zadziwiająco tubalnym głosem. - Jestem Christopher Eriksson. Jeśli się nie mylę, jesteście moimi ślubnymi gośćmi - dodał.

- Zgadza się, proszę pana - odparł Brady.

- Mów mi po prostu Christopher. Czuję się okropnie stary, gdy ktoś zwraca się do mnie per „pan” - mruknął Eriksson i odsłonił zęby w uśmiechu. - W porządku, czy są wśród nas świadkowie?

- Oczywiście.

- Doskonale, doskonale - uśmiechnął się czarująco Eriksson. - A kim jest ta prześliczna panienka? Druhną? - spytał, wskazując Annę.

Dziewczynka zachichotała radośnie.

- Nie, proszę pana. Jestem Anna. Binny będzie żoną wujka Bładego.

- Ach, tak. Rozumiem - skinął porozumiewawczo głową Christopher Eriksson. - To co, możemy zaczynać?

- Jedną chwileczkę. - Eileen szybko doprowadziła do porządku koszulę i muszkę Brady'ego. - Teraz jesteśmy gotowi - oświadczyła.

- Proszę podać sobie ręce - zwrócił się do pana młodego i panny młodej Eriksson.

Brady podszedł do Haven i podał jej rękę.

- Wyglądasz cudownie - wyszeptał, wpatrując się w nią rozmarzonym wzrokiem.

- Podoba mi się twoja nowa fryzura - szepnęła w odpowiedzi.

Brady ujął dłoń Haven, ściskając ją lekko, a potem delikatnie pogłaskał ją opuszkami kciuka. Haven przeszył nagły dreszcz.

- Jeszcze możesz się z tego wycofać, jeśli chcesz - powiedział tak cicho, by nikt inny nie usłyszał.

- Nie, nie chcę - odparła równie cicho Haven.

- Moi drodzy - zagaił Christopher Eriksson - zebraliśmy się tu dzisiaj, aby być świadkami połączenia węzłem małżeńskim tych oto dwojga. Brady i Haven zwrócili się do nas, abyśmy zechcieli dzielić z nimi wspólnie radość...

Haven powtarzała wciąż w duchu, jak mantrę, że to wszystko jest tylko pozorem. Jednak w pewnym momencie, gdy urzędnik stanu cywilnego zaczął recytować znajomy tekst, dała się ponieść chwili.

- Brady, czy chcesz pojąć za żonę obecną tu Haven Adams i zgodnie z prawem wiernie wypełniać wszystkie związane z tym obowiązki?

A gdyby tak choć przez chwilę udawać, że naprawdę wiążą się ze sobą?

- Tak, chcę - odparł Brady zdecydowanym głosem, patrząc Haven prosto w oczy.

Josephine pociągnęła głośno nosem.

- A ty, Haven? Czy chcesz pojąć za męża obecnego tu Brady'ego Rossa i zgodnie z prawem wiernie wypełniać wszystkie obowiązki małżeńskie?

Słowa przysięgi wzruszyły Haven.

- Tak, chcę - wyszeptwała przez ściśnięte gardło.

- Proszę wymienić obrączki.

Ale z niego wspaniały aktor, pomyślała Haven, patrząc na Brady'ego. Sprawiał wrażenie, jakby wierzył w każde wypowiedane słowo. Gotowa była uznać, że i on uległ nastrojowi chwili. I pomyśleć, że oboje po prostu udawali.

- Jako urzędnik stanu cywilnego ogłaszam wasz związek małżeński za zawarty - powiedział uroczyście Christopher Eriksson, po czym dodał, zwracając się do Brady'ego: - Może pan teraz pocałować pannę młodą.

Haven wstrzymała oddech. Brady położył ręce na jej ramionach i przyciągnął ją powoli do siebie. Zrobiło jej się słabo z podniecenia. Przechyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy w oczekiwaniu na dotyk jego ust.

Kiedy ją pocałował, całe ciało, każdy mięsień, każdy nerw Haven zadrżał od szalonego napięcia.

Brady przesunął powoli dłońmi w dół, chwycił Haven w talii i przyciągnął do siebie tak mocno, że poczuła bicie jego serca. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Uniosła ręce i mocno objęła Brady'ego za szyję.

Jeszcze nigdy w życiu pocałunek nie wywarł na niej takiego wrażenia. Żaden mężczyzna nie wzbudził w niej takich emocji. Gdyby zjawiała się teraz złota rybka i Haven mogłaby wypowiedzieć trzy życzenia, przede wszystkim życzyłaby sobie, aby pocałunek Brady'ego trwał wiecznie.

- No, no. To dopiero prawdziwy pocałunek! - stwierdził wyraźnie ubawiony Pete Loring.

Brady uwolnił się raptownie z jej objęć. Spojrzała na niego oszołomiona. Miał przyspieszony oddech i był wyraźnie poruszony - być może po raz pierwszy w życiu stracił nad sobą kontrolę.

Sprawy przedstawiały się nie najlepiej. Jak mogli zamieszkać pod jednym dachem, nie ulegając namiętności, która budziła się w nich, gdy tylko znaleźli się blisko siebie?

Ze względu na Annę będą musieli pozostawać ze sobą w ciągłym kontakcie. Nawet wtedy, gdy pewnego dnia ich namiętność wygaśnie - co było raczej nieuchronne. Nie powinni więc komplikować i tak już trudnej sytuacji, poddając się emocjom.

Haven spojrzała na Christophera Erikssona, zawstydzona tym, że się tak zapomniała. Ale on przyglądał się jej rozpromieniony, z ojcowską aprobatą. Musieli zrobić na zebranych bardzo romantyczne wrażenie, bo Josephine i Eileen roniły łzy ze wzruszenia.

A więc jestem żonatym mężczyzną, powtarzał sobie w kółko Brady w myślach, podążając za Josephine, która oprowadzała go po domu Haven. Niewiele do niego docierało. W głowie miał tylko jedno: że pragnąłby kochać się ze swoją żoną.

W co się właściwie wpakował? Wszystko miało być takie proste: szybki ślub, krótkie małżeństwo, a potem rozwód. Tymczasem zanosilo się na to, że sprawy się nieco skomplikują. Zdał sobie z tego sprawę w momencie, gdy zobaczył Haven w błękitnej, jedwabnej sukience. Wyglądała w niej niczym księżniczka z bajki.

Poza tym nie sądził, że ceremonia ślubna wywrze na nim takie wrażenie. Nie należał do osób sentymentalnych, a słowa przysięgi wzruszyły go niemal do łez.

A potem był pocałunek. Nie zamierzał tak się zapominać. Sprowokowało go błagalne spojrzenie błękitnych oczu Haven, gdy tylko musnął jej usta. I to, że jej skóra była aksamitna w dotyku i pachniała fiołkami.

Teraz jednak byli już małżeństwem i oboje, świadomi tego, co między nimi zaszło, unikali swojego wzroku.

- To jest pokój gościnny - wyrwały Brady'ego z zadumy słowa Josephine.

Ściany i kilka małych dywaników na dębowej podłodze były koloru różowego. W pokoju znajdowało się też mosiężne łóżko, zasłane perkalową kwiecistą narzutą. W oknach wisały zasłonki z tego samego materiału. Typowo kobiecy wystrój, pomyślał Brady. I to ma być jego pokój?

Uprzytomnił sobie nagle, że będą musieli z Haven obmyślić jakąś wymówkę na wypadek, gdyby Anna wygadała się, że nie śpią razem.

- Jest bardzo... kobiecy - powiedział po chwili wahania.

- Haven lubi ozdóbki - stwierdziła Josephine.

- Zauważyłem to - odparł, mając na myśli falbaniaste zasłonki w kratkę wiszące w kuchni oraz kwieciste tapety w całym domu. Po chwili dodał: - Naprawdę nie musisz odchodzić. Bylibyśmy z Haven bardzo szczęśliwi, gdybyś została z nami.

Ale wtedy byłby zmuszony dzielić sypialnię z Haven, pomyślał.

- Nie masz racji, mój drogi. Musicie z Haven zbudować wspólnie dom. Nie powinnam wam się płatać pod nogami. Uprzedzam cię, jednak - spojrzała surowo na Brady'ego: - że jeśli zrobisz tej dziewczynie krzywdę, będziesz miał ze mną do czynienia.

Cóż takiego ma w sobie Haven, że budzi w ludziach instynkt opiekuńczy?
- pomyślał ze wzruszeniem. Przecież doskonale dawała sobie w życiu radę sama. Jeszcze nigdy nie spotkał równie samodzielnej kobiety. Złapał się jednak na tym, że i on odczuwa nieodpartą potrzebę, by otoczyć ją opieką. I że w gruncie rzeczy ożenił się z nią nie ze względu na Annę, ale by uchronić ją przed Zieglarami.

- Zaufaj mi - powiedział. - Zrobię wszystko, by nigdy jej nie skrzywdzić.

Na twarzy Josephine pojawił się znowu uśmiech.

Poszli na dół, do kuchni, gdzie Haven z Anną bawiły się ze znalezionymi przez Brady'ego kotkami. Brady zastanawiał się po drodze, kto w razie konieczności jego będzie chronił.

ROZDZIAŁ 7

To istne tortury, pomyślała Haven, uklepując poduszkę. Zamknęła oczy, ale nie mogła zasnąć, bo tłukły jej się po głowie różne myśli. Oczami wyobraźni widziała siebie w ramionach Brady'ego, niemal czuła jego pocałunki i uściski. Wiedziała, że jeśli natychmiast nie zaśnie, będzie źle.

Nigdy nie wykazywała przesadnego zainteresowania seksem - z wyjątkiem krótkiego okresu, gdy była nastolatką, co było w tym wieku rzeczą zupełnie normalną. A teraz, od chwili gdy przyłożyła głowę do poduszki, przez trzy godziny myślała tylko o jednym: o kochaniu się z Bradym.

Może działo się tak dlatego, że była to noc poślubna - nie miało większego znaczenia, że ich małżeństwo było fikcją - a także dlatego, że obiekt jej fantazji spał w pokoju po drugiej stronie korytarza. Był tak blisko, że Haven zdawało się, iż słyszy jego oddech.

Wyobraziła sobie swego świeżo upieczonego małżonka śpiącego w pościeli w różowo-białe paski w pokoju gościnnym. Ciekawe, czy śpi nago? - zastanowiła się i na tę myśl zrobiło jej się gorąco w dole brzucha. Zakryła twarz rękoma i jęknęła cicho.

To wszystko przez to, że ją pocałował. Jednym pocałunkiem obudził w niej namiętność, o której istnieniu nie miała nawet pojęcia.

Przez chwilę poniosła ją fantazja. Pomyślała, że jest tą jedną jedyną kobietą, która potrafi dotrzeć do Brady'ego. Jeśli okaże mu miłość, cierpliwość i zrozumienie, może uda się jej ukoić jego ból i wspólnie stworzą związek przepełniony miłością i namiętnością.

Akurat! Chyba musiałyby stać się jakiś cud.

Otworzyła z westchnieniem oczy i zaczęła wpatrywać się w cienie na suficie. Od chwili gdy spotkała Brady'ego Rossa, targały nią przeróżne emocje. Do tego dołączył się jeszcze niepokój o Annę i poczucie winy w stosunku do

Josephine. Pogubiła się w tym wszystkim kompletnie. Nie wiedziała, jak przetrwa kilka najbliższych tygodni i co będzie gorsze: oczekiwanie na wynik testu DNA, proces sądowy czy mieszkanie pod jednym dachem z „mężem”.

W końcu odrzuciła prześcieradło i usiadła na łóżku. Uświadomiła sobie, że nie uśnie. Musi zająć się czymś pożytecznym, co pomoże jej oderwać się od nieprzyjemnych myśli.

Wymknęła się cicho z sypialni i zeszła na dół, do kuchni. Postanowiła upiec ciasto.

Brady doszedł do wniosku, że prawdopodobnie zwariuje, zanim małżeństwo, które było czystą farsą, zostanie rozwiązane.

Nie mógł uleżeć spokojnie w łóżku - przewracał się z boku na bok. Wreszcie położył się na plecach, z ramionami pod głową, i wpatrzył się w sufit. Cień drzewa przypominał do złudzenia zarys postaci Haven.

Jęknął cicho i zamknął oczy.

Usiłował zasnąć, ale wydawało się to niemożliwe. Nigdy przedtem nie miał kłopotów z zasypianiem - potrafił zasnąć nawet na gołej podłodze. Może przyczyną bezsenności był zbyt miękki materac?

Skrzywił się. I po co się tak okłamywać? Przyczynę jego bezsenności można było ująć w trzech słowach: Haven Adams Ross.

Co za idiota podpowiedział mu, że małżeństwo będzie najlepszym wyjściem z tej sytuacji?

Brady westchnął. Cóż, tym idiotą był on sam. Nigdy nie powinien był nakłaniać Haven do ślubu ani do tego, by wspólnie zamieszkali.

A teraz jego żona, Haven Adams Ross, spała w pokoju po przeciwnej stronie korytarza.

Zaklął pod nosem, odrzucił prześcieradło i usiadł, spuściwszy nogi z łóżka. Rozejrzał się po pokoju pełnym falbanek i doszedł do wniosku, że nie jest to stosowne miejsce na samotne spędzenie nocy poślubnej.

Dobrze wiedział, gdzie chciałby teraz być - w pokoju naprzeciwko, ze swoją żoną, w jej łóżku. Pragnął porwać ją w ramiona i zatracić się w miłości, zapominając o wszystkim. Albo choćby przytulić się do niej we śnie.

Do diabła! Najwyraźniej dały o sobie znać ponad trzy lata abstynencji.

W swoich planach zupełnie nie liczył się z tym, że może poczuć cokolwiek do Haven. Charlesowi Rossowi udało się przełamać jego opór dopiero po blisko roku. Annie i Haven zajęło to zaledwie kilka dni. W porządku, Anna była jego córką, ale Haven?

Znajdował się obecnie na rozdrożu i powinien zatroszczyć się o swoją przyszłość, a nie ulegać namiętności do pięknej kobiety. Ze względu na to, co przeszedł w dzieciństwie, unikał jakiegokolwiek uczuciowego zaangażowania. Wyjątek stanowiła jedynie Anna i Loringowie. Od Haven powinien trzymać się z daleka. Dla dobra ich obojga.

Próbował obliczyć, ile czasu będzie musiał spędzać z nią sam na sam. Wyszło mu, że niecałe trzy godziny dziennie - resztę dnia zajmie Haven praca w Centrum, zabawy z Anną i sen. To pestka w porównaniu z okresem ponad trzech lat spędzonych w niewoli. Tyle tylko, że do tych, którzy go więzili, nigdy nie odczuwał pociągu fizycznego.

Poniosła go znowu erotyczna fantazja. Zastanawiał się przez chwilę, co Haven ma teraz na sobie? Koronkową, pełną falbanek nocną bieliznę czy flanelową koszulę? A może zupełnie nic?

Wzdrygnął się, myśląc, że chyba jest bliski obłądu, bo nagle wydało mu się, że poczuł zapach świeżo upieczonego ciasta. O trzeciej nad ranem!

Pociągnął nosem - nie, chyba węch go nie mylił. Wstał z łóżka i uchylił drzwi na korytarz. Drzwi do sypialni Haven były otwarte. Więc i ona nie mogła zasnąć, pomyślał z satysfakcją.

Zobaczył, że w kuchni pali się światło. Zszedł boso na dół. Chodnik tłumiał odgłos jego kroków. Z kuchni dobiegła go melodia, którą nuciła Haven,

falszując niemiłosiernie. Była to piosenka z okresu ich dzieciństwa. Brady uśmiechnął się pod nosem i zerknął do kuchni.

Na widok Haven uśmiech zastygł mu na ustach. Odwrócona do niego plecami, szukała czegoś w szafce. Miała na sobie biały podkoszulek, o kilka numerów za duży, sięgający jej do połowy uda. Burza rudych loków spływała w nieładzie na ramiona. Była również boso i zauważył, że ma wspaniałe długie nogi. Na tle podkoszulka odcinały się wyraźną linią figi. Widać było, że jest bez stanika.

Nagle trzy godziny dziennie, które teoretycznie miałyby spędzać z nią sam na sam, wydały się Brady'emu wiecznością.

Haven odwróciła się. W ręku trzymała paczkę cukru pudru, a czubek nosa miała umazany czekoladą. Pod cienkim materiałem podkoszulka wyraźnie rysowały się piersi.

Brady trwał w bezruchu, usiłując zapanować nad pożądaniem. Zamknął oczy. Gdy je znowu otworzył, napotkał wzrok Haven, utkwiony w jego obnażony tors. Całe szczęście, że nie spojrzała niżej, znalazłaby bowiem niezbity dowód na to, co zaprzętało mu myśli.

Usiadł pospiesznie przy stole, na którym studziły się dwa czekoladowe ciasta, mając nadzieję, że blat ukryje dowód jego pożądania.

- Hej - powiedział ochrypłym głosem.

- Hej. Przepraszam, że cię obudziłam.

Zamknęła drzwiczki szafki i wsypała odrobinę cukru pudru do miseczki. Brady śledził bacznie każdy jej ruch.

- Wcale mnie nie obudziłaś - mruknął po czym zapytał: - Co tu robisz?

Haven dodała do cukru trochę masła i wanilię i umocowała miskę w uchwycie miksera.

- Polewę do ciasta - powiedziała.

- Masz zwyczaj zabierać się do pieczenia o trzeciej nad ranem?

- Na ogół nie - ucięła krótko.

Przełożyła ciasto na biały płaski talerz i zaczęła nakładać nożem polewę.

- Czyżby tak bardzo poruszyło cię, że przyszło ci dzielić Annę ze mną? - spytał Brady.

Nóż zamarł na moment w powietrzu.

- Na początku tak - odparła Haven i zaczęła znowu nakładać polewę na ciasto.

- A teraz?

Spojrzała na niego uważnie.

- Wolę dzielić Annę z tobą niż z Zieglarami. Zresztą Zieglarowie już by się o to postarali, abym nie zobaczyła Anny nigdy więcej.

- Więc miałem rację, twierdząc, że z dwojga złego wolałaś mnie?

Haven potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, Brady - powiedziała ciepło. - Przecież jesteś ojcem Anny. Ona cię potrzebuje. I wydaje mi się, że będziesz dobrym ojcem.

Brady poczuł, że ogarnia go wzruszenie. Wydawała mu się jeszcze piękniejsza w tym zbyt dużym podkoszulku, nie umalowana, z włosami w nieładzie, z podkrążonymi z niewyspania oczami, nosem umazanym czekoladą i smugą polewy na jednym z policzków. Wyciągnął rękę i przesunął delikatnie palcem po jej twarzy.

- Doskonała polewa - powiedział, gdy obrzuciła go pytającym spojrzeniem, i oblizał powoli palec, patrząc jej prosto w oczy.

Przez podkoszulek widać było, że jej sutki stwardniały, a piersi zaczęły falować gwałtownie, jak po szybkim biegu. Brady usłyszał brzęk spadającego na podłogę noża. Uniósł się z krzesła i stanął naprzeciw Haven.

Nie zważając na podjęte dopiero co postanowienie trzymania się od Haven z daleka, zapragnął porwać ją w ramiona i całować bez pamięci.

Objął ją w talii i przyciągnął powoli do siebie. Poczuł, jak mięknie pod jego dotykiem. Położyła dłoń na jego nagiej piersi. Przytulił ją jeszcze mocniej, aż poczuł na skórze twarde sutki.

Haven przymknęła oczy, odchylając głowę do tyłu.

Brady obsypał jej szyję pocałunkami, a potem chwycił delikatnie w zęby skrawek ucha i zaczął go ssać.

- Tak bardzo pragnę cię całować - wyszeptał ochryplym głosem.

- Ja też tego chcę - westchnęła przyzwalająco i rozchyliła usta, świadoma, jak bardzo Brady jej pożąda.

Zespolili się w pocałunku, jeszcze gorętszym niż ten wcześniejszy, podczas ceremonii ślubnej. Ręka Brady'ego zawędrowała pod podkoszulek, dotknęła rozpalonej skóry i odnalazła pierś. Haven przeszedł dreszcz podniecenia.

Brady z całego serca pragnął się z nią kochać. Pragnął porwać ją w ramiona i zanieść na górę, do sypialni, rozebrać do naga, połączyć się z nią i rozładować napięcie. Pohamował się jednak z ogromnym wysiłkiem. Uświadomił sobie, że potem żałowałby pewnie swojej słabości, podobnie jak Haven.

Oboje mieli za sobą bardzo nerwowy tydzień. Żadne z nich nie myślało trzeźwo.

- Nie, proszę - zaprotestowała, gdy odsunął się od niej.

- Idź spać - wykrztusił zdławionym głosem. Haven spojrzała na niego zdumiona.

- Co takiego? - spytała.

- Idź spać - powtórzył szorstko.

- Ale... ty... ja... ciasto... - wymamrotała kompletnie zdezorientowana.

- Nie przejmuj się tym cholernym ciastem. Skończę je za ciebie. Idź spać, i już.

Haven wpatrywała się w niego przez chwilę.

- Chyba masz rację. Lepiej będzie, jak sobie pójdę - stwierdziła i wyszła z kuchni.

Brady usłyszał po chwili odgłos zamykanych drzwi od sypialni Haven. Westchnął i schylił się po leżący na podłodze nóż. Opłukał go i zaczął nanosić polewę na ciasto. Po pięciu minutach dzieło było skończone. Ciasto przekrzywiło się nieco i warstwa polewy była wyraźnie nierówna, ale do diabła z tym! Najważniejsze, że udało mu się, przynajmniej na chwilę, odwrócić uwagę od Haven.

Sprzątnął kuchnię, po czym poszedł na górę wziąć prysznic.

Kiedy już zasnął, łóżko zatrzęsło się nagle. Brady mruknął coś pod nosem na znak protestu i nakrył się prześcieradłem.

Łóżko zatrzęsło się znowu.

Brady wychynął spod prześcieradła, otworzył jedno oko i zobaczył Annę, siedzącą obok, z kotkami w obu rękach. Właśnie zastanawiał się, gdzie się podział trzeci kotek, gdy szorstki języczek polizał go po policzku.

- Nie śpis?

- To zależy - mruknął Brady. - Która godzina?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami dziewczynka.

Brady uniósł się na łokciu i spojrzał na zegarek. Było dopiero wpół do siódmej.

- Czy ty zawsze wstajesz tak wcześnie?

- Wstaje, jak się obudzie - odparła Anna. Kotki wyrywały jej się z rąk, więc usadowiła je na łóżku.

Brady zdusił ziewanie.

- A Binny? Czy wstaje razem z tobą?

- Binny śpi. Nie chce się obudzić.

Trudno jej się dziwić, pomyślał Brady. Oboje położyli się niecałe trzy godziny temu. Przetarł oczy. Niech Haven śpi sobie dalej. On zajmie się córką. W końcu muszą się lepiej poznać.

Popatrzył na Annę, siedzącą na brzegu łóżka.

Uprzytomnił sobie, że po rozwodzie z Haven będzie mu ciężko. Choć z pewnością dojdą do porozumienia w sprawie widywania Anny, jednak nie będzie to już to samo, co mieszkanie pod jednym dachem. Anna nie obudzi go już rano, wdrapując się na jego łóżko.

- Wujku Blady, chce mi się jeść - oświadczyła dziewczynka. - Złobisz mi śniadanie?

Brady pozbierał kociaki z łóżka i wstał, przeciągając się i ziewając.

- Jasne, maluchu. Na co masz ochotę? Płatki owsiane czy grzanki?

- Naleśniki - odparła Anna, wypinając brzuch. - Chcie naleśniki.

Brady odzwyczyił się nieco od gotowania, ale pomyślał, że z naleśnikami da sobie radę. Sięgnął po górę od pizamy, leżącą w nogach łóżka.

- A więc do dzieła, moja droga - rzekł wesoło. Mała jednak nie ruszyła się z miejsca.

- Najpielw tseba posłać łosko - powiedziała.

- Naprawdę?

Anna z powagą skinęła głową.

- Zawse tseba rano słać łosko. Pomoge ci, chces?

- A ja będę ci pewnie musiał za to pomóc w łazience? - spytał podejrzliwie Brady, strzepując prześcieradło.

- Nie, bo ja jestem jus duza dziewczynka - odparła z dumą.

Brady przyjął tę informację z nie ukrywaną ulgą. Nie był pewien, czy umiałby sobie poradzić z takim problemem.

Gdy wszedł z Anną do kuchni, stanęła mu w pamięci Haven w białym podkoszulku, smak jej ust, dotyk ciała. Przywołał się do porządku - dziecko czekało na śniadanie.

- Moge pomóc? - spytała Anna.

- Jasne, maluchu - odparł.

Odmierzyli wspólnie mąkę, proszek do pieczenia i cukier, rozsypując przy tym drugie tyle wokół miski. Anna rozbiła jajka. Śmiejąc się, wyłowili wspólnie

skorupki, które wpadły do ciasta. Anna wymieszała wszystkie składniki, a Brady poszukał tymczasem patelni. Wkrótce siedzieli oboje przy stole, zjadając ze smakiem własnej roboty naleśniki.

- Ale pysne - powiedziała Anna z pełną buzią.

- To dlatego, że miałem takiego wspaniałego pomocnika - odparł Brady.

Po śniadaniu sprzątnął kuchnię, po czym kolejne dwie godziny spędził, bawiąc się z Anną klockami lego, czytając jej książeczki i obserwując figlujące wesoło kotki. Nie nudził się ani przez chwilę, wręcz przeciwnie, stwierdził, że przebywanie z córką sprawia mu ogromną przyjemność.

O wpół do dziesiątej doszedł do wniosku, że pora obudzić Haven.

- Czy zechciałabyś mi pomóc zrobić śniadanie dla Binny? - spytał Annę.

- Binny też lubi naleśniki - odparła dziewczynka.

Brady zabrał się do smażenia, a Anna przygotowała tymczasem tacę. Gotowe naleśniki przełożył na talerz, postawił na tacy i przykrył serwetką. Anna szarpnęła go za nogawkę spodni od pizamy, dając znak, aby się schylił, po czym pocałowała w policzek.

- Lubie cie, wujku Brady. Dobrze ze się z nami ożeniłeś. Brady'emu zrobiło się ciepło na sercu.

- Dzięki, maleńka. Ja też się cieszę, że się z wami ożeniłem. No to jak?

Zaniesiemy Binny na górę naleśniki?

- Cy moge ja je zanieść?

- Owszem, tylko ostrożnie, proszę.

Haven spała, zwinięta w kłębek i schowana całkowicie pod prześcieradłem, lekko pochrapując.

- Wstawaj, śpiochu! - zawołał głośno Brady. Chrapanie ucichło.

- Wynoś się - mruknęła Haven, zagrzebując się jeszcze głębiej pod prześcieradłem.

Brady podszedł do okna i zdecydowanym ruchem odsunął zasłony. Pokój zalało słońce.

- Ktoś tu ma sadystyczne skłonności - wymamrotała Haven.
- A ktoś inny z pewnością nie należy do rannych ptaszków - zripostował

Brady.

- My jus dawno nie śpimy - dodała Anna.

Haven zerknęła spod kołdry, odgarniając z twarzy włosy.

- Naprawdę? Która godzina?

- Wpół do dziesiątej - odparł Brady. Haven spojrzała na niego przerażona.

- Wpół do dziesiątej?! Czyżby Anna nie obudziła się dzisiaj, jak zwykle, o wpół do siódmej?

- Owszem, obudziła się.

- Ty sie nie lusalaś, Binny, to posłam obudzić wujka Bładego - rzekła

Anna.

Haven posłała mu czule spojrzenie. Wyglądała przy tym tak rozkosznie, że Brady zapragnął ją znów pocałować.

- Dziękuję, że dałeś mi się wyspać.

- Przygotowaliśmy ci śniadanie - powiedział dla odwrócenia uwagi, wskazując tacę, którą trzymała Anna.

- To był pomysł wujka Bładego - oświadczyła dziewczynka.

- Naprawdę?

- Pomyślałem sobie, że może sprawi ci to przyjemność - bąknął, wzruszając ramionami.

Anna postawiła tacę w nogach łóżka.

- Siadaj, Binny, plöse - zarządziła.

Narzuciła Haven na ramiona szlafrok, po czym poprawiła poduszki, podsuwając je pod plecy.

- Smacnego - powiedziała, podając Haven tacę.

Brady zamierzał wyjść z pokoju, bo chciał, żeby Haven mogła spokojnie zjeść śniadanie, ale Anna przytrzymała go za rękę. Nie miał wyjścia, musiał zostać, jeśli nie chciał zranić uczuć dziecka.

Przyglądając się, jak Haven je, poczuł się niczym anioł stróż. A więc tak wygląda życie rodzinne, rozmarzył się. Po chwili jednak wrócił na ziemię, uprzytomnił sobie bowiem, że nie było mowy o tym, aby stworzył z Haven prawdziwą rodzinę. Choć zazwyczaj nie stronił od ryzyka, nie zamierzał narażać się na niebezpieczeństwo, jakie wiązało się z zaangażowaniem uczuciowym.

- Było pyszne - oświadczyła Haven, odkładając nóż i widelec. - Możecie mi zawsze robić śniadania.

- Jutro też? - spytała ochoczo Anna.

Haven roześmiała się i pogłaskała dziewczynkę po głowie.

- Jutro musisz iść do Centrum, więc nie będziesz miała czasu. A skoro już mowa o czasie, to pora zacząć szykować się do kościoła.

- Ojej, Binny, czy naplawde tseba?

- Tak, moja droga - odparła zdecydowanie Haven.

- Ty też pójdiesz, wujku Brady? - zwróciła się do Brady'ego Anna.

Brady od lat nie był w kościele. Jako dziecko zwracał się do Boga z prośbą o pomoc, ale jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Nie miał jednak sumienia odmówić dziewczynce, widząc jej błagalny wzrok.

Wszyscy w kościele wstali, by odśpiewać hymn na zakończenie mszy. Haven nie potrafiła skoncentrować się na słowach pieśni. Wciąż myślała o tym, co zdarzyło się tego ranka w kuchni, oraz o tym, że gdyby Brady nie wycofał się w porę, poszłaby z nim do łóżka. Przeraziła się, że takie myśli chodzą jej po głowie w świętym miejscu.

Ale jeszcze bardziej przerażało ją, że Brady budził w niej tak niepoahamowane pożądanie. Nie była w stanie mu się oprzeć. Wystarczyło, że na nią spojrzał, a od razu traciła zmysły.

Zdawała sobie sprawę, że to nie tylko kwestia samego pociągu fizycznego. Kryło się za tym coś więcej.

Spojrzała na Brady'ego kątem oka - śpiewał hymn, przytrzymując śpiewnik na wysokości oczu Anny, która przecież nie umiała czytać. Haven

zaczerwieniła się, widząc, że ściągnęła jego wzrok, i odwróciła głowę w drugą stronę. Ależ z niej idiotka! Zanim się spostrzegła, ten mężczyzna podbił jej serce.

- Dzień dobry, Anno. Dzień dobry, Haven - powitał je ksiądz przy wyjściu z kościoła.

- Dzień dobry, ojciec - odparła Haven.

- Nazywam się Brady Ross - przedstawił się Brady, wyciągając do niego rękę. - Jestem mężem Haven. Pobraliśmy się wczoraj.

Haven jęknęła w głębi ducha. Co za bezczelny typ! Nie wystarczyło mu, że się przedstawił? Musiał koniecznie chwalić się, że jest jej mężem?

Ksiądz spojrział na nią zdumiony. Zastanawiał się pewnie, gdzie odbył się ślub, skoro nie w tutejszym kościele.

- Wzięliśmy ślub w urzędzie stanu cywilnego - wyjaśniła Haven, chcąc to mieć jak najszybciej za sobą.

- Rozumiem. Życzę wam wszystkiego najlepszego - powiedział ksiądz, po czym dodał, ściszywszy głos: - Zastanówcie się, moi drodzy, czy nie warto by również pomyśleć o ceremonii zaślubin tutaj, w naszym kościele. Tak dla porządku.

ROZDZIAŁ 8

Zegar wybił ósmą wieczór. Haven zrzuciła pantofle i usadowiła się wygodnie w zielonym skórzanym fotelu. Może Anna szybko zaśnie, wtedy będzie mogła mieć wreszcie chwilę dla siebie. O ile to w ogóle możliwe w obecności Brady'ego.

Westchnęła z ulgą i zamknęła oczy - postanowiła myśleć pozytywnie. Przetrwiała dzielnie pierwszy dzień w roli mężatki. Mogła sobie pogratulować.

Teraz jednak musiała poradzić sobie jakoś z kolejną nocą.

Poczuła nagle obecność Brady'ego. Otworzyła oczy i zobaczyła, że stoi w drzwiach. Był wspaniale zbudowany i przystojny, ale wyglądał na bardzo zmęczonego.

Ogarnęło ją gwałtowne wzruszenie. Zapragnęła, by przytulił się do niej i złożył głowę na jej piersi. Udało jej się jednak zapanować nad swoimi uczuciami.

- Jesteś zmęczona? - spytał.

- Mam wrażenie, że mogłabym spać przez tydzień - odparła pozornie lekkim tonem.

Przymknęła oczy. Widok Brady'ego sprawiał jej niemal fizyczny ból. Zganiła się w duchu: czystą głupotą jest żywić dla niego jakiegokolwiek uczucia. Wkrótce odejdzie stąd i będą się widywać ze sobą jedynie z powodu Anny. Bzdurą było łudzić się nadzieją, że zrodzi się między nimi coś więcej. Powinna spojrzeć prawdzie w oczy. Brady nie chciał angażować się ani wiązać z nikim na stałe i potrafił zdusić w zarodku budzące się w nim uczucia.

Wyraźnie jednak zależało mu na przyjacielu i jego żonie, mogła się o tym przekonać wczoraj, w czasie ceremonii ślubnej. Również Anna nie była mu obojętna - w końcu to ze względu na nią zaproponował ten fikcyjny związek. Zatrzaszczył się też o trzy porzucone na ulicy kotki. I tak ciepło mówił o swoim

przybranym ojcu. Więc może istniała jednak jakaś szansa, że poczuje coś i do niej, choć graniczyło to niemal z cudem?

- Ja też jestem wykończony - stwierdził, wyciągnąwszy się na kanapie. - To był bardzo długi dzień.

- Masz rację. Anna zasnęła?

- Tak, ale musiałem jej najpierw przeczytać ze trzy razy historyjkę o dziewczynce i obcym.

- Tylko trzy razy? To ci się upiekło.

- Mam najwyraźniej niezwykle dar przekonywania. Rzeczywiście, nie dało się tego ukryć.

- A gdzie są kotki?

- Śpią u niej na łóżku. Już wymyśliła im imiona. Zgadnij jakie?

Nie otwierając oczu, wtuliła się głębiej w fotel.

- Jestem zbyt zmęczona, by móc się wczuć w tok rozumowania trzylatki.

- Co powiesz na Chwałę, Glorię i Alleluja?

- Co takiego?! - Parsknęła śmiechem.

- Usłyszała te słowa dzisiaj rano w kościele i doszła do wniosku, że doskonale nadają się na imiona dla kotków. Nie miałem sumienia wyprowadzać jej z błędu.

- Brzmiały nawet całkiem nieźle - stwierdziła Haven.

- Zgadza się z tobą - powiedział ciepło Brady.

Przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie. Słysząc było jedynie tykanie zegara i pracującą w kuchni zmywarę do naczyń. Haven myślała, że Brady zasnął, ale gdy otworzyła oczy, okazało się, że leży, wpatrując się w nią badawczo.

- Powiedz mi, jak ty to robisz? - zapytał. - Jak godzisz pracę w Centrum z zajmowaniem się takim małym dzieckiem?

Odrzuciła na bok niesforny lok, który przesłonił jej oczy.

- Na szczęście mam mnóstwo przyjaciół, którzy w razie potrzeby zawsze chętnie śpieszą mi z pomocą - powiedziała niezupełnie przytomnie, gdyż jej uwagę przykuły opięte na udach dżinsy Brady'ego.

- To nie jest kwestia szczęścia - odparł łagodnie Brady - Zawdzięczasz to sama sobie. Jesteś jak magnes: przyciągasz do siebie ludzi.

Ciebie też? - omal jej się nie wyrwało. Przyjrzała się Brady'emu. Patrzył na nią rozmarzonym wzrokiem. Jakiż on musiał być samotny! Zdaje się, że poza Loringami nie miał wielu przyjaciół.

Prawdopodobnie z powodu cierpienia zaznanego w dzieciństwie nie był w stanie z nikim związać się uczuciowo. Jaka szkoda, że nie potrafił otworzyć przed nią serca - zrobiłaby wszystko, by zapomnieć o przeszłości.

- Opowiedz mi coś o swoich rodzicach - poprosił nagle Brady.

- Co chciałbyś wiedzieć? - spytała zaskoczona Haven.

- Ciekaw jestem na przykład, gdzie mieszkają?

- Niedaleko lotniska - odparła lakonicznie.

- Pewnie się cieszysz, że tak blisko? Domyślam się, że oni też są ludźmi, na których zawsze możesz liczyć.

- Mylisz się - powiedziała cicho. - Oboje są naukowcami. Praca pochłania ich całkowicie. Można powiedzieć, że laboratorium jest ich drugim domem. Właściwie nie mają czasu na nic innego.

Zabrzmiało to niezbyt przekonywająco.

- Czy powiedziałaś im, że się pobraliśmy?

- Nie. I nie zamierzam tego robić. Brady zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

Haven odwróciła wzrok. Była z rodzicami w tak złych stosunkach, że nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Wiesz, moi rodzice... - Urwała, szukając właściwych słów. - Nie jestem z nimi zbyt blisko. Nasze drogi już dawno się rozeszły. Nie widzę więc powodu, by informować ich o każdym moim kroku.

- Chcesz im w ten sposób oszczędzić niepotrzebnych zmartwień? - spytał Brady.

Haven uśmiechnęła się.

- Nie. Staram się nie mówić zbyt wiele, aby oszczędzić niepotrzebnych zmartwień sobie.

- A co będzie, jeśli jakoś dowiedzą się o ślubie? Wiesz, że ludzie lubią plotki.

Haven skrzywiła się na myśl o tym, jaka by się wtedy rozpętała burza. Doświadczyła tego niejednokrotnie. Nigdy nie stanęli po jej stronie. Nie popierali jej nauki, uważając, że studiuje jedynie dla zabicia czasu. Przeciwni byli temu, że po śmierci Melindy podjęła się opieki nad Anną. A już zupełnie nie zgadzali się z jej decyzją otwarcia Centrum. Byli wspaniałymi naukowcami, ale jeśli chodzi o stronę uczuciową - ludźmi kompletnie zahamowanymi w rozwoju. Nigdy nie zrozumieliby, że wyszła za mąż za Brady'ego dla dobra Anny. Uznaliby to za kolejną pomyłkę.

Haven już dawno pogodziła się z faktem, że stanowiła dla nich pewnego rodzaju porażkę. Dopiero jakieś dwa lata temu przestała zabiegać o ich względy.

- Nie zamierzam martwić się na zapas - mruknęła. - Czy możemy zmienić temat?

- W porządku. Powiedz mi w takim razie, co cię łączyło z Melindą?

Haven dałaby z kolei wiele za to, by dowiedzieć się, co tak naprawdę łączyło Melinę z Bradym. Z listu przyjaciółki wywnioskowała jedynie, że spotkali się w hotelowym barze i spędzili ze sobą jedną noc. Nurtowało ją jeszcze wiele pytań, na które do tej pory nie znalazła odpowiedzi. Wyjaśniła się tylko jedna sprawa: Melinda była przekonana, iż Brady zostawi Haven w spokoju, ponieważ nie odpowiedział na list. Nie wiedziała jednak, że list po prostu do niego nie dotarł.

- Co chciałbyś o nas wiedzieć? - spytała.

- Może na początek... gdzie się właściwie poznałyście?

Haven wsparła się na łokciach, by lepiej widzieć twarz Brady'ego.

- Poznałyśmy się w internacie, gdy miałyśmy obie po sześć lat. Melinda stanęła w mojej obronie, kiedy któregoś razu zaczepiła mnie starsza i większa ode mnie dziewczynka. Rozkrwawiła jej nos. Od tej pory byłyśmy nierozłączne.

- Była widać osobą z charakterem.

Haven uśmiechnęła się na wspomnienie przyjaciółki.

- Była oryginałem, osobą tak buntowniczą, że nawet James Dean to przy niej konformista. Mówiła zawsze, że zasady są po to, by je łamać.

- I pewnie często popadała w tarapaty.

- Bez przerwy!

- To zabawne. Jakoś nie bardzo pasuje mi do niej taka charakterystyka.

- Melinda zawsze miała jakiś ważny powód do buntu - stanęła w obronie zmarłej przyjaciółki Haven. - Była osobą o wyjątkowym poczuciu moralności.

- Moralność i buntowniczność na ogół nie idą ze sobą w parze.

- W przypadku Melindy tak. Buntowała się, ponieważ uważała za swój obowiązek stawanie w obronie pokrzywdzonych.

- Tak jak wtedy, gdy porachowała się z dziewczynką, która przyczepiła się do ciebie? - uśmiechnął się Brady.

- No właśnie - skinęła głową Haven. - Myślę, że za żadne skarby nie chciała być podobna do Zieglarów, którzy byli jej opiekunami. Zdążyłeś chyba się zorientować, jaki poziom moralności reprezentują. Melinda zawsze przyznawała się sama do wszystkiego, co zrobiła. Była wyjątkowo uczciwa i nigdy nie uchylała się od odpowiedzialności za swoje czyny.

- To rzeczywiście wielka rzadkość, że ktoś jest gotów ponosić odpowiedzialność za swoje czyny - wycodził Brady sarkastycznie.

Haven wiedziała, że sarkazm Brady'ego ma źródło w jego trudnym dzieciństwie.

- Nie każdy cierpi na brak poczucia odpowiedzialności - odparła łagodnie.
- Spójrz na mnie, na siebie, na Melinę. To już trzy osoby. Gdyby się dobrze rozejrzeć dokoła, znalazłoby się więcej.

Brady zignorował jej słowa.

- A ty? Ty też lubiłaś się tak buntować?

- Ja? - zaśmiała się gorzko. - Nie. Byłam niesamowicie grzecznym i potulnym dzieckiem. Można się było ze mną zanudzić na śmierć.

Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów, aż Haven zrobiło się gorąco.

- Jakoś nie bardzo pasuje mi do ciebie słowo „nuda” - stwierdził.

- Dziękuję... - odparła, czerwieniąc się.

- Powiedz mi, jak zachowuje się grzeczne i potulne dziecko?

Haven podciągnęła nogi w górę i usiadła w fotelu po turecku.

- Nie protestuje ani słowem i nie roni ani łzy, gdy zostaje wysłane do internatu, choć serce kroi się mu na kawałki. Uczy się pilnie i ma same dobre stopnie. Nigdy też nie łamie przepisów.

- I zdobywa dyplom magistra chemii tylko po to, by sprawić przyjemność rodzicom?

Haven zawahała się na moment z odpowiedzią. Brady był zbyt spostrzegawczy. Skoro tak łatwo odgadywał jej myśli, gotów był również odkryć budzące się w niej uczucia. Musiała jakoś temu zapobiec.

- Masz rację - przyznała. - Ale rozmawialiśmy o Melindzie, nie o mnie. Wciąż nie rozumiem pewnych rzeczy. Nie uznawała przelotnych romansów. I dziwi mnie, co robiła w barze, skoro w ogóle nie piła.

- No cóż, tamtego wieczoru piła. I to całkiem sporo. Podobnie zresztą jak ja.

- Czy ty ją zaczepiłeś, czy ona ciebie? Brady wyprostował się i przeczesał włosy ręką.

- Nie pamiętam dokładnie. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Wiem tylko, że zobaczyłem ją wtedy i nasze spojrzenia się spotkały. Robiła wrażenie osoby bardzo samotnej i przeżywającej wewnętrzne rozdarcie, tak jak ja.

- Byłeś czymś wzburzony tamtego wieczoru? - spytała Haven, starając się, by zbyt duża ciekawość nie zraziła Brady'ego.

- Tak. Wiesz... - zaczął powoli - poszedłem odwiedzić swoją matkę. Wyrzuciła mnie na zbity pysk.

Haven milczała. Po raz pierwszy mówił o sobie z własnej i nieprzymuszonej woli. Pewnie dało mu się we znaki zmęczenie i przez chwilę przestał się kontrolować.

Może więc to był sposób na Brady'ego - postarać się, aby był częściej niewyspany i rozkojarzony? Wówczas będzie mogła dowiedzieć się od niego wielu rzeczy, których w innych okolicznościach by jej nie powiedział.

- Musiało cię to bardzo zabołec - powiedziała stłumionym głosem.

Wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

- Nie przejmuj się tym. Sam jestem sobie winien. Mogłem się tego spodziewać.

- To normalne, że wciąż się wierzy w bliskiego człowieka i ma się nadzieję, że może coś zmieniło się na lepsze - odezwała się łagodnie Haven. Obawiała się, że zabrzmiało to banalnie. - Więc po wizycie u matki poszedłeś do baru? - spytała po chwili.

- Zgadza się. I jak się pewnie domyślasz, zamierzałem spić się do nieprzytomności.

- Wtedy spotkałeś Melinę?

- Tak.

- I ona też popijała - mruknęła pod nosem, wciąż zdezorientowana. Nagle przypomniała sobie datę w liście. - Zdaje się, że zaczynam rozumieć... - oświadczyła po chwili. - Melinda dowiedziała się właśnie wtedy o swojej chorobie. Poszła do baru, by tak jak ty zapomnieć o wszystkim. Powiedziała mi,

że myślała nawet o samobójstwie, ale zdarzyło się coś, co odwiodło ją od tego zamiaru. Prawdopodobnie miała na myśli spotkanie z tobą.

Brady pokręcił przecząco głową.

- Przeceniasz mnie. Byłem wtedy zbyt zajęty sobą, by ktoś inny mógł mieć ze mnie jakikolwiek pożytek.

- Ale przecież spędziliście wspólnie noc. Kochaliście się. Poczęliście dziecko.

Brady zachmurzył się.

- Trudno powiedzieć, że się kochaliśmy. Prawie nie odzywaliśmy się do siebie. Chyba po prostu wzajemnie ukoiliśmy swój ból. Nawet nie pamiętam, jak Melinda wyglądała.

- Poczekaj... - Haven zerwała się z fotela i podbiegła do szafki, na której stał telewizor. Wyjęła z niej kasetę wideo, wsunęła do odtwarzacza, po czym ponownie usiadła w fotelu i oświadczyła: - Po śmierci Melindy pozbierałam wszystkie nasze wspólne zdjęcia i filmy, jakie tylko znalazłam, i zaniiosłam je do fotografa. Zmontował z tego kasetę dla Anny, aby miała pamiątkę po matce. - Przygryzła wargę. - Jeszcze tego nigdy nie oglądałam.

Brady spojrzał na nią pełnym zrozumienia wzrokiem.

- Czy na pewno jesteś w stanie oglądać teraz ten film? Haven westchnęła głęboko, ale skinęła głową.

- Tak. Chcę, żebyś zobaczył, jaka była Melinda.

Włączyła taśmę. W tle rozległa się cicha muzyka, a na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie: przystojna młoda kobieta i mężczyzna z dumą prezentowali nowo narodzone dziecko.

- To rodzice Melindy - wyjaśniła Haven. - Zginęli w wypadku samolotowym, gdy miała dwa lata.

Na następnym zdjęciu była grupka dzieci w wieku szkolnym.

- Skąd ten przeskok w czasie? Czyżby Zieglarowie nie lubili fotografować? - spytał Brady z wyraźną ironią w głosie.

- W każdym razie nie Melinę. Z pewnością narobili mnóstwo zdjęć swoim dzieciom. To zdjęcie zrobiono w Willowhurst.

- To internat, do którego obie trafiłyście? Haven skinęła głową.

- Jesteśmy w pierwszej klasie. Melinda stoi pierwsza z prawej w pierwszym rzędzie.

- A kim jest ta dziewczynka z podbitym okiem i zdartą skórą na kolanach, którą Melinda obejmuje za szyję? - spytał Brady.

Haven stanął nagle w pamięci, jak żywy, pierwszy dzień w szkole.

- To ja.

- Tak myślałem. Kto ci podbił oko?

- Julie Hodgkiss.

- A dlaczego masz zdartą skórę na kolanach?

- Julie podłożyła mi nogę.

- To właśnie jej Melinda rozkrwawiła nos? Haven skinęła głową.

- Dobrze zrobiła - stwierdził Brady. - Gdybym ja tam był, też bym jej nieźle przyłożył.

Słowa te sprawiły Haven prawdziwą przyjemność. Objasniała dalej zdjęcia pojawiające się na ekranie - obrazki z kolejnych lat, ukazujące Melinę coraz starszą. Były wśród nich zdjęcia z balu maturalnego, matury, rozdania dyplomów oraz z wycieczki do Wielkiego Kanionu, którą Haven odbyła wspólnie z Melindą dwa lata przed jej śmiercią.

Potem pojawiły się obrazy, których obawiała się najbardziej. Były to fragmenty nakręcone przez nią w dniu narodzin Anny.

Wstrzymała oddech, gdy zobaczyła na ekranie twarz Melindy. Przyjaciółka znajdowała się w sali szpitalnej. Właśnie doszła do siebie po cesarskim cięciu. Była jeszcze bardzo słaba, ale promieniała radością macierzyństwa. Wzruszenie ścisnęło Haven za gardło na widok Melindy odwijającej kocyk, którym była otulona Anna, i zachwycającej się malutką córeczką.

Gdy film się skończył, siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- To wszystko - odezwała się w końcu Haven zdławionym głosem i wstała, by wyłączyć wideo. - Melinda zmarła tydzień później.

Rozplakała się. Zanim się spostrzegła, Brady podszedł do niej, objął i otarł czule z policzka łzy. Spojrzała na niego zmieszana.

- Proszę cię, Haven, nie odtrącaj mnie - powiedział schrypniętym głosem.

Usiłowała uwolnić się z uścisku, ale Brady przytrzymał ją mocniej.

- Tak bardzo mi brakuje Melindy - powiedziała cicho, kładąc mu głowę na piersi.

- Wiem - wyszeptał. Musnął ustami czoło Haven, po czym wsparł brodeę delikatnie o jej głowę. - Ale ona jest przecież z tobą nadal. Jest tuż-tuż.

Wystarczy, abyś spojrzała na Annę.

Haven wtuliła się głębiej w ramiona Brady'ego. Nie spodziewała się, że ktoś taki jak on potrafi zdobyć się na słowa otuchy. Wybuchnęła szlochem.

Koszula Brady'ego zrobiła się mokra od łez.

- Przepraszam - wyrzuciła z siebie, targana spazmami.

- Za co?

- Że zmoczyłam ci koszulę.

- Nie szkodzi, nie jestem przecież z cukru - mruknął z czułością w głosie.

Nie zaprotestowała, gdy chwycił ją w ramiona i zaniósł na kanapę.

Wyciągnął się obok niej i przytulił mocno do siebie.

- Cieszę się, że Melinda spotkała tamtego wieczoru właśnie ciebie - szepnęła sennie Haven, czując się bezpiecznie w jego objęciach. - Myślę, że uratowałeś jej życie.

- Mylisz się. To Melinda mnie uratowała życie - odparł stłumionym głosem.

Kiedy Haven zasnęła, Brady obserwował jej piersi, unoszone równym rytmem oddechu. Ciepły i delikatny, muskał mu szyję niczym piórko. Twarz

uśpionej Haven wyrażała spokój. Nie sposób było poznać, że przed chwilą płakała.

Zdrętwiała mu ręka pod ciężarem jej głowy, ale nie poruszył się. Ogarnęła go fala czułości.

Sprawiało mu ogromną przyjemność, że Haven leży przytulona ufnie do niego. Pachniała tak miło. Wyobraził sobie przez moment, jak by to było, gdyby spędzali wspólnie każdą noc.

Poczuł, że toczy się w nim wewnętrzna walka pomiędzy potrzebą zbliżenia się do Haven a strachem, jaki się z tym wiąże. Pragnął jej tak bardzo, że aż go to przerażało. Obawiał się, że może stracić dla niej głowę.

Poniósł w życiu niejedno ryzyko. Najpierw postępując lekkomyślnie w młodości, a potem oddając się swojej służbie. Ale nigdy nie angażował się w nic do końca, całym sercem.

Zawsze trzymał się z daleka od ludzi. Wyjątek stanowił jedynie przybrany ojciec oraz Pete i Eileen. Już jako dziecko zrozumiał, że im mniej się człowiek angażuje, tym trudniej jest go zranić. Otoczył się więc ochronnym pancerzem obojętności. Teraz zawładnęła jego sercem Anna i istniało niebezpieczeństwo, że wkrótce Haven zrobi to samo.

Teoretycznie były dwie możliwości: albo zostać i dać się zranić, albo odejść i poczuć pustkę. Nie mógł jednak odejść ze względu na Annę, nie wtedy, gdy była zagrożona jej przyszłość. Musiał więc zachować ostrożność.

Zdawał sobie sprawę, że dla niejednego psychoanalityka byłaby to niezła łamigłówka. Sam rozumiał jednak aż za dobrze, czemu ma taką a nie inną osobowość. I choć niektórzy twierdzili, że nigdy nie jest za późno na to, by się zmienić, Brady uważał, że jego przypadek jest beznadziejny.

Jednego tylko nie rozumiał. Dlaczego zwierzył się dzisiejszego wieczoru Haven? Do tej pory nikt nie wiedział o tym, że spotkał się z matką. Nawet Pete. Zaskoczył tym nagłym wyznaniem nie tylko ją, ale i samego siebie.

Być może był to objaw skrajnego zmęczenia. Poczul się także pewnie w jakiś sposób zobowiązany, by obdarzyć Haven zaufaniem, bo tyle opowiedziała mu o sobie. A może po prostu ich sytuacja była uderzająco podobna, z czego dotychczas nie zdawał sobie sprawy. Oboje nie mieli bliskiej więzi z rodzicami i mogli liczyć wyłącznie na samych siebie.

Różnili się jednak pod pewnym względem ogromnie: Haven była od niego o niebo dzielniejsza. Wiedział, że uchodził za bohatera z powodu swoich wyczynów w wojsku. Jednak prawdziwym bohaterem była Haven, ze swoją niezachwianą wiarą w ludzi, której Brady absolutnie nie podzielał.

Teraz, w ciemnościach nocy, pozwolił ponieść się marzeniom. Wyobraził sobie, że Haven należy do niego i że ich wzajemne uczucia okażą się trwałe.

Wiedział jednak, że po nocy przyjdzie dzień, i w świetle poranka okaże się, że znów popełnił jakieś straszliwe głupstwo.

Uniósł zdrtwiałe ramię, westchnął głęboko, przytulił głowę do głowy Haven i zamknął oczy.

ROZDZIAŁ 9

Haven poczuła, że zeszywniała jej szyja. Usiłowała poruszyć się, ale przytłaczało ją coś ciężkiego i ciepłego. Otworzyła oczy i ujrzała biało-niebieskie prążki. Zmarszczyła brwi, usiłując zorientować się, co to takiego.

Ocknęła się błyskawicznie, gdy uprzytomniła sobie, że to rękaw koszuli Brady'ego. A to coś, co ją przytłaczało, było jego ramieniem

Leżała w jego objęciach. Byli zwrócenii do siebie twarzami i mieli splecione nogi. Czowała skórę Brady'ego, niemal parzącą ciepłem. Zadrżała, gdy wciągnęła w nozdrza przyjemny męski zapach.

Chyba jej się to wszystko śniło. Nie mogła sobie za nic przypomnieć, jakim cudem znalazła się w ramionach tego mężczyzny.

Zegar wybił kwadrans, przywracając jej pamięć. Przypomniała sobie nagle kasetę wideo ze zdjęciami Melindy oraz to, że płakała jak dziecko, tulona przez Brady'ego. Musieli zasnąć ze zmęczenia.

Powinna była obudzić go i wysłać na górę, do gościnnego pokoju, aby się porządnie wyspał. Ale nie poruszyła się. Mimo zeszywniałej szyi czuła się wspaniale w jego silnych ramionach.

Poza tym trafiła jej się nie lada gratka - wreszcie mogła przyjrzeć mu się z bliska.

Odchyliła głowę i obrzuciła spojrzeniem twarz Brady'ego. Z czoła zniknęły zmarszczki, a rysy twarzy straciły na ostrości. Jego kości policzkowe wydawały się mniej wystające, żuchwa nieco bardziej zaokrąglona, a nos niezbyt wydatny. Wyglądał bardzo młodo i niesamowicie seksownie. Najbardziej fascynujące były usta - subtelnie wykrojone, pełne i zmysłowe.

Ogarnęła ją nagle nieprzeparła ochota pocałowania go, ale powstrzymała się i dalej wpatrywała się w Brady'ego. Na brodzie miał silny, jasny zarost, raczej rzadko spotykany u blondynów. A rzęsy - jeszcze nigdy nie widziała tak

długich u mężczyzny. Do tej pory nie zwróciła na to uwagi, gdyż były tego samego złotego koloru co włosy.

Nagle Brady otworzył oczy. Haven wstrzymała oddech - czuła się jak przyłapana na gorącym uczynku.

Poczuła suchość w ustach.

- Halo - powiedziała z drżeniem serca, zwilżając językiem wargi.

Zauważyła, że najwyraźniej oprzytomniał, bo znów przybrał ten swój obojętny, chłodny wyraz twarzy.

- Halo - odpowiedział.

Poczuła gorycz w sercu. Zrozumiała, że znowu zamknął się w sobie, i o bliskości, która była między nimi jeszcze tak niedawno, nie może już być mowy. Od tej chwili będzie się pewnie pilnować ze zdwojoną czujnością.

- Wygląda na to, że zasnęliśmy na kanapie - rzuciła, bo nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy.

Przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu kości.

- Nie da się ukryć - odparł z wymuszonym uśmiechem.

- Dziękuję, że mogłam wypłakać się na twojej piersi - powiedziała sztucznym tonem. - Zdaje się, że twoja koszula już wyschła.

- Nie ma sprawy. Która godzina?

Haven, ociągając się, wyplątała się z jego uścisku i usiadła na kanapie. Przygładziła ręką włosy i poprawiła ubranie. Pomyślała sobie, że musi wyglądać jak straszdyło. Na szczęście Brady nie patrzył na nią.

Zerknęła na zegar i doszła do wniosku, że jest zbyt późno, by się położyć do łóżka. Szkoda, bo była okropnie śpiąca.

- Dochodzi szósta.

Brady wstał, krzywiąc się nagle.

- Coś się stało?

- Strzyknęło mi coś w plecach - odparł i znowu się skrzywił.

- Połóż się na brzuchu - poleciała Haven, wskazując na kanapę

- Po co? - zdziwił się Brady.

- Melinda miała w ostatnich miesiącach choroby okropne bóle pleców - wyjaśniła Haven. - Ukończyłam kurs masażu, by ulżyć jej cierpieniom. Pomyślałam, że mogłabym ci pomóc.

- Dzięki, ale już w porządku - zapewnił.

Widać było wyraźnie jednak, że coś mu jest. Dlaczego mężczyźni zachowywali się wobec bólu zawsze jak dzieci? - pomyślała.

- Nie wygłupiaj się. - Tym razem naprawdę się zezłościła. - Czego się boisz? Przecież widzę, że coś ci dolega. Po prostu chcę ci pomóc. Czy odmówiłbyś również chirurgowi, który chciałby ci zoperować zator tętnicy serca?

- Coś takiego nigdy by mi się nie mogło przydarzyć - odparł Brady, wzruszając ramionami.

- Skąd ta pewność? - spytała Haven.

- To proste. Bo ja nie mam serca.

Haven poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Pewnie Brady zorientował się minionej nocy, że nie jest jej obojętny, i usiłuje teraz dać do zrozumienia, by nie liczyła na to, iż odwzajemni jej uczucia. Tylko idiotka nie wpadłaby na to.

- A więc jesteś żywym trupem - stwierdziła.

- Co takiego? - Brady był wyraźnie zaskoczony.

- Żywym trupem. Nie zapominaj, że jestem magistrem chemii i znam się nieco na fizjologii człowieka. Tylko żywe trupy nie mają serca.

- Miałem na myśli... - usiłował bronić się Brady.

- Dobrze wiem, co miałeś na myśli - przerwała mu w pół słowa Haven. - Nie przejmuj się, pojęłam aluzję. Musisz być chyba bardzo samotnym człowiekiem.

- Przyzwyczailem się do samotności i jest mi z tym dobrze.

- Ja też lubię być sama. Ale zdaje się, że na razie nic z tego.

Brady był wyraźnie zdezorientowany.

- Nie wiem czemu, ale każda rozmowa z tobą przyjmuje zawsze niespodziewany obrót.

Haven uśmiechnęła się z politowaniem. Biedak. Nie pojmował w czym rzecz.

- Posłuchaj: ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą - oświadczyła. - Nie rozumiemy w ten sam sposób. Napisano już na ten temat sporo książek. Może powinieneś którąś z nich przeczytać?

- Może i powinienem. - Zdobył się na wymuszony uśmiech.

A ona z kolei nie powinna zapominać, że są ze sobą wyłącznie ze względu na Annę i nie powinna komplikować niepotrzebnie sytuacji, bujając w obłokach. Najwyższa pora przestać skupiać uwagę na niewłaściwych rzeczach.

Westchnęła głęboko.

- Nie chciałam ci sprawić przykrości - skłamała, po raz setny chyba od czasu, gdy wkroczył w jej życie. - Przepraszam, jeśli powiedziałam coś, co cię uraziło. Jak tam twoje plecy? Wciąż bolą?

Brady spojrział na nią niepewnie, i potulnie skinął głową.

- Więc przestań zachowywać się jak dziecko i połóż się na brzuchu.

Gdy spełnił jej polecenie, siadła mu okrakiem na biodrach, wysunęła koszulę ze spodni i uniosła ją w górę. Rozluźniła palce, ale zawahała się przez chwilę, zanim dotknęła obnażonych pleców. Sytuacja wydała jej się nagle zbyt intymna. Pocieszyła się jednak zaraz, że chodzi przecież wyłącznie o to, by przynieść mu ulgę.

- Gdzie cię boli? W górze czy w dole pleców? - spytała.

- W dole.

Zaczęła delikatnymi ruchami masować mu kręgosłup. Brady wydał z siebie cichy jęk, który stopniowo przeszedł w westchnienie ulgi. Haven przesuwała powoli dłonie w górę, ugniatając palcami obolałe mięśnie, które rozluźniały się pod jej dotykiem.

- No i jak? Odpowiada ci mój masaż? - spytała.

Brady zamruczał na znak zadowolenia.

Haven uklękła obok niego i rozmasowała mu szyję, a potem ramiona.

- Już po wszystkim - oznajmiła w końcu.

Miała czoło zroszone potem i była tak zmęczona, jakby zakończyła maraton.

Brady obejrzał się i uśmiechnął się do niej.

- Dziękuję. Czuję się teraz znacznie lepiej.

- Nie ma za co. Spełniłam tylko swój małżeński obowiązek - odparła, zdobywając się na beztroski uśmiech.

Uprzytomniła sobie natychmiast, jak głupio zabrzmiały te słowa. Był przecież jeszcze inny, znacznie intymniejszy małżeński obowiązek.

Wyczytała z oczu Brady'ego, że miał to samo skojarzenie. Wpił w nią wzrok, uśmiech zamarł mu na ustach. Nagle, zanim się Haven spostrzegła, zmienił gwałtownie pozycję, chwycił ją za ręce i przycisnął do kanapy. Spojrzał na nią tak płomiennym wzrokiem, że zrobiło jej się słabo. Leżała bez ruchu jak zahipnotyzowana.

- Wszystko sprowadza się wciąż do tego samego, prawda?

Poczuła wzbierającą w dole brzucha falę pożądania. Może Brady nie był zdolny do miłości, ale pragnął się z nią kochać - co najmniej tak samo jak ona z nim.

- Najwyraźniej - odparła drżącym głosem.

- I co ja mam z tobą począć? - spytał.

Kochaj mnie, bądź ze mną, nie odchodź, pomyślała.

- Pocałuj mnie - powiedziała głośno, nie mogąc zdobyć się na nic więcej.

Brady pochylił powoli głowę, a Haven przymknęła oczy i rozchyliła wargi. Miała wrażenie, że serce wyskoczy jej za chwilę z piersi. Nie obchodziło jej to, jak wygląda - że jest okropnie rozczochrana i ma rozmazany makijaż. Nie liczyło się nic więcej poza tym, że pragnie całować się z Bradym.

Poczuła dotyk rozpalonych ust i delikatne muśnięcie języka. Pośpiesznie objęła Brady'ego za szyję i zatopiła palce w jasnej czuprynie.

To już nie było tylko pożądanie. Kryło się za tym również pragnienie bycia z tym mężczyzną, pragnienie przynależenia do niego całym ciałem i duszą oraz wyplenienia na zawsze samotności z jego serca.

Brady wsunął rękę pod jej bluzkę i dotknął piersi.

Haven zrobiło się gorąco. Jęknęła cicho i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Co lubicie? - odezwał się znienacka dziecinny głosik.

Haven poczuła się, jakby ktoś wylał na nią kubeł zimnej wody. Zerwała się jak oparzona i spojrzała przez ramię. Anna stała dwa kroki od nich, a trzy kociaki baraszkowały obok niej na podłodze.

Haven rzuciła Brady'emu znaczące spojrzenie.

- Bawimy się w zapaśników - powiedziała, gdyż nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Brady'ego złapała nagła czkawka.

- Cy moge pobawić sie z wami? - spytała Anna.

- Oczywiście - odparła Haven zdławionym głosem.

Anna wdrapała się na kanapę i zaczęła ich łaskotać. Brady i Haven popatrzyli na siebie. Po chwili cała trójka, splątane w kłębek, wylądowała na podłodze, śmiejąc się głośno. Gdyby ktoś popatrzył na nich z boku, pomyślałby, że są szczęśliwą, kochającą się rodziną.

W końcu Haven, uśmiechając się szeroko, zarządziła koniec zabawy. Brady pomógł jej wstać. Spojrzał na nią rozbawiony.

Uśmiech znikł z twarzy Haven, gdy pomyślała, że tak naprawdę nigdy nie będą normalną, szczęśliwą rodziną.

Korzystaj z chwili, upomniała się w duchu, otrzepując ze spodni kocia sierść.

- Ale było fajnie - stwierdziła Anna. - Cy możemy się zawse bawić tak rano?

- Nie wiem, czy zawsze - odpowiedziała ostrożnie Haven - ale na pewno co jakiś czas.

Brady chwycił Annę za rękę i poprowadził ją w stronę drzwi.

- Zabawa skończona, maluchu - powiedział. - Pora się ubierać.

Haven zastanawiała się, czy ten mężczyzna zdaje sobie sprawę z tego, jakim wspaniałym jest ojcem.

- Jaki jest dzisiaj program dnia? - spytał Brady godzinę później, gdy wróciła z krótkiego joggingu. Zdążył w tym czasie przygotować Annie śniadanie i właśnie sprzątał kuchnię.

Haven upewniła się najpierw, że Anny nie ma w pobliżu.

- Jestem umówiona na rano z adwokatem Zieglarów - odparła.

- Po co? - zdziwił się Brady.

- Muszę złożyć zeznania w związku ze sprawą sądową. - Haven wzruszyła ramionami, siląc się na obojętność. - To czysta formalność.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - spytał Brady poirytowanym tonem.

Haven uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Przepraszam cię, ale po prostu o tym zapomniałam. Zorientowałam się sama dopiero przed chwilą. - Nie dodała tylko, że aż się spociła ze strachu, gdy odkryła tę notatkę w kalendarzu.

- Idę z tobą.

- Nie ma potrzeby. Będzie przy tym mój adwokat.

- Idę z tobą, i już - stwierdził Brady tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Jestem w końcu twoim mężem. To nasza wspólna sprawa.

Haven poczuła w głębi serca wdzięczność.

- Dziękuję ci. Prawdę powiedziawszy, trochę się denerwuję na myśl o tym spotkaniu.

- Dlaczego? Przecież jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, to nie dojdzie do żadnej rozprawy.

- Wiem o tym. - Haven przygryzła wargę. - Zbyt często przydarzały mi się sytuacje, w których wszelkie plany się zawałyły. Zresztą podobnie jak i tobie.

- Uwierz mi na słowo, że tym razem wszystko się uda - oświadczył stanowczo.

- Mam nadzieję, że masz rację.

Brady załadował w milczeniu zmywarę.

- Haven? - spytał po dłuższej chwili.

- Tak?

- Jeśli chodzi o pocałunek...

Na twarzy Brady'ego malowało się zakłopotanie. Haven pomyślała, że jeśli zacznie się tłumaczyć i przeproszać, to nie zdoła się opanować i powie mu coś przykrego.

- Który pocałunek masz na myśli? - wycodziła przez zęby, nawet nie próbując ukryć irytacji. - Ten w czasie ceremonii ślubnej, czy też ten, gdy zajęta byłam przygotowaniem polewy do ciasta? A może ten dzisiejszy, na kanapie? Który chciałbyś szczegółowo przeanalizować? - spytała, biorąc się pod boki.

- Myślę, że wszystkie - bąknął. - Nie chciałbym, żebyś odniosła niewłaściwe wrażenie.

- Sądzę, że sprawa jest całkiem jasna - stwierdziła Haven. - Po prostu nie potrafisz trzymać się ode mnie z daleka.

- Obawiam się, że masz rację - przyznał ze śmiechem.

- A najgorsze, że mi to całkiem odpowiada.

- Właśnie o tym chciałem porozmawiać - powiedział z nagłą powagą Brady.

- Nie ma o czym mówić - odparła Haven, wzdychając.

- Jestem dorosłą kobietą, która umie zapanować nad swoimi uczuciami.

Nie przejmuj się, nie zamierzam cię usidlić. Nie oczekuję również, że zostaniesz

tu na zawsze tylko dlatego, że się kilka razy pocałowaliśmy. Nie musisz więc szukać ratunku w ucieczce.

Brady zmarszczył brwi.

- Szukać ratunku w ucieczce...?

- Przecież zawsze to robisz, gdy ktoś usiłuje się do ciebie zbliżyć, prawda? Założę się, że właśnie dlatego wylądowałeś w wojsku. Nie mogłeś nigdzie zagrześć dłużej miejsca.

- Poszedłem do wojska, bo chciałem - próbowałem bronić się Brady. - Wcale nie dlatego, żeby od czegoś uciec.

Haven wzruszyła ramionami.

- Skoro tak twierdzisz...

Starła stół w kuchni, odłożyła ścierkę i wyszła. Nieźle mu dopiekła. No i dobrze.

Brady obrzucił Haven badawczym spojrzeniem, gdy wsiadali do windy, aby dotrzeć do kancelarii adwokackiej, która znajdowała się na dziesiątym piętrze. Wyglądała wspaniale w dopasowanej granatowej sukience, ale była bardzo blada, jakby za chwilę miała zemdleć.

Brady chwycił ją za rękę - była lodowata.

- Czy wszystko w porządku? - spytał.

Gdy zwróciła wzrok w jego stronę, zobaczył, że ma podkrążone oczy. Zdobyła się na lekki uśmiech. Omal nie pękło mu serce - to, którego, jak twierdził, nie miał - bo Haven zrobiła na nim wrażenie zmęczonej, zagubionej i niepewnej siebie.

- Jestem po prostu zdenerwowana - odparła.

Budziła w nim uczucia, których się bał. Jej pocałunki, i dotyk ciała rozpałały w nim nierealne pragnienie pozostania z nią na zawsze i stworzenia rodziny, której nigdy nie miał. Po raz pierwszy od śmierci swojego przybranego ojca nie chciał być dalej sam. I to go przerażało.

Pomyślał, że im szybciej się to wszystko skończy, tym lepiej. Dla nich obojga.

- Nie denerwuj się - powiedział, ściskając dłoń Haven.

- Jestem z tobą.

- Dziękuję - odparła i uśmiechnęła się tak ciepło, że żywiej zabiło mu serce.

Drzwi windy rozsunęły się. Brady, trzymając wciąż Haven za rękę, wprowadził ją do ogromnego holu, który zdobiły ciężkie, kryształowe żyrandole. Na podłodze rozciągał się welurowy, nieskazitelnie biały dywan, a na ścianach wisiały olejne portrety. Stało tu kilka eleganckich, skórzanych kanap oraz wielkie błyszczące biurko, za którym siedziała kobieta pełniąca funkcję sekretarki. Za masywnymi mahoniowymi drzwiami, w głębi, kryła się kancelaria adwokacka.

- Jak widać, Zieglarowie nie szczędzą grosza w walce o Annę - szepnął Haven do ucha Brady.

- Jak myślisz, dlaczego tak się niepokoję? - odszepnęła, rozglądając się wokół. - Jak mogę konkurować z czymś takim?

- Nie zapominaj, że stoję po twojej stronie. Jak również o tym, że więzy krwi znaczą znacznie więcej niż drodzy, ekskluzywni adwokaci.

Sekretarka wskazała im kanapę w rogu. Gdy Haven i Brady ruszyli w tym kierunku, jak spod ziemi wyrósł przed nimi wielki, co najmniej dwumetrowy, łysy mężczyzna.

- Hej, Syd! - powiedziała Haven. Uścisnęli sobie dłonie. - To mój mąż, Brady Ross. Brady, to mój adwokat, Syd Spear.

Syd nie dał po sobie poznać zaskoczenia - zmrużył tylko lekko oczy. Wieloletnia praktyka prawnicza nauczyła go maskować uczucia. Uścisnął serdecznie dłoń Brady'ego.

- Mąż? - spytał, uwolniwszy dłoń z uścisku.

- Pobraliśmy się w zeszłą sobotę - odparła Haven.

Syd Spear zmierzył Brady'ego od stóp do głów. Brady poczuł ulgę, że ten facet stoi po ich stronie. Wyglądał na zbyt bystrego, by umknął mu jakikolwiek szczegół.

- Czy to o tym mężczyźnie wspomniałaś mi w zeszłym tygodniu? - spytał Syd.

- Tak - potwierdziła Haven.

- To ojciec Anny?

- Tak. Czekamy na wynik testu DNA, by mógł oficjalnie wystąpić o opiekę nad dzieckiem.

- I aby skrócić sobie czas oczekiwania, postanowiliście się pobrać?

Brady uznał, że pora wtrącić swoje trzy grosze. Syd Spear stanowił dla nich ogniową próbę. Jeśli potrafią go przekonać, że ich małżeństwo jest prawdziwe, przekonają także innych.

Objął Haven ramieniem, przyciągnął do siebie blisko i spojrzał na nią wzrokiem, jak mu się zdawało, pełnym uwielbienia. Chyba mu się udało, bo na Haven zrobiło to piorunujące wrażenie.

- Właśnie - powiedział, patrząc Haven głęboko w oczy. Były tak niesamowicie niebieskie, że stracił na moment wątek.

- Doprawdy? - mruknął Syd. Brady odchrząknął i spojrzał na niego.

- Gdy zobaczyłem Haven po raz pierwszy, straciłem głowę - oświadczył. - Zakochałem się w niej od razu. Zresztą z wzajemnością. Prawda, kochanie?

- Co takiego? - zająknęła się Haven. Brady porozumiewawczo ścisnął jej dłoń. - Ach, tak. - Położyła mu głowę na ramieniu. - To prawda. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Nie mogliśmy się doczekać, aby być ze sobą.

- W takim razie pozwólcie, że wam pogratuluję - powiedział Syd.

- Dziękujemy - odparł Brady. - Bardzo bylibyśmy wdzięczni, gdyby nie wspomniał pan Zieglarom ani słówkiem o tym, że jestem ojcem Anny.

Wolelibyśmy najpierw mieć dowód w ręku. Syd spojrzał na nich.

- Jak sobie życzycie.

- Możecie państwo wejść! - oznajmiła sekretarka, wskazując na mahoniowe drzwi.

- Pamiętaj, że to czysta formalność - powiedział Syd, zwracając się do Haven. - Będą ci zadawać mnóstwo pytań związanych z zarzutami zawartymi w pozwie. Odpowiadaj na wszystkie zgodnie z prawdą. Staraj się za wszelką cenę nie dać się wyprowadzić z równowagi. Będę czuwał nad wszystkim.

Haven spojrzała na Brady'ego. Na jej twarzy malował się strach.

- Robisz to dla Anny - przypomniał jej, próbując dodać jej otuchy.

Skinęła głową.

- Dla Anny - powtórzyła jak echo, zmuszając się do uśmiechu.

Spojrzał na nią z podziwem. Po raz kolejny uznał, że jest bardzo dzielną kobietą.

W porównaniu z salą konferencyjną poczekalnia wyglądała raczej skromnie. Ściany sali wyłożone były rzeźbioną dębową boazerią. Podłogę przykrywał prawdziwy perski dywan. Pośrodku królował imponujący stół o lśniącem blacie, przy którym mogło zasiąść co najmniej dwadzieścia osób. Siedziało za nim dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach i staromodnych krawatach oraz starsze małżeństwo. Brady domyślił się, że to Zieglarowie i ich adwokaci. Adwokaci unieśli się z krzeseł na widok Brady'ego, Haven i Syda. Małżeństwo nie ruszyło się z miejsca.

Pamela i Douglas Zieglarowie zrobili na Bradym wrażenie ludzi bezwzględnych i całkowicie pozbawionych skrupułów. Elegancko ubrani, na pozór nie różnili się niczym od innych par po pięćdziesiątce, ale Brady miał bogate życiowe doświadczenie i znał się na ludziach.

Jeśli choć połowa z tego, co mówiła o nich Haven, była prawdą, byli drapieżni niczym piranie.

- Kim jest ten mężczyzna? - spytała Pamela tonem pełnym pogardy, wskazując na Brady'ego.

Ty stara wiedźmo, pomyślał Brady, zmuszając się do uśmiechu.

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Brady Ross. Jestem mężem Haven - poinformował uprzejmie. Świadom tego, że dla ludzi pokroju Zieglarów informacja ta może być szalenie istotna, dodał: - Zapewne słyszeliście państwo o moim zmarłym ojcu, Charlesie Rossie?

- Finansiście? - spytał oschle Douglas.

- Tak, to właśnie on. Pamela zmrużyła oczy.

- Czy to prawda? - zwróciła się do Haven.

- Tak - odparła Haven. - Brady jest rzeczywiście synem Charlesa Rossa.

- Miałam na myśli to, czy naprawdę się pobraliście? - wyrzuciła z siebie poirytowanym tonem Pamela.

- W zeszłą sobotę - potwierdziła Haven.

- Przepraszamy, że państwo nie zostali zaproszeni, ale był to skromny ślub, w gronie najbliższych przyjaciół. Zakochałem się w Haven bez pamięci i nie mogłem się doczekać chwili, kiedy będziemy mogli być razem.

Pamelę wyraźnie poruszyło to publiczne wyznanie miłości. Spojrzała na Haven wzrokiem pełnym nienawiści.

- Niech ci się nie zdaje, że bogaty mąż zmieni cokolwiek w tej sytuacji - ostrzegła, unosząc się z krzesła. - Anna należy do nas, dobrze o tym wiesz.

Douglas Zieglar rzucił żonie karcące spojrzenie, które ją przygwoździło do krzesła.

- Proszę wybaczyć, mojej żonie - zwrócił się do Brady'ego. - Jest bardzo wrażliwa na punkcie ciotecznej wnuczki. Przyjmijcie serdeczne gratulacje z okazji ślubu. Mam nadzieję, że będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi. Choć zdaje mi się, że małe dziecko płaczące się pod nogami nie jest idealnym towarzyszem dla młodego małżeństwa.

- Wprost przeciwnie - odparł Brady głosem równie opanowanym jak Douglas. - Anna w ogóle nam nie zawadza. Kocham ją jak swoją własną córkę.

Przysięgłby, że adwokat uśmiechnął się pod nosem. Zieglarowie natomiast patrzyli na niego ogłupiałym wzrokiem, co sprawiło mu nieklamana satysfakcję. Syd Spear położył aktówkę na stole i otworzył ją.

- Czy możemy przystąpić do rzeczy?

Przez następne dwie godziny adwokaci Zieglarów trzymali Haven w krzyżowym ogniu pytań. Żonglowali zręcznie słowami, starając się zapędzić ją w kozi róg i zmusić, by przyznała się do zaniedbania obowiązków wobec Anny. Haven siedziała z rękoma zwiniętymi w pięści na kolanach, z uprzejmym uśmiechem usiłując odeprzeć stawiane zarzuty. Brady przysłuchiwał się temu bezradnie - zdawał sobie sprawę, że jest świadkiem krzyczącej niesprawiedliwości.

Poczuł gorycz w ustach. Cała czwórka robiła wrażenie ogromnych, opasłych buldogów. Zarabiający krocie, wpływowi adwokaci w ciemnych, dobrze skrojonych garniturach oraz Zieglarowie należeli być może do tak zwanych wyższych sfer, ale to niczego nie zmieniało, nie dodawało im szlachetności. Dla nich liczył się tylko pieniądz.

Haven jednak doskonale sobie radziła. Mimo nieustannych prowokacji nie dała się wyprowadzić z równowagi, choć widać było, że wiele ją to kosztuje. Brady był z niej bardzo dumny.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, zrozumiał, dlaczego Haven zwróciła się do niego z prośbą, by dochodził swoich rodzicielskich praw. Był to akt czystej desperacji.

Zrozumiał też, że dzisiejsze spotkanie to zaledwie preludium tego, co czekało ich w sądzie. Widać było, że adwokaci Zieglarów zrobią wszystko, aby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Uświadomił sobie, że dom, jaki Haven stworzyła Annie, oraz wynik testu, potwierdzający jego ojcostwo, mogą okazać się niewystarczającymi argumentami. Poczuł, że budzi się w nim lęk. Anna naprawdę znalazła się w niebezpieczeństwie.

Nie dojdzie do żadnej rozprawy sądowej, obiecał sobie w duchu. Natychmiast, gdy tylko będą znane wyniki testu DNA, zwróci się do Syda Speara, aby pomógł mu załatwić wszystkie niezbędne dokumenty w sprawie przyznania opieki nad Anną.

Co będzie, jeśli przydarzy się coś nieprzewidzianego?

W dżungli, w Ameryce Południowej, nie wiedział przecież, że zostanie wzięty do niewoli. Nie wiedział też, iż po powrocie dostanie list informujący go, że jest ojcem. Nie przypuszczał, że ożeni się z Haven ani tego, że poczuje do niej niepowstrzymany pociąg.

Nieprzewidziane rzeczy zdarzały się każdego dnia.

Tak czy owak obiecał sobie, że poruszy niebo i ziemię, by uchronić swoją córkę od „opieki” Zieglarów. Za żadne skarby nie pozwoli, by wpadła w ich chciwe łapska. Wierzył, że nazwisko jego ojca mu w tym pomoże.

Miał duszę wojownika, gotów był więc stanąć do walki z Zieglarami, używając przeciw nim wszelkiej możliwej broni. Musiał za wszelką cenę odkryć ich czuły punkt, a potem weń ugodzić.

ROZDZIAŁ 10

Haven pchnęła drzwi jednym palcem, gdyż obie ręce miała zajęte - przez jedną przewiesiła torbę z zakupami, przez drugą torebkę. Anna pobiegła do przodu i wpadła do przedpokoju jako pierwsza.

- Halo! - zawołała w głąb korytarza. - Psysłyśmy do domu.

Dom. Jak prawdziwie zabrzmiało to słowo w jej ustach, pomyślała Haven. Szkoda, że cały ten układ jest tymczasowy. Dla Brady'ego ten dom był jedynie miejscem, gdzie przez jakiś czas stały jego kapcie. Nie zamierzał zagrać tu dłużej miejsca. Nie miał żadnych zobowiązań i mógł odejść stąd w każdej chwili.

- Jestem w kuchni! - odkrzyknął.

Anna rzuciła się pędem przez korytarz. Po chwili Haven usłyszała odgłosy rozmowy. Postawiła torebkę przy schodach, a torbę z zakupami na stoliku przy lustrze, po czym zaczęła przeglądać stertę poczty, którą Brady wyjął wcześniej ze skrzynki.

Do przedpokoju znów wbiegła Anna.

- Wujek Brady zrobił obiad - oznajmiła podekscytowana. - Makaloni i kotlety. Czy mogę zobaczyć „Ulice Sezamkową”?

Haven poczuła cudowny zapach czosnku, pomidorów i oregano. Zaburczało jej w żołądku. Przypomniała sobie, że nie jadła nic od śniadania.

- Pod warunkiem, że zgasisz telewizor natychmiast, jak się skończy dobranocka.

- Obiecuje - odparła Anna i pobiegła do pokoju.

- Ostrożnie! - krzyknęła za nią Haven. - Bo znowu sobie coś złamiesz.

Wzięła torbę z zakupami i ruszyła do kuchni, uśmiechając się sama do siebie. Miała za sobą ciężki dzień i przyjemnie jej się robiło na myśl, że czeka na nią obiad.

Co prawda, przypuszczała, że Brady po prostu udał się do pobliskiej włoskiej restauracji i kupił wszystko gotowe, jak to robili inni mężczyźni, liczyły się jednak intencje.

Gdy weszła do kuchni, stanęła jak wryta. Jeszcze w życiu nie widziała takiego bałaganu.

Drzwiczki wszystkich szafek były pootwierane. Po całej kuchni porozstawiane były garnki i miski, pokryte warstwą mąki, która zresztą była wszędzie, również na blacie kuchennym i podłodze. W kącie kociaki bawiły się bez troski przykrywkami od garnków.

- Co tu się dzieje? - spytała słabym głosem.

Brady odwrócił się od kuchenki. Był obwiązany w pasie fartuchem Josephine, rękawy koszuli dżinsowej miał podwinięte za łokcie, a twarz ubrudzoną mąką.

- Zrobiłem obiad.

Haven zerknęła do jadalni. Stół nakryty był najlepszą serwetą, jaką miała. Porcelanowa zastawa na trzy osoby pochodziła z odświętnego kompletu. W słońcu połyskiwały srebrne sztucce - leżąc zapomniane przez lata w szufladzie kredensu, zdążyły nieźle ściemnieć, ale teraz błyszcząły jak nowe. Pośrodku stołu stał wazon z czerwonymi różami.

Spojrzała znowu na Brady'ego oszołomiona.

- Czy wszystko to twoje dzieło?

- Widzę, że cię zaskoczyłem - powiedział nie bez satysfakcji. -

Pomyślałem sobie, że ktoś powinien się o ciebie zatroszczyć.

- Ale... - Haven urwała w pół słowa. Zamierzała wytknąć mu ten koszmarny bałagan, nie miała jednak sumienia. Był taki dumny z siebie! Nie chciała go urazić. Mógłby z powrotem zamknąć się w sobie.

- Właśnie zrobiłam zakupy - wykrztusiła.

Brady wziął od niej torbę i zaczął wkładać produkty do lodówki.

- Nie wiedziałam, że umiesz gotować. Większość mężczyzn potrafi najwyżej zagotować wodę na herbatę.

- Przecież zrobiłem wczoraj naleśniki.

- A dzisiejszy makaron też jest twojej własnej roboty? - spytała.

Wyjaśniałoby to nieco ten potworny bałagan w kuchni.

- W pewnym sensie tak.

Zastanawiała się, ile czasu zajmie sprzątanie. Gdyby zabrali się tego we dwójkę, powinni uwinąć się przed północą.

- Pójdę się przebrać - oświadczyła.

- Nie musisz się śpieszyć. Obiad nie jest jeszcze gotowy.

Na górze Haven zdjęła granatową lnianą sukienkę i założyła zielone luźne spodnie i kolorowy podkoszulek. Po dziesięciu minutach była z powrotem w kuchni. Panował tam teraz jeszcze większy rozgardiasz, ale za to sprawca owego rozgardiaszu wyglądał nadzwyczaj przystojnie.

- Nie przejmuj się, wszystko po sobie sprzątnę - powiedział Brady, po części zgadując jej myśli.

Haven poczuła, że musi się czymś zająć, by odwrócić uwagę od mężczyzny, którego obecność sprawiała, że traciła głowę.

- Pomogę ci - rzuciła szybko i schyliła się po garnek stojący na podłodze.

- Nie umiem siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak inni się męczą.

- Jak chcesz.

Postanowiła zacząć od blatu kuchennego, który prezentował się najgorzej.

- Kto cię nauczył gotować? Przybrana matka?

Brady uniósł pokrywkę jednego z garnków. Jego twarz zniknęła na moment w kłębach pary.

- Nie. Nauczyłem się gotować sam, ale dopiero jako dorosły mężczyzna. Miałem już dosyć potraw z puszek i zup z torebek.

- Dlaczego nie wynająłeś kogoś do gotowania?

- Nie mogłem sobie na to pozwolić.

- Jak to nie mogłeś sobie na to pozwolić? - Haven zmarszczyła brwi.

Brady wrzucił garść makaronu do garnka z wrzącą wodą, zamieszał i przykrył garnek. Sięgnął po nóż i zaczął kroić bagietkę na grube kawałki.

- Mój przybrany ojciec był mądrym człowiekiem. Tuż przed śmiercią sporządził testament. Zdawał sobie sprawę z tego, że pieniądze mogą przewrócić w głowie osiemnastoletniemu chłopakowi. Gdy zmarł, wszystko co posiadał, łącznie z domem, zostało sprzedane, a pieniądze trafiły do zarządu powierniczego, który miał dysponować majątkiem do czasu, aż ukończę trzydzieści lat. Przez wiele lat otrzymywałem jedynie kwotę wystarczającą na studia i skromne utrzymanie. Ale gdy skończyłem trzydzieści lat i tak nie zobaczyłem pieniędzy, ponieważ... - Brady urwał i milczał przez dłuższą chwilę.

- Ponieważ co? - usiłowała go zachęcić Haven.

Brady przestał kroić pieczywo i spojrzał na nią. Po chwili jednak odwrócił wzrok.

- Ponieważ zostałem wzięty do niewoli - powiedział ledwo dosłyszalnym głosem.

Haven przyjrzała się mu uważnie. Miał obojętny wyraz twarzy, ale wolała być ostrożna.

- Gdzie wzięto cię do niewoli? - spytała, starając się, by zabrzmiało to naturalnie.

- W Ameryce Południowej. Byłem członkiem Brygady Specjalnej. Wysłano nas tam z tajną misją. Zostałem złapany przez grupę partyzantów.

- Jak długo byłeś więziony?

- Trzy lata, siedem miesięcy i siedem dni. Wypuszczono mnie miesiąc temu.

A więc to dlatego był taki blady, chudy i lekko utykał. Dlatego też dopiero teraz dotarł do niego list Melindy, pomyślała Haven.

Jeszcze nigdy nie spotkała tak niezwykłego człowieka. Zamiast rozkoszować się wolnością, był tu z nią, uwikłany w walkę o córkę. Poczula

wyrzuty sumienia, kiedy przypomniła sobie, jak zaatakowała go, że nie pracuje.

- O czym myślisz? - spytał.

- O tym, że cieszę się, iż obdarzyłeś mnie zaufaniem. Brady zmarszczył brwi.

- Zdaje się, że nie mam już przed tobą żadnych tajemnic.

Nawet jeśli to była prawda, nadal pozostawał dla Haven zagadką - zwłaszcza w sferze uczuć. Na usta cisnęło jej się mnóstwo pytań. Choć wiedziała, że lepiej go nie przyciskać do muru, nie mogła się powstrzymać.

- Jak się czułeś w roli więźnia? Brady spochmurniał.

- Przysiągłem sobie, że jeśli wyjdę z tego cało, nie będę nigdy na ten temat myśleć ani mówić.

- Przepraszam cię - zmieszala się Haven. - Nie powinnam była w ogóle pytać.

- Nic nie szkodzi - odparł Brady ku jej zaskoczeniu. - Chętnie ci o wszystkim opowiem. Do tej pory nikogo nie obchodziło to, jak się czułem. - Ścisnął tak mocno nóż, który trzymał w ręku, że krew odpłynęła mu z palców. - Wyobraź sobie, że zgubiłaś się w grocie i nie masz przy sobie ani jedzenia, ani koców, i do tego jeszcze wysiadła ci latarka. No i spotęguj to uczucie z milion razy...

Haven zadrżała na samą myśl, że mogłaby znaleźć się w takiej sytuacji. Czegoś takiego po prostu by nie przeżyła.

- Musiałeś czuć się okropnie samotny.

- Zgadza się.

- Co robiłeś dla zabicia czasu?

- Różne rzeczy. Przypominałem sobie przeczytane książki. Budowałem w marzeniach drapacze chmur. I oczywiście rozmyślałem całymi godzinami o tym, co będę robić, gdy wrócę do domu. - Uśmiechnął się rozbijająco. - W końcu ograniczyłem się jednak do trzech rzeczy.

Była pod wrażeniem siły woli, jaką wykazał. Od początku zdawała sobie sprawę z tego, że to niezwykły mężczyzna, nie wiedziała jednak, że był do tego bohaterem.

- Mów dalej - poprosiła.

- Postanowiłem, że, po pierwsze, odwiedzę grób ojca i wytłumaczę mu, gdzie się podziewałem przez ten czas.

Haven zakręciły się łzy w oczach.

- Po drugie, wynajmę samolot, polecę do Nowego Orleanu i pójde do restauracji, w której podają najwspanialsze na świecie steki. I po trzecie, wybiorę się na długi spacer.

- Czy udało ci się zrealizować wszystkie trzy postanowienia?

- Jeszcze nie byłem w Nowym Orleanie.

- Ponieważ spotkałeś mnie? - domyśliła się Haven. Brady skinął głową.

- Wiesz, zmieńmy lepiej temat. - Ożywił się nagle. - Zmarnowałem ponad trzy lata życia i szkoda teraz czasu na wspomnianie w kółko tego koszmaru.

Nie do wiary, jak Brady umiał zapanować nad swoimi uczuciami, pomyślała Haven.

- Dręczy cię wspomnienie przesłuchania w kancelarii? - spytał niespodziewanie.

- Między innymi - odparła zaskoczona, po czym spytała, westchnąwszy głęboko: - Jakie wrażenie zrobili na tobie Zieglarowie?

- Należałoby wszczepić im serca.

Było to tak trafne spostrzeżenie, że Haven aż się roześmiała. Stwierdziła w duchu, że na dzisiaj dosyć zmartwień. Najwyższa pora się zrelaksować.

Docenić to, że Brady zrobił obiad.

W drzwiach kuchni pojawiła się Anna.

- Cy jus jest obiad? - spytała. - Ce mi sie jeść.

Jak na zawołanie odezwał się kuchenny budzik - posiłek był gotowy.

Zasiedli do stołu. Haven postanowiła nie przejmować się śnieżnobiałym obrusem, który kosztował majątek. Jeśli poplamie się sosem, odda go po prostu do pralni.

Haven sprzątała kuchnię, pogrążona w zadumie. Doszła do wniosku, że Brady się zmienia, choć może sam tego nie zauważa. Nie był już taki błady i wymizerowany. Trochę się opalił i nieco przytył. W miarę upływu czasu stawał się też coraz mniej ponury. Chętniej się uśmiechał i patrzył na świat bardziej życzliwie.

Coraz częściej pozwalał sobie również na żarty. Daleko mu było do odpychającego w sposobie bycia mężczyzny, który tak niedawno przekroczył próg jej gabinetu.

Powodem tego wszystkiego była Anna, urocza mała dziewczynka, wylewnie okazująca miłość. Miała na niego ogromny wpływ. Brady miękł pod jej wpływem z dnia na dzień coraz bardziej, choć najwyraźniej nie dojrzał jeszcze do zaangażowania się uczuciowego, do otwarcia się na drugiego człowieka. I, zważywszy na jego przeszłość, małe są szanse, by dojrzał.

Haven posmutniała - może jej się tylko zdawało, że Brady się zmienia? To, że łagodniał pod wpływem dziecka, nie oznaczało jeszcze, że stanie się również wrażliwy na wdzięki dorosłej kobiety.

Jako ostatnią wyczyściła kuchenkę. Rozejrzała się po lśniącej czystością kuchni. Uwinęła się ze sprzątaniami szybciej, niż myślała.

- Czy łatwo zmywa się plamy z sosu pomidorowego? - spytał Brady, wchodząc do kuchni.

- Jak widzisz, nie ma śladu po plamach - odparła.

- Powinnaś była zostawić sprzątanie mnie - mruknął.

Haven uśmiechnęła się, próbując zamaskować ponure myśli.

- Przecież ty w tym czasie wykąpałeś Annę i poczytałeś jej do snu.

- To było znacznie przyjemniejsze zadanie. Zresztą i tak byś pewnie nie była zadowolona z moich porządków - stwierdził Brady i błysnął zębami w uśmiechu.

- Pewnie nie.

- Dziękuję ci, w każdym razie.

- To ja powinnam ci podziękować za wspaniały obiad. Jesteś naprawdę wyśmienitym kucharzem.

Brady zaczerwienił się. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do komplementów. Nie ma co się dziwić, nikt go nie rozpieszczał w dzieciństwie. Ona miała przynajmniej Josephine, która nie szczędziła jej pochwał.

Postanowiła, że dopóki będą ze sobą, postara się, by Brady czuł się przez nią doceniany.

- Zaczerwieniłeś się, wiesz? - powiedziała ciepło. - Jesteś bardzo wrażliwym człowiekiem.

- Wcale nie - odparł Brady, oblewając się jeszcze mocniejszym rumieńcem. - Po prostu zrobiło mi się gorąco, bo Anna zażyczyła sobie kąpieli w istnym ukropie.

Haven uśmiechnęła się.

- Wiesz, już dawno chciałam ci powiedzieć, że jesteś wspaniałym ojcem - oświadczyła.

Brady zeszywniał.

- Naprawdę? - spytał z drzeniem.

- Tak - potwierdziła Haven. - Poświęcasz Annie mnóstwo czasu. Dużo z nią rozmawiasz. Dajesz jej odczuć, że jest dla ciebie bardzo ważna. Jako dziecko marzyłam o tym, by mieć takiego ojca.

Brady przełknął głośno ślinę.

- Ale ty przynajmniej miałaś ojca. Mojego w ogóle nie obchodziło, że się urodziłem.

- Nie wiem, czy to w gruncie rzeczy nie lepiej. Owszem, mój ojciec zapewniał mi dach nad głową i wyżywienie, ale to wszystko. Kierował się w życiu następującą hierarchią wartości: najpierw praca naukowa, potem żona, a na dalekim końcu ja. Prawdę mówiąc, traktował mnie zawsze jak powietrze.

- Ale się ciebie nie wyrzekł. Haven westchnęła ciężko.

- Ojciec prowadził dziennik, w którym zapisywał skrupulatnie wszystkie zdarzenia. Gdy miałam dwanaście lat, zdobyłam się na odwagę i postanowiłam zajrzeć ukradkiem do jego zapisków. Odszukałam dzień, w którym się urodziłam, i nie znalazłam o tym żadnej wzmianki - jedynie szczegółowy opis projektu, nad którym wtedy pracował. Widać uznał fakt moich narodzin za wydarzenie niegodne uwagi.

- I co wtedy zrobiłaś?

- Odłożyłam po prostu dziennik na miejsce i udawałam, że nic o tym nie wiem. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam - wyznała, po czym podeszła do Brady'ego. - Jak widzisz, można się czuć opuszczonym nawet w obecności drugiego człowieka. Ale najważniejsze, że jakoś udało mi się przetrwać. Zresztą, tobie też. To niezły wyczyn, prawda?

Brady odsunął jej włosy z twarzy.

- Jesteś taka dzielna - wyszeptał. - Chciałbym być tak silny jak ty.

Haven wzruszyła się.

- Uważaj, bo się rozplączę - powiedziała ze łzami w oczach.

- O, nie. Tylko nie to - mruknął Brady.

Haven pod wpływem impulsu zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dziękuję ci, że tak się mną przejmujesz - szepnęła mu do ucha.

Zorientowała się natychmiast, że się zagalopowała, bo Brady znieruchomiał. Uprzytomniła sobie, że ten człowiek zawsze usiłuje trzymać innych na dystans. Dlatego między innymi wylądował w wojsku, gdzie miał misję do spełnienia i nie musiał się w ogóle nikim przejmować. Troska o kogoś oznaczała dla niego zbliżenie się do tej osoby - a tego bał się jak ognia.

- Jesteś cały mokry - powiedziała, próbując zmienić temat.

- Naprawdę? - spytał głucho.

Haven obrzuciła spojrzeniem jego szerokie bary, płaski brzuch i wąskie biodra. Co za przystojny mężczyzna!

- Wyglądasz, jakbyś to ty się kąpał - powiedziała wesoło.

- Bawiliśmy się z Anną w bitwę morską. Niestety przegrałem - uśmiechnął się w odpowiedzi Brady.

Naprawdę był wspaniałym ojcem, co czyniło go jeszcze atrakcyjniejszym. Objęła go w pasie i zaczęła rozwiązywać supeł od fartucha. Poczwała przy tym podniecającą bliskość jego ciała.

- Zapomniałeś zdjąć fartuch - zauważyła, oddychając ciężko.

- Rzeczywiście - odparł zdławionym głosem.

Węzeł puścił. Zdjęła Brady'emu fartuch przez głowę, po czym rzuciła go niedbale na podłogę. Okazało się, że koszula też była cała mokra. Haven zaczęła ją rozpinać.

- Rozbierz się. Chyba nie jest ci w czymś takim przyjemnie - rzekła bez zastanowienia.

Brady chwycił Haven za obie ręce i spojrzał jej prosto w oczy.

- Spodnie też są mokre - powiedział miękko. - Czy zamierzasz pomóc mi je zdjąć?

Poczwała, że uginają się pod nią nogi. Przełknęła z trudem ślinę.

- A masz na to ochotę?

- A jak myślisz? - spytał z błyskiem w oku.

Myślała, że oszaleje z podniecenia, ale nic nie odpowiedziała. Wsunęła mu rękę pod koszulę. Poczwała pod palcami miękkie włosy i ciepłą skórę.

Brady objął Haven a ona uświadomiła sobie, że czekała na ten moment od chwili, gdy pojawił się w kuchni. Każdy dotyk, każde spojrzenie, każda myśl i wszystkie słowa, jakie padły między nimi, stanowiły jedynie preludium. W powietrzu wibrowało erotyczne napięcie.

Nie była w stanie już dłużej opierać się Brady'emu. Pragnęła go i była gotowa na wszystko.

Przeszył ją dreszcz rozkoszy, gdyż Brady złożył na jej ustach gorący i długi pocałunek. Ich oddechy stawały się coraz szybsze, coraz bardziej urywane.

Haven przytuliła się do Brady'ego i zaczęła się o niego ocierać biodrami.

Jęknął, położył ręce na jej pośladkach i przyciągnął do siebie jeszcze mocniej. Haven zaczęła tracić nad sobą kontrolę.

Ale on nagle odsunął ją delikatnym ruchem od siebie.

- Nie, proszę, nie przerywaj - zaprotestowała, z trudem łapiąc oddech.

- Nie miałem takiego zamiaru - odparł urywanym głosem. - Czy drzwi są zamknięte?

Haven skinęła głową.

- To dobrze, bo idziemy do łóżka - powiedział, po czym wziął ją na ręce i zaniósł po schodach na górę.

Otworzył ramieniem drzwi sypialni i postawił Haven ostrożnie na podłodze. Nie zapalili światła - wystarczała im poświata księżyca. Rozebrali się pospiesznie. Haven wstrzymała oddech na widok jego nagiego, wspaniałego ciała. Stał przed nią, bez cienia żenady, wyraźnie podniecony.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał namiętnie.

- Ty też - odszepnęła.

Porwał ją nagle w ramiona i przytulił.

- Ja naprawdę cię pragnę nie dlatego, że dawno nie miałem kobiety.

Uwierz mi. Po prostu podbiłaś moje serce - wyznał.

- Wiem o tym - odparła z uczuciem lekkiego triumfu.

Przywarł ustami do jej warg w gorącym pocałunku i przyciągnął jak najbliżej do siebie, aby poczuła, jak bardzo jej pragnie.

Haven nie pamiętała, jak znaleźli się w łóżku.

Nigdy jeszcze nie czuła się taka wyzwolona. Chłoneła każdym nerwem chłód bawełnianej pościeli, dotyk palców Brady'ego na swojej skórze, musnięcia

jego ust, gdy obsypywał delikatnymi pocałunkami jej wargi, szyję i piersi. Jego zapach, smak jego ust i dotyk wywoływały w niej dreszcze rozkoszy.

Gdy się połączyli, ich ruchy były tak harmonijne, jakby znali się całe życie. Pomału, bez pośpiechu, zbliżali się do ekstatycznego końca. Haven przymknęła oczy. Jej ruchy stały się gwałtowniejsze. Po chwili ich ciała wyprężyły się - wspólnie osiągnęli szczyt. Oboje wydali z siebie przy tym, niemal jednocześnie, stłumiony okrzyk.

Minęło sporo czasu, zanim Haven doszła do siebie. Zaspokojona i szczęśliwa, poczuła, że ogarnia ją senność. Oparła głowę na ramieniu Brady'ego i zapadła w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 11

Brady leżał, trzymając w objęciach Haven, i próbował sprecyzować swoje uczucia. Haven spała, zwrócona twarzą do niego - jej oddech łaskotał go delikatnie w szyję. Rude loki wiły się rozrzucone niedbale na poduszce. Brady'ego na myśl o przeżytych wspólnie chwilach ogarnęło niezwykle wzruszenie.

Jeszcze nigdy nie przeżył takiej satysfakcji, kochając się z kobietą. Wszystkie dotychczasowe kontakty były raczej powierzchowne i służyły jedynie rozładowaniu seksualnego napięcia. Zawsze znikał potem pod byle pretekstem.

Prawdę powiedziawszy, był do tej pory klasycznym egoistycznym kochankiem, na których tak często użalają się kobiety. W łóżku kierował się wyłącznie własną przyjemnością. Jeśli kobieta również odczuwała satysfakcję, był to po prostu czysty przypadek.

Noc spędzona z Haven różniła się jednak znacznie od tych, które dzielił z innymi kobietami. Po raz pierwszy w życiu zaspokojenie partnerki okazało się dla niego najważniejsze. Rozkosz, jakiej przy tym doświadczył, przewyższyła

stokroć wszystkie inne dotychczasowe doznania. To, co przeżył, było czymś więcej niż czysto fizyczną przyjemnością. Miał wrażenie, jakby jakaś jego część narodziła się na nowo.

W ciągu ostatnich kilku godzin dwukrotnie zaznał niezwykłych przeżyć. Po raz pierwszy, gdy kąpał Annę. Kiedy pryskała na niego woda, śmiejąc się radośnie, poczuł, że serce ściska mu się z żalu na myśl o tym, co go ominęło: moment narodzin dziecka, jego pierwsze kroki, pierwsze słowa. Uprzytomnił sobie wtedy, jak bardzo kocha tę małą dziewczynkę.

Po raz drugi, gdy wszedł do kuchni, po utuleniu Anny do snu, i zobaczył Haven - piękną, słodką i uwodzicielską.

Jak bardzo jego życie zmieniło się w ciągu zaledwie ośmiu dni! Jeszcze miesiąc temu spał na brudnej podłodze. Miał uczucie, że od tego czasu minęły wieki. Stał się zupełnie innym człowiekiem. Dawniej obchodziło go jedynie przetrwanie. Teraz najważniejszą sprawą była troska o losy dwóch kobiet: małej, uroczej dziewczynki i jej przepięknej opiekunki, o których istnieniu nie miał do niedawna pojęcia.

Gdy przed ośmiu dniami znalazł się przed wejściem do Centrum Dziecka imienia Melindy Dolan, poprzysiągł sobie solennie, że nie zaangażuje się uczuciowo. Wszystko jednak potoczyło się inaczej.

Haven od początku dała mu do zrozumienia, że nie zależy jej na nim. Trudno się dziwić, wkroczył przecież znienacka w spokojne życie, jakie z trudem sobie ułożyła. Zaszufładowała go natychmiast do ludzi pokroju Zieglarów. No, może niezupełnie - chyba ufała mu, jeśli chodzi o Annę.

I nagle wylądowali razem w łóżku.

Haven dała mu również wyraźnie odczuć, że jest dojrzałą kobietą, na której kilka pocałunków nie robi większego wrażenia. Nie było więc najmniejszego powodu, by musiał wycofywać się z tego wszystkiego rakiem. Zresztą wcale nie zamierzał, bo po prostu się zakochał - w swojej córce i we własnej żonie.

Haven westchnęła cicho i przytuliła się do niego mocniej. Brady pocałował ją w czoło i zatopił palce w rudych lokach.

Miała rację, gdy mówiła, że on odczuwa chęć ucieczki, kiedy tylko ktoś za bardzo się do niego zbliża. Dlatego właśnie wstąpił do wojska. Nie pociągało go niebezpieczeństwo, ale świadomość, że nie będzie musiał nigdzie zagrać miejsca dłużej. Odziedziczył to, w pewnym sensie, po matce.

Jako ośmioletni chłopiec przyrzekł sobie, gdy zabrali go z kolejnej rodziny zastępczej, że już nigdy nie będzie żywił do nikogo żadnych uczuć. Złamał tę obietnicę tylko dwukrotnie: po raz pierwszy, gdy poznał Pete'a Loringa, i po raz drugi, gdy został adoptowany przez Charlesa Rossa. W obu przypadkach byli to jednak mężczyźni. Zależało mu również na Eileen, ale ona była żoną jego najlepszego przyjaciela.

Pete śmiał się i kręcił z politowaniem głową za każdym razem, gdy Brady twierdził, że się nigdy nie zakocha.

- Do czasu, aż spotkasz odpowiednią kobietę - powtarzał stale.

Brady uważał, że to bzdury.

A teraz, w osiem dni od spotkania Haven i Anny, zupełnie stracił dla nich głowę. Puściły wszystkie tak starannie wzniesione zapory. A co najciekawsze, wcale go to nie przerażało.

Doskonale pamiętał moment, w którym Haven go urzekła. Było to wtedy, gdy przyszła błagać go, aby wystąpił o opiekę nad Anną, ponieważ groziło jej, że wpadnie w ręce Zieglarów.

Haven była wyjątkową kobietą - zupełnie inną niż wszystkie, z którymi miał do czynienia dotychczas. Była ogromnie opiekuńcza i otwarta na ludzi. I do tego miała na niego dobry wpływ. Robiła też wrażenie osoby bardzo wiernej. Czuło się, że nigdy by nie zawiodła drugiego człowieka.

Tak bardzo pragnął, aby i ona się w nim zakochała.

Westchnął ciężko. Nie powinien tracić nadziei. Postanowił obmyślić plan działania i trzymać się go ściśle, aż Haven będzie naprawdę jego.

Haven otworzyła oczy i usiłowała zobaczyć coś w ciemności. Przez moment była nieco zdezorientowana, ale po chwili przypomniała sobie, gdzie jest. Pomacała ręką, ale łóżko obok było puste, a prześcieradło wychłodzone.

Zobaczyła profil Brady'ego, który stał przy oknie, zatopiony w myślach. Wyglądał w poświacie księżyca jak marmurowy posąg. Patrzyła na niego zachłannie przez dłuższą chwilę. Nigdy nie widziała tak doskonałego ciała. Zrobiło jej się gorąco na wspomnienie każdego szczegółu tego, co między nimi zaszło.

Nagle spojrzał w jej stronę. Podciągnęła odruchowo prześcieradło pod samą szyję, poprawiła poduszki pod głową i usiadła wyżej.

- Hej - odezwał się ciepłym tonem.

- Hej.

- Długo tak stoisz?

Brady uśmiechnął się rozbrawiająco.

- Niedługo. A jak długo nie śpisz?

- Ze dwie minuty. Nie jest ci zimno? Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Stałem tak sobie i rozmyślałem o tym i owym. Haven uniosła rękę w górę, by odsunąć z oczu włosy.

Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając jej nagie piersi.

- Zostaw, proszę - powiedział szybko, gdy sięgnęła po brzeg prześcieradła, by się przykryć.

Haven cofnęła rękę. Aż dziw, jak swobodnie się przy nim czuła. Miłość dała jej poczucie wolności i wyzwoliła w niej pokłady energii - miała nadzieję, że podobnie odczuwał to Brady.

- Chcesz wiedzieć, o czym rozmyślałem?

- Nie śmiałam pytać.

- Myślałem o Annie. I o nas... - Urwał na chwilę. - A także o wydarzeniach dzisiejszej nocy.

- Żałujesz tego, co między nami zaszło?

Brady spojrział znacząco w dół. Haven spostrzegła, że znowu jest podniecony.

- Nie sądzisz, że to mówi samo przez się? Ciekaw jestem tylko, czy ty niczego nie żałujesz?

Wskazała puste miejsce obok siebie.

- Chodź, połóż się przy mnie, to pokażę ci, jak bardzo żałuję - powiedziała, pragnąc tego z całego serca.

- Za chwilę. Najpierw muszę omówić z tobą kilka spraw.

Haven bała się, że zacznie jej robić wykład w stylu:

„Wiesz, nie chcę się z nikim wiązać na stałe...”.

- Przez całe życie byłem skończonym egoistą - zaczął.

- Trudno się dziwić po tym, co przeszedłeś - wzięła go w obronę przed nim samym. - Musiałeś się jakoś opancerzyć, inaczej byś zwariował.

- Wszystko traktowałem przez pryzmat własnej osoby - ciągnął. - Mniej więcej tydzień temu coś się we mnie zmieniło, gdy okazało się, że jestem ojcem. Najwyższa pora przestać myśleć o sobie i postawić Annę na pierwszym miejscu. Jak każde dziecko potrzebuje ciągłej obecności ojca. Oboje dobrze o tym wiemy, prawda?

Haven zmroził strach. Czyżby Brady zmierzał do tego, że chce zabrać jej Annę? Jak mógł być taki okrutny! Najpierw kochał się z nią namiętnie, a teraz, jeszcze nagi i podniecony, próbował, jak gdyby nigdy nic, rzucić jej w twarz tego typu wiadomość. Jednego nie można mu było odmówić - rozbijającej szczerości.

- Masz rację - odparła głucho.

W głowie kłębiły jej się przeróżne argumenty, ale wiedziała, że w gruncie rzeczy prawo stoi po jego stronie.

- Przemyślałem sobie kilka możliwości. Pierwsza z nich, to wystąpić o przyznanie mi całkowitej opieki nad Anną.

Haven walczyła ze łzami, skubiąc bezmyślnie prześcieradło. Jak mogła uwierzyć mu, gdy zapewniał, że nie odbierze jej Anny. Ale z niej naiwna idiotka!

- Nie podoba mi się to rozwiązanie - powiedziała ostrym tonem.

- Mnie również - stwierdził ku jej zaskoczeniu. - Jesteś dla Anny jak matka. Jesteś jej potrzebna na równi ze mną. Gdybym zabrał Annę od ciebie, uczyniłbym jej krzywdę.

Haven opadła z ulgą na poduszki, dziękując Bogu za te słowa.

Brady milczał przez chwilę.

- Naprawdę myślałaś, że byłbym w stanie zabrać ci Annę? - spytał w końcu.

- Miałam nadzieję, że nie - odparła cicho. - Modliłam się zresztą o to, ale nie mogłam mieć pewności. W końcu Anna jest twoją córką. W gruncie rzeczy nie mam do niej żadnych praw. - Westchnęła ciężko. - Jaka jest druga możliwość?

- Postąpić według ustalonego planu. Pozbyć się najpierw Zieglarów, a potem rozwieść. Anna pozostałaby z tobą, a ja odwiedzałbym ją tak często, jak to tylko możliwe.

- A więc pozbawić Annę ojca na co dzień - stwierdziła Haven.

- Niestety. Dochodzi wtedy jeszcze kwestia tego, jak Anna zareagowałaby na nasz rozwód? Nie mówiąc już o tym, że nie chciałbym, aby ominęło mnie cokolwiek z jej życia. Straciłem już dosyć dużo ważnych momentów. Pozostaje więc trzecia możliwość. Zgadnij, co mam na myśli?

Domyślała się, do czego zmierza, i przyprawiło ją to o zamęt w głowie.

- Że pozostaniemy ze sobą na zawsze, traktując nasze małżeństwo poważnie. Stworzylibyśmy Annie w ten sposób prawdziwy dom, z matką i ojcem żyjącymi pod jednym dachem.

Haven zaniemówiła z wrażenia. Czuła się kompletnie oszołomiona.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co to oznacza dla ciebie? - odezwała się po chwili.

- Tak.

- Byłbyś w stanie zapuścić tutaj korzenie?

- Tak. Mówiłem ci już, że się zmieniłem. Dla Anny jestem gotów zrobić wszystko. No i co ty na to?

Dla niej sprawa była oczywista. W ten sposób spełniłoby się również i jej marzenie.

- Zresztą kochaliśmy się bez zabezpieczenia. Mogłaś równie dobrze zajść w ciążę.

Haven zamarła z przerażenia.

- Chcesz mieć więcej dzieci?

- Prawdopodobnie tak. - Brady wyrzucił w górę ręce w teatralnym geście.

- Skoro sprawy zaszły już tak daleko, niech ten dom zapełni się gromadką dzieci, dla których będziemy rodzicami, o jakich sami zawsze marzyliśmy.

Haven oddałaby za to wszystko, jednak było to niemożliwe. Nie mogła mieć dzieci. Musiała mu o tym natychmiast powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Brady chciał się przecież poświęcić wyłącznie ze względu na Annę, dla której był gotów zrobić wszystko, jak stwierdził przed chwilą. Haven nie powinna była łudzić się nadzieją, że pragnął zostać tutaj na zawsze również ze względu na nią. Cóż go obchodzi, że nie może mieć dzieci?

A jednak powinna mu była o tym powiedzieć. Ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Przydarzyło jej się w przeszłości aż dwukrotnie, iż zakochani w niej mężczyźni zniknęli natychmiast po tym, jak zwierzyła się im, że jest bezpłodna. Nie przeżyłaby tego jeszcze raz.

Przygryzła wargi.

- Chyba nie dojrzałam jeszcze do tego, by mieć więcej dzieci - odparła. Uznała, że taka półprawda powinna na razie wystarczyć.

- W porządku. Jeszcze wrócimy kiedyś do tego tematu. Zajmijmy się tymczasem sobą.

Kamień spadł jej z serca, że poszło tak łatwo.

- A jeśli chodzi o miłość? - spytała.

- Co masz na myśli? - odpowiedział pytaniem Brady, ostrożnie dobierając słowa.

- Przecież na ogół ludzie, którzy decydują się na stały związek czy też ślub, kierują się miłością.

- My również. Miłością do Anny.

Haven starała się opanować rosnącą w niej irytację.

- Mam na myśli romantyczną stronę tego słowa. To przecież warunek udanego małżeństwa.

- Nie zgadzam się z tobą. W wielu kulturach do dziś popularne są małżeństwa z rozsądku. O dziwo, często okazuje się później, że takie małżeństwa są trwałe. Lubimy się przecież i cenimy. Oboje kochamy Annę. - Brady obrzucił Haven gorącym spojrzeniem. - Również seks nie stanowi żadnej przeszkody. Wydaje mi się, że to całkiem solidna baza dla małżeństwa.

Haven milczała przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- A jeśli któreś z nas pozna kogoś innego i zakocha się?

- Jeśli podejmiemy do sprawy poważnie, to coś takiego w ogóle nie będzie wchodzić w grę - zripostował błyskawicznie. - Doskonale rozumiem, że zaskoczyła cię moja propozycja. Przemyśl ją sobie spokojnie.

- Nie muszę się wcale długo zastanawiać. Znam odpowiedź.

Brady zacisnął nerwowo dłonie.

- A więc słucham.

Haven starała się, by jej głos zabrzmiał naturalnie:

- W porządku, spróbujmy.

Brady podszedł bez słowa do łóżka i wślizgnął się pod kołdrę. Uśmiechnął się tak uwodzicielsko, że Haven zadrżała. Porwał ją w ramiona i zaczął całować namiętnie. Natychmiast zapomniała o całym świecie.

Obudziło ją ciche mruczenie kotków. Całe łóżko kiwało się jak statek kołyszący się na falach. Choć jeszcze trochę senna, oprzytomniała jednak na tyle, by zdawać sobie sprawę, że nie jest w morskiej podróży. Od lat nie miała wakacji. Była w domu, w swoim własnym łóżku i to Anna, jak zwykle, budziła ją w ten sposób - podskakując radośnie w nogach łóżka. Niezwykle było jednak to, że obok niej ktoś leżał.

Haven uprzytomniła sobie, co to znaczy, i otworzyła szeroko oczy. Brady też już nie spał. W jego oczach malowało się po części rozbawienie, po części zakłopotanie - zdawał sobie bowiem sprawę, równie dobrze jak Haven, w jak niezręcznej sytuacji się znaleźli. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym oboje podciągnęli się w górę i oparli o zagłówek, przytrzymując prześcieradło aż po samą szyję, by ukryć nagość.

- Dzień doibly - powiedziała rozpromieniona Anna.

- Dzień dobry - odparła Haven spokojnie.

- Cześć, maluchu! - dołączył się Brady.

- Cy to jus moje urodziny?

Anna zadawała to pytanie codziennie rano od dnia, gdy zostały wysłane zaproszenia na urodzinowe przyjęcie,

- Nie, dzisiaj jest środa, a twoje urodziny są w sobotę, dopiero za cztery dni.

- Aha - odparła Anna, po czym zwróciła się do Brady'ego: - Dlaczego leżysz u Binny w łóżku?

Haven wybuchnęła śmiechem. Anna była tak rozbrajająco szczerą.

- Bo mieliśmy ochotę trochę się do siebie poprzytulać - wyjaśnił Brady. - Małżeństwa lubią to robić.

Dziewczynka przechyliła głowę i spojrzała na niego z ciekawością.

- To ty jus nie chlapiesz?

Haven przypomniała sobie, że powiedzieli jej wcześniej - tak na wszelki wypadek, w razie, gdyby się gdzieś wygadała - że Brady śpi w pokoju gościnnym, bo okropnie chrapie.

- Owszem, chrapię, ale Binny to już nie przeszkadza, więc od dziś będę spać razem z nią.

Anna wypuściła kotki z rąk.

- Cy ja tes moge się do was psytulić?

- Nie! - wykrzyknęli jednocześnie Brady i Haven.

- Dzisiaj nie - dodała Haven spokojniejszym tonem.

Haven nie chciała, by mała odkryła, iż są nadzy. Nie wiedziała, jak wytłumaczyć ten fakt trzyletniemu dziecku. Zawsze chętnie odpowiadała Annie na wszystkie pytania, ale ten temat wolała poruszyć, gdy dziewczynka będzie trochę starsza.

- Dlaczego nie? - spytała Anna, nadąsana.

- Bo takie są zasady, że tylko małżeństwa mogą się przytulać w łóżku - odparł Brady.

Na twarzy Anny odmalowało się przerażenie.

- To my jus nigdy nie bendziemy się psytulać?

- Oczywiście, że tak - rzuciła pospiesznie Haven. - Ale w twoim łóżku i tylko przed snem.

- Jest jeszcze jedna zasada, Anno - wtrącił Brady. - Że jeśli drzwi od pokoju są zamknięte, to należy zawsze najpierw zapukać, wiesz?

Dziewczynka skinęła głową.

- W porządku. - Brady uśmiechnął się. - A teraz zabierz Glorię, Chwałę i Alleluję i idź się ubrać. Spotkamy się za chwilę w kuchni na śniadaniu. Dobrze?

- Dobrze.

Anna wybiegła z pokoju z kotkami pod pachą. Haven oparła się o zagłówek, oddychając z ulgą.

- O mało nie wpadliśmy - stwierdził Brady. - Czy te drzwi mają zamek?

- Nie.

- Zajmę się tym natychmiast po śniadaniu - oświadczył. Skrzywił się, gdy zobaczył minę Haven. - Wyglądasz na lekko przerażoną.

- Bo naprawdę jestem tym wszystkim lekko przerażona - odparła, mając na myśli nie tylko niespodziewane najście Anny.

Musnął wargami jej usta. Haven przeszył lekki dreszcz. Spojrzał na nią namiętnym wzrokiem:

- Aż miło patrzeć, jak działamy na siebie - wyszeptał.

- Czuję coś takiego po raz pierwszy w życiu. Ale wiesz, Anna się okropnie niecierpliwi, jak jest głodna.

- Ja też - mruknął, po czym zaczął ją namiętnie całować, aż zabrakło im obojgu tchu.

W końcu odsunął się od Haven, odrzucił prześcieradło i wyskoczył z łóżka.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli pierwszy wezmę prysznic?

Haven podziwiała jego nagie ciało. Miała wrażenie, że nawet gdyby teraz wybuchł pożar, nie ruszyłaby się z miejsca.

- Oczywiście, że nie - odparła cicho. - Ja i tak zawsze zaczynam dzień od joggingu.

Miała nadzieję, że uda jej się jakoś zwlec z łóżka. Musiała sobie wiele spraw przemyśleć, a jogging był wymarzoną sposobnością do tego.

Brady wychylił się zza drzwi łazienki.

- Niczego nie żałujesz? - spytał ciepłym tonem.

- Nie, niczego - odparła, zdobywając się na uśmiech.

Z wyjątkiem tego, że nie powiedziałam ci całej prawdy, dodała w duchu.

Zbliżała się właśnie pora lunchu, gdy Violet, pomocnica Haven, wsunęła głowę do pokoju.

- Przyniosłam pocztę.

- Połóż ją na biurku - odparła Haven odruchowo, zajęta studiowaniem formularza.

Asystentka bez słowa spełniła polecenie. Haven dostrzegła kątem oka wśród sterty listów dużą, szarą kopertę. Poczowała skurcz w żołądku. Taka koperta nie oznaczała nic dobrego.

Poczekala, aż Violet wyjdzie z pokoju, po czym wyłowiła list ze sterty. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że nadawcą jest prywatny detektyw, któremu zleciła sporządzenie raportu o Bradym, o czym kompletnie zapomniała.

Poprawiła się w fotelu, po czym zamyślona zaczęła obracać kopertę w rękach. Westchnęła ciężko. Chyba nie powinna jej otwierać. Zatrudniła detektywa, kiedy nie знаła jeszcze Brady'ego bliżej. Przypomniała sobie, jak się czuła, gdy dowiedziała się o istnieniu raportu dotyczącego jej osoby. Wprost zmroziła ją myśl, że ktoś grzebał w jej prywatnym życiu. A teraz robiła to samo.

Zresztą cóż takiego mógł zawierać ten raport? W gruncie rzeczy wiedziała o Bradym wszystko. W porządku, musiała go ciągnąć za język, ale w końcu opowiedział jej o matce i niezliczonych rodzinach zastępczych, o człowieku, który go przysposobił, i o odziedziczonym majątku. Opowiedział również o swoim koczowniczym trybie życia oraz nieprzepartej potrzebie wolności, z której wypływała jego niechęć do wiązania się z drugim człowiekiem. W chwili szczerości zwierzył się również z bolesnego spotkania z matką po latach, o czym z pewnością prywatny detektyw nie miał pojęcia. Z własnej i nieprzymuszonej woli podzielił się z nią też opowieściami z lat spędzonych w niewoli. Cóż jeszcze mógł zawierać raport?

Haven doszła do wniosku, że na pewno nic istotnego.

Wyrzuciła kopertę do kosza na śmieci i ponownie zajęła się pracą.

ROZDZIAŁ 12

Od czterech dni spali razem. Każdego ranka, kiedy tylko wzeszło słońce, Haven uwalniała się z objęć męża i udawała się na poranny jogging. Bez względu na to, czy padał deszcz, czy świeciło słońce, czy była zmęczona kochaniem się, przebiegała zawsze rytmicznym, niezbyt szybkim krokiem co najmniej kilka kilometrów.

Tego ranka pokonała dwa razy tyle.

Spostrzegła, że gdy biegnie odpowiednio szybko, koncentruje się wyłącznie na oddechu, co działa na nią uspokajająco. Zdawała sobie sprawę, że w ten sposób stara się uciec od kłopotów.

Kiedy wróciła do domu, była cała spocona; miała kompletnie mokre włosy, a podkoszulek lepił jej się do ciała. Ledwie trzymała się na nogach.

Była tak spragniona, że pierwsze kroki skierowała do kuchni, z której dochodził zapach smażonego boczku. Oznaczało to, że Brady już wstał.

- Szklanka z wodą stoi na stole - powiedział, odwrócony do niej plecami. Był zajęty czymś przy kuchence.

- Dzięki. - Haven wypila duszkiem wodę, po czym otarła ręką usta. Napelniła ponownie szklankę i zaczęła pić, już nie spiesząc się.

- Dobrze ci się biegało?

- Tak. Jest przepiękna pogoda. Wymarzony dzień na urodzinowe przyjęcie. Chcesz też pobiegać, zanim zrobi się gorąco?

- Nie, nie mam czasu. Obiecałem Annie, że do urodzin codziennie będę jej robił na śniadanie naleśniki.

- A gdzie ona jest? - zdziwiła się Haven, spostrzegłszy, że jest cicho, jak makiem zasiał. Zazwyczaj w sobotę Anna oglądała o tej porze filmy rysunkowe.

- Jeszcze śpi. Nie do wiary, prawda? - roześmiał się Brady.

- Wcale mnie to nie dziwi. Wczoraj była tak podekscytowana, że w ogóle nie mogła zasnąć.

Wstawiła pustą szklanę do zlewu.

- Pomóc ci w czymś?

- Nie, dziękuję. Możesz spokojnie wziąć prysznic.

Po dwudziestu minutach Haven była gotowa. Założyła białe szorty i krótką, czarną koszulkę bez rękawów i poszła obudzić Annę.

- Wstawaj, śpiochu - powiedziała, odsuwając zasłonki. Dziewczynka przeciągnęła się, wydając z siebie przeciągły jęk, po czym otworzyła oczy.

- Cy to jus moje ulodziny?

- Tak, kochanie. I do tego jest piękny dzień. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

Anna zerwała się z łóżka z okrzykiem „Hulaaa!” i rzuciła się Haven na szyję.

- Cy moze telaz otwozyć prezent? - zapytała, splatając mocno pulchne rączki. Poprzedniego dnia zdjęto jej gips.

- Dopiero w czasie przyjęcia.

- Ojej, Binny!

Haven pocałowała małą w policzek.

- Proszę nie dąsać się w dniu urodzin, dobrze? Ubierz się, bo wujek Brady czeka na nas ze śniadaniem. Usmażył dla ciebie naleśniki.

Parę minut później Anna wpadła do kuchni.

- Wujku Blady! - zawołała.

- Co takiego, maluchu?

- Cy pamientas, co dzisiaj jest? Brady uśmiechnął się szeroko.

- Chwileczkę, co to może być? - Wsparł głowę na łokciu i udawał, że się zastanawia. - Dzisiaj jest piątek... Nie ... sobota. Tak?

- Aha - odparła Anna. Brady rozłożył ręce.

- Skoro dzisiaj jest sobota, jest to dzień koszenia trawy.

- Nieplawda - zachichotała dziewczynka.
- Nie? Już wiem. To dzień sprzątanania garażu.
- Niiieeee.

Brady zamknął oczy i zmarszczył czoło, udając, że się bardzo głęboko zamyślił.

- Czyżby... Czyżby to były... twoje urodziny? Anna zaklaskała w ręce z radości.

- Taaaak. I jest psyjencie, i bendzie klown.
- To wspaniale. A ile ty masz lat? Anna uniosła w górę trzy palce.
- Aż tyle? No, no - powiedział z podziwem Brady.

Jak on się zmienił, pomyślała Haven, nie po raz pierwszy zresztą.

Niewiele pozostało z ponurego, niedostępnego mężczyzny, który wkroczył do Centrum, by oznajmić, że jest ojcem Anny. Poza tym już nie był taki chudy. Wyglądał teraz niesamowicie przystojnie.

Stał się też pogodny i otwarty - przynajmniej wobec małej. Nie było między nimi żadnych barier. Czuł się znacznie pewniej jako ojciec. Był przy tym oddany Annie całym sercem.

Haven i Brady spędzali ze sobą namiętne i upojne noce, ale w dzień zachowywali pewien dystans. Haven zdumiona była też, że tak łatwo przychodzi jej kłamstwo. Nie podejrzewała siebie nigdy o to, że będzie potrafiła trzymać coś w tajemnicy, zarówno przed Josephine, jak i Bradym. Nie rozumiała, dlaczego dzieci tak bardzo lubią sekrety. Ona ich nienawidziła.

Powinna powiedzieć prawdę, zarówno Brady'emu, jak i Josephine. I to jak najszybciej. Ale bała się tego okropnie.

- Ile dzieci zaprosiłaś na przyjęcie? - zapytał Brady, usiłując przekrzyczeć piszczącą z radości gromadkę, z którą bawili się w ciuciubabkę.
- Dziesięcioro! - odrzyknęła Haven. - Razem z Anną to jedenaścioro.
- Przysiągłbym, że jest ich pięć razy tyle. Haven roześmiała się.

Na chwilę odłączyła się od grupki, by odebrać telefon. Gdy wróciła, wszyscy siedzieli w kółko i bawili się w pomidora. Brady od razu się zorientował, że coś jest nie tak.

- Jakież złe wiadomości?

- Dzwoniła matka klowna. Nie przyjdzie, bo rozchorował się na wietrzną ospę.

Brady zmarszczył brwi.

- Na wietrzną ospę? Ile on ma lat?

- Dwanaście. To brat jednego z chłopców przychodzących do Centrum. I co ja teraz biedna pocznę? Anna będzie niepokieszona.

- Jesteś w stanie poradzić sobie przez jakiś czas sama z całą tą gromadką?
- spytał Brady.

- Chyba tak... - Haven wzruszyła ramionami. - Z godzinę.

- Zaraz wracam - odparł Brady i pospiesznie opuścił pokój. Słychać było, jak zbiega po schodach i zatrząskuje za sobą drzwi. Po chwili z piskiem opon odjechał samochodem.

Dokładnie po godzinie rozległ się dzwonek. Haven otworzyła drzwi. Na progu stał Brady, ubrany w dżinsy i górę od smokingu. Pod szyją zawiązaną miał wielką czerwoną muszkę, na rękach czarne rękawiczki, w klapie ogromną plastikową stokrotkę, a na głowie melonik. Na ziemi, obok niego, stała spora zielona torba.

- Co to ma znaczyć? - spytała rozbawiona Haven. Brady wyczarował zwinnym ruchem talię kart.

- Wybierz dowolną kartę. Haven wyciągnęła damę kier.

- Włóż ją z powrotem do talii, wszystko jedno gdzie.

Wykonała polecenie. Brady dokładnie potasował karty, przełożył i rozłożył w wachlarz. Potem wyjął ze środka talii jedną kartę - była to dama kier.

- Czy to ta?

- Nie do wiary! - wykrzyknęła Haven. - Czy potrafisz też wyczarować z kapelusza królika? Anna będzie zachwycona sztuczką z kartami.

Brady sięgnął po torbę.

- Jak ci się podoba Brady Magik? - spytał, wchodząc do środka. - Jeden z moich kompanów w wojsku był iluzjonistą. Nauczył mnie kilku sztuczek.

Oszołomiona Haven zamknęła drzwi i pospieszyła za nim do pokoju.

Brady wyczarował najpierw z kapelusza bukiet róż i wręczył go zachwyconej Annie. Wskazał potem na stokrotkę w klapie i poprosił, by dziewczynka ją nacisnęła. Kiedy to zrobiła, strumień wody siknął mu prosto w twarz. Zrobił komiczną minę, a dzieci pokładały się ze śmiechu.

To były niezapomniane chwile - pełne beztroski, radości i prawdziwie rodzinnej atmosfery.

Brady Magik podbił serca wszystkich obecnych, nie wyłączając Haven.

Minęły blisko dwa tygodnie. Haven doszła do wniosku, że przyszła pora na szczerą. Udała się do kuchni w Centrum, gdzie pracowała Josephine. Zbliżał się dzień przesłuchania. Gdyby sprawa zakończyła się rozprawą sądową, Josephine zostałaby z pewnością powołana na świadka. Należało ją odpowiednio do tego przygotować.

Haven wsparła się o stalowy stół i przyglądała się przez chwilę Josephine, która energicznie wyrabiała ciasto.

- Jak się miewasz? - spytała.

- A jak ty się miewasz? - uśmiechnęła się Josephine.

- Długo się nie widziałyśmy, prawda?

- Widocznie obie byłyśmy bardzo zajęte.

- Najwyraźniej - odparła Haven, wdzięczna Josephine za wyrozumiałość.

Nakreśliła palcem na stole kilka kółek. - Tęsknię za tobą, wiesz? Brakuje mi naszych rozmów.

Oczy Josephine zwilgotniały.

- Mnie też, moje dziecko.

- Może mogłybyśmy porozmawiać teraz?

- W porządku. - Josephine sięgnęła po walek do ciasta, oprószyła go mąką i zaczęła rozwałkować ciasto na stolnicy.

Haven nie wiedziała, od czego zacząć. Josephine ułatwiła jej sytuację, pytając:

- A więc jak, odpowiada ci życie małżeńskie?

To była ostatnia rzecz, o której Haven miała ochotę rozmawiać. Nie potrafiła już dłużej kłamać, ale dla dobra Anny nie wolno jej było wyjawiać prawdziwej przyczyny zawarcia małżeństwa z Bradym. Przez ostatnie dwa tygodnie spędzała dni w Centrum, wieczory na zabawie z Anną, a noce w ramionach Brady'ego. Taki stan rzeczy sprawiał, że Haven podlegała zmiennym nastrojom, co poprzednio nigdy się jej nie zdarzało.

Gdy Brady odkrył u niej bliznę na podbrzuszu, co było nieuchronne, opowiedziała mu o wypadku samochodowym. Przemilczała jednak całą resztę. Brady zabezpieczał się co wieczór, gdyż powiedziała mu, że nie dojrzała jeszcze do tego, by mieć więcej dzieci.

Kochali się co noc z coraz większą pasją i namiętnością. Za każdym razem jednak, gdy Haven leżała cudownie nasycona, nie mogąc jeszcze złapać oddechu, ogarniało ją przygnębienie. Nie mogła dłużej znieść świadomości tego, że z Bradym łączy ją jedynie namiętność i że nigdy nie będzie w stanie dzielić z nim miłości.

Musiała mieć niewyraźną minę, bo Josephine spytała nagle:

- Czy coś się stało, moje dziecko? Haven westchnęła głęboko.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Josephine zaczęła wycinać foremką ciasteczka.

- Jeżeli ten człowiek zrobił ci jakąś krzywdę, to go zabiję - powiedziała, zapomniawszy zupełnie o tym, jak bardzo zachwyciła się Bradym.

- Nie, Josie, nic z tych rzeczy. Jest nam bardzo dobrze ze sobą. Chodzi o Pamelę i Douglasa Zieglarów. Wystąpili do sądu z pozwem o opiekę nad Anną.

Haven sprawiło ogromną ulgę, że mogła powiedzieć choć cząstkę prawdy. Zrobiło jej się tylko przykro na widok zatroskanej miny Josephine.

- O Boże! Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Niedawno.

- I co teraz będzie?

- Mamy nadzieję, że nie dojdzie do rozprawy sądowej. Ale może tak się złożyć, że będę cię potrzebowała na świadka.

- Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Haven zakręciły się w oczach łzy.

- Dziękuję ci, Josie. Chciałam cię po prostu tylko uprzedzić.

Znowu westchnęła i zmusiła się do uśmiechu.

- A jak ci się układa z Jacksonem? - spytała ze sztucznym ożywieniem.

Brady wyciągnął się na trawie i przyglądał się, jak Pete sadi krzewy róż. Pot ściekał mu wąską strużką po plecach, aż przyklepiła mu się do nich koszula.

Minęło już trzy i pół tygodnia od chwili, gdy namówił Haven, by spróbowali potraktować swoje małżeństwo poważnie. Przez cały ten czas kochali się prawie co noc. Dla Brady'ego były to niezwykle przeżycia. Nie mógł się nasycić Haven, która zdawała się podzielać jego odczucia - była chętna, czuła i namiętna. Mimo to Brady odczuwał pewien niedosyt. Nie bardzo rozumiał, skąd się on brał - przecież żadna inna kobieta nie obdarzyła go taką rozkoszą.

Gdy byli razem w łóżku, Haven oddawała mu się bez najmniejszego oporu. Natomiast w dzień zachowywała dystans. Miał wrażenie, jakby dzielił ich jakiś mur. Brało się to zapewne stąd, że go nie kochała. Brady nie miał pojęcia, jak do niej dotrzeć.

- Powiedz mi, jak usidlić kobietę? - spytał nagle. Pete przysiadł na piętach i otarł pot z czoła.

- Nie masz chyba na myśli Haven, co?

- Oczywiście, że tak - odparł z nie ukrywaną irytacją.

Przez ostatnie trzy i pół tygodnia tak mocno musiał trzymać na wodzy emocje, że przyniosło mu to wyraźną ulgę. - Kogóż innego mógłbym mieć na myśli?

- Dlaczego miałbyś ją usidlać? Przecież jesteście małżeństwem.

To było typowe dla Pete'a. Brady'ego okropnie denerwowało, że zawsze robił jakieś uwagi, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

- I chciałbym, abyśmy małżeństwem pozostali - burknął. - No to jak?

Powiesz mi w końcu czy nie?

- A ty sam tego nie wiesz? Ty? Taki Casanova? Przecież odkąd pamiętam, kobiety zawsze się do ciebie kleiły. I teraz pytasz o to mnie?

- No właśnie. Do tej pory nigdy nie odczuwałem takiej potrzeby.

Pete uśmiechnął się z politowaniem.

- Czy nie uważasz, że to żalosne?

- Być może. No, mów wreszcie.

- W porządku, nie denerwuj się. - Pete podrapał się brudną ręką po brodzie. - Muszę się chwilę zastanowić. Jest na to wiele sposobów.

Brady zaczynał tracić cierpliwość.

- Na przykład zawsze mile widziane są kwiaty, ale lepiej się nie wygłupiać z czekoladkami. Większość kobiet dba o linię i mogą się poczuć dotknięte.

- W porządku. Co jeszcze?

- Można też pójść do dobrej restauracji. Sam rozumiesz: światło świec, przytłumiona muzyka, dobre wino. Potem jakiś romantyczny film i kobieta jest twoja. Ponieważ masz forszę, możesz podejść do tego z gestem. Wynająć jacht albo cały apartament w luksusowym hotelu...

- Więc nie jest to aż takie trudne.

Pete uklepał ziemię wokół różanego krzewu.

- Nic, co ma związek z kobietą, nie jest proste - stwierdził z zadumą.

- Zaczynam to powoli odczuwać na własnej skórze.

- Jest jeszcze coś, co naprawdę bym polecał. Choć nie kosztuje to ani grosza, jest cholernie trudne do zrealizowania.

- Co to takiego?

Pete posłał Brady'emu wymowne spojrzenie.

- Wystarczy po prostu być stuprocentowo szczerym. Okazywać kobiecie swoje uczucia. Mówić jej, że się ją kocha, i jak wiele dla nas znaczy.

Tej rady, niestety, Brady nie mógł posłuchać. Dopóki nie miał pewności, że Haven odwzajemnia jego uczucia, brakowało mu odwagi.

- Muszę sobie to wszystko spokojnie przemyśleć - odparł.

Spędził resztę popołudnia, zastanawiając się nad przyszłością. Swoją, Haven i Anny. Parę minut po szóstej usłyszał na podjeździe samochód Haven. Poszedł otworzyć drzwi.

- Cześć, wujku Blady - powitała go radośnie dziewczynka.

- Cześć, maluchu. Za chwilę zaczyna się „Ulica Sezamkowa”. Telewizor jest już włączony.

- Dziękuję, wujku Blady! - Anna wyminęła go zręcznie i pobiegła do pokoju.

Brady zaśmiał się serdecznie i odwrócił do Haven. Jej bujne rude włosy, podświetlone od tyłu słońcem, przypominały rozognioną lawę. Wyglądała przepięknie. Uśmiech zastygł mu na ustach z wrażenia.

- Cześć - powiedział miękko.

- Cześć.

Może mu się tylko zdawało, ale odniósł wrażenie, że Haven ucieszyła się na jego widok.

- Jak ci minął dzień?

- W porządku. A tobie?

- Mnie też. - Pragnął ją wziąć w ramiona i pocałować, tak jak to robił zawsze Pete, gdy nie widział się z Eileen przez cały dzień. Czuł się jednak tak, jakby miał ręce z ołowiu. On nie był przecież Pete'em, a Haven nie była Eileen i

do tego ich małżeństwo trudno było nazwać normalnym. Czułe gesty wymieniali jedynie w sypialni.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział.

Haven ruszyła do dużego pokoju. Usiadła na kanapie i przyjrzała się Brady'emu z ciekawością.

- Czy to coś poważnego? Brady usiadł obok niej.

- Podjąłem decyzję. Znieruchomiła.

- Na jaki temat? - spytała zdławionym głosem.

- Na temat mojej własnej osoby, ale na dalszą metę będzie to miało również wpływ na was obie... - Zrobił krótką przerwę. - Zdecydowałem, jak ma wyglądać moje dalsze życie.

- Ach, tak? - Haven robiła wrażenie zaskoczonej. Brady pokiwał głową, po czym uśmiechnął się ciepło.

- Chyba nie sądziłaś, że będę ci przez całe życie siedzieć na głowie?

- Nie. Zresztą wcale tego nie robisz. Uważam, że zasłużyłeś na wakacje.

- Myślałem już o tym od dawna i teraz zdecydowałem się zrealizować moje zamierzenia.

- Powiedz mi, co to takiego?

- Postanowiłem założyć fundację imienia Charlesa Rossa. Chcę pomagać dzieciom, które czują się zagubione w całym tym systemie rodzin zastępczych - oświadczył. - Fundacja będzie obserwować dzieci w wieku szkolnym, aż do matury. Jeśli przez cały ten okres dziecko nie popadnie w żadne tarapaty, będzie miało sfinansowane studia. W przyszłym tygodniu umówiony jestem na spotkanie człowiekiem, który założył podobną fundację w Nowym Jorku. Pomoże mi wystartować.

Haven spojrzała na niego z nie ukrywanym podziwem.

- To wspaniały pomysł. Jeśli potrzebna ci będzie pomoc, zawsze możesz na mnie liczyć.

Nagle zadzwonił telefon, więc poszła odebrać. Tymczasem Brady krystalizował w myślach swoje plany. Po pierwsze, pojedzie do Nowego Jorku spotkać się z Adamem Bishopem. Gdy wróci, zajmie się całą niezbędną robotą papierkową. No i oczywiście żoną. Tym razem już właściwie.

Pogubiły mu się myśli, gdy zobaczył minę Haven. Odłożyła powoli słuchawkę.

- To było laboratorium - powiedziała. - Są już wyniki testu DNA.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Haven ze wzrokiem wbitym w filiżankę z kawą, która dawno zdążyła już wystygnąć. Jak długo już tak siedziała? Parę minut? Godzinę? Dwie?

- Ja również - odparł ponuro Brady.

Zegar stojący wybił dziesiątą. Haven uniosła głowę, zdumiona. Czyżby minęły już cztery godziny od momentu, gdy usłyszała druzgocącą wiadomość?

- Może to po prostu pomyłka - mruknęła.

Brady uśmiechnął się gorzko sponad nie tkniętej filiżanki.

- Przecież ten mężczyzna wyraźnie powiedział, że prawdopodobieństwo, iż ktoś inny jest ojcem Anny, wynosi blisko sto procent, i że nie ma mowy o pomyłce - przypomniał Haven.

W jego głosie wyczuwało się wyraźnie cierpienie.

Pomyślała, że jest skończoną egoistką. Zamartwiała się jedynie tym, jaki wpływ będzie miała ta wiadomość na ich związek. Brady siedział naprzeciwko niej, zielony na twarzy, jakby za chwilę miał się rozchorować. A przecież dla niego wynik testu oznaczał, że nie ma wobec nich obu żadnych zobowiązań, więc powinno mu to przynieść ulgę. Tymczasem robił wrażenie kompletnie przybitego.

Z drugiej strony nietrudno było to zrozumieć. Sądził, że ma córkę. Pokochał ją całym sercem. Po raz pierwszy w życiu miał rodzinę. A teraz wszystko legło w gruzach.

- Tak mi przykro - powiedziała, współczując mu serdecznie.

- Wciąż nic z tego nie rozumiem. Dlaczego Melinda napisała do mnie ten list? - zapytał schrypniętym, nieswoim głosem. - Jak mogła tak kłamać?

Haven też nic z tego nie rozumiała. I nie mogła znieść jego cierpienia.

- Mówiłam ci już wcześniej, że Melinda nigdy nie kłamała. Musiała być przekonana, że jesteś ojcem Anny. Inaczej nie napisałyby do ciebie. Sądzę, że to jakieś nieporozumienie.

- Nie zmienia to faktu, że nie jestem ojcem Anny - odparł Brady.

- Masz rację - przyznała - ale zmienia sytuację między nami - dodała ze ściśniętym sercem.

Brady milczał. Wiele by dała za to, aby poznać jego myśli.

- Więc co teraz zrobimy? - spytała.

- A czego byś chciała?

Co za pytanie! Najchętniej wtuliłaby się w jego ramiona i trwała tak godzinami.

- A ty? - wykrztusiła z trudem. Brady zmarszczył brwi.

- To do mnie należy ostatnie słowo?

- Po prostu masz prawo się na ten temat wypowiedzieć. Odczekał chwilę, po czym stwierdził:

- Jeśli chodzi o mnie, nie chciałbym, aby się coś zmieniło. Przynajmniej na razie.

- Chcesz, abyśmy nadal pozostali małżeństwem?! - wykrzyknęła zdumiona.

- Tak.

- Dlaczego?

- Uważam, że Anna potrzebuje nas obojga. Jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy są w stanie uchronić ją od Zieglarów.

- O Boże! Zupełnie o nich zapomniałam.

- Ale ja nie.

- A co będzie potem? Gdy Anna będzie już bezpieczna?

- Nie potrafię odejść od Anny - odparł Brady ze wzruszeniem w głosie.

Zrozumiała, że nie chce, aby Anna poczuła się opuszczona, tak jak on w dzieciństwie. Jednak czy na dalszą metę będzie w stanie to wytrzymać?

- Czy wciąż pragniesz mieć więcej dzieci? - zapytała z bijącym sercem.

Zorientowała się natychmiast, że to głupie pytanie. Przecież teraz cała ta sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

- Dopiero jak ty będziesz do tego gotowa - odparł.

To chyba odpowiedni moment, żeby powiedzieć mu prawdę, pomyślała. Nie potrafiła się na to zdobyć. Łączyło się z tym zbyt duże ryzyko. W tej chwili jedynym argumentem, przemawiającym na jej korzyść, było małżeństwo. Musiała odczekać do zakończenia sprawy z Zieglarami. Powie mu dopiero po przesłuchaniu.

- Wyniki z laboratorium nie mają wpływu na moje uczucia do Anny - odezwał się Brady. - Nadal pragnę być dla niej ojcem. - Wstał i wziął Haven w objęcia. - Również nie zmienia to faktu, że zawsze bardzo będę cię pragnął.

A gdyby tak dowiedział się, że ona nie może mieć dzieci?

Popatrzył na nią tak płomiennym wzrokiem, że aż zadrżała. Kiedy przywarł do jej ust w namiętym pocałunku, natychmiast opuściły ją wszelkie wątpliwości. Liczyło się jedynie budzące się w niej pożądanie. Liczył się pocałunek i doprowadzający ją do szaleństwa dotyk palców Brady'ego, błędzących po jej skórze.

Postanowiła tej nocy zapomnieć o wszystkim: o niepewnej przyszłości oraz cierpieniach i samotności z minionych lat. Zamierzała całkowicie oddać się chwili.

Brady oderwał usta od jej warg i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Chcesz, bym został? - spytał z naciskiem, głaszcząc Haven po ramieniu.

- Tak. Chcę - wyszeptała ochryłym głosem.

Na zawsze, dodała w duchu.

- O Boże! Jak ja cię pragnę! - wyrzucił z siebie Brady.

- Ja ciebie też - odparła, łapiąc z trudem oddech, po czym pocałowała go namiętnie.

Odsunął ją na moment od siebie, pozbierał filiżanki po kawie i wstawił je do zlewu. Wyłączył światło i wziął Haven na rękę.

Sądziła, że zanieśie ją do sypialni, tak jak to zrobił, gdy kochali się po raz pierwszy. Ale on posadził ją delikatnie na stole kuchennym i zaczął znowu całować.

- Brady... - usiłowała coś powiedzieć pomiędzy kolejnymi pocałunkami.

- Mhm? - mruknął. Całą uwagę skupioną miał na guzikach od bluzki.

Haven przeszła dreszcz, gdy poczuła chłodny strumień powietrza sączący się od uchylonego okna.

- Czy nie powinniśmy iść na górę?

Brady, zajęty rozpinaniem jej stanika, spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Zajmie to za dużo czasu.

Ujął w usta nabrzmiały sutek i zaczął go pieścić językiem. Haven ogarnęła fala niesamowitego podniecenia. Och, on ma rację, przemknęło jej przez myśl.

W chwilę potem połączyli się, a Haven doznała znajomego uczucia niezwyklej bliskości. Krzyknęła z rozkoszy. Objęła Brady'ego mocno za szyję i całkowicie oddała się we władanie zmysłom. W zgodnym rytmie wspólnie dążyli do spełnienia, a gdy ono nadeszło, fala niezwyklej rozkoszy wyniosła ich na sam szczyt.

Kilka godzin później Haven leżała ze ściśniętym sercem obok Brady'ego, słuchając, jak oddycha miarowo. Po jej policzkach płynęły łzy. Byli wspaniałymi kochankami, ale przytłaczająca jej serce tajemnica, która zagrażała im drogę do miłości, sprawiła, że Haven czuła się straszliwie samotna.

ROZDZIAŁ 13

Obróć się powoli dookoła - poleciała Haven. - Chciałam sprawdzić, jak leży marynarka.

Brady wykrzywił się do swojego odbicia w lustrze, zanim spełnił prośbę. Przymierzał już piąty garnitur w ciągu godziny i w każdym z nich Haven doszukała się jakiejś wady. A to nie odpowiadał jej materiał, a to kolor, a to znowu źle leżały spodnie, czy marynarka.

Zirytował się, gdy podstarzały sprzedawca zaczął poprawiać klapy marynarki. Opanował się całym wysiłkiem woli, by nie dać mu po łapach. Według niego lekki, szary garnitur letni prezentował się całkiem nieźle. Nie rozumiał, po co ma się kręcić w kółko.

- Czy to naprawdę konieczne? - burknął.

Nie znosił robić zakupów. Ciarki go przechodziły, gdy tylko przekroczył próg sklepu, a już spędzenie w sklepie godziny było dla niego istną torturą. Choć musiał przyznać w głębi duszy, że obecność Haven stanowiła lekką osłodę.

- Nie zapominaj, że lecisz jutro do Nowego Jorku - odparła cierpliwie. - Trudno, żebyś się ubrał na to spotkanie w smoking.

- Wiem o tym, ale czuję się jak małpa w klatce.

- Przecież nikt nie zwraca na ciebie uwagi - próbowała go ułagodzić. - No, odwróć się, żebyś mogła zobaczyć, jak układa się materiał.

Brady pomyślał, że tym tonem Haven zwraca się pewnie do najbardziej krnąbrnych dzieciaków w Centrum. Westchnął ciężko i w końcu spełnił jej prośbę. W gruncie rzeczy sam był sobie winien. Dopiero gdy zaczął się pakować dzisiaj rano, uprzytomnił sobie, jak skromna jest jego garderoba.

- Ten garnitur leży jak ulał - stwierdziła Haven. Brady odetchnął z ulgą.

Sprzedawca, z przewieszonym na szyi centymetrem, pomógł mu zdjąć marynarkę.

- Co cię ugryzło? - spytała Haven.

- Nie znoszę kupować ubrań. Unikam tego jak ognia.

- Od razu tak pomyślałam, gdy zobaczyłam zawartość twojej szafy - roześmiała się Haven.

Jej twarz, mimo nieprzytulnego, sztucznego światła, miała delikatny złotawy kolor. Brady nie mógł się na nią napatrzeć.

- Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze? - spytał sprzedawca.

- Pan życzy sobie udać się jak najszybciej do domu - odparł Brady. I rzucić się na swoją przepiękną żonę, dodał w duchu.

- Pan potrzebuje jeszcze jednego garnituru, kilku koszul i krawatów oraz butów - poprawiła go Haven. Widząc zboląłą minę męża, dodała: - Jeśli zamierzasz bawić się w zamożnego filantropa, musisz się odpowiednio ubierać.

- Gdybym chciał zgrywać bogatego filantropa, sprawiłbym sobie ubranie na miarę - odpalił.

- Ja tylko żartowałam - powiedziała, patrząc na niego z lekkim wyrzutem.

I w tym był cały problem. Haven z wszystkiego robiła sobie ostatnio żarty. Trudno było przeprowadzić z nią poważną rozmowę.

Brady wiedział, że bardzo się denerwuje czekającym ją przesłuchaniem. Za każdym razem jednak, gdy poruszał ten temat, zbywała go tym samym zdaniem:

- Syd całkowicie panuje nad sytuacją.

Unikała też rozmów na temat tego, że Brady nie jest biologicznym ojcem Anny, choć tak bardzo cierpiał z tego powodu.

Postawa Haven drażniła go i to ona była rzeczywistą przyczyną jego irytacji. Aż dziw, jak role się odwróciły. Na początku chciała z nim dzielić mnóstwo spraw i była spragniona rozmowy. A teraz, gdy on pragnął z nią rozmawiać, wołała, by zostawił ją w spokoju.

Wyglądało to tak, jakby żyli zawieszoni w próżni, i dopiero przebieg przesłuchania miał zadecydować o ich przyszłości. Brady doskonale wiedział, czego chce: żeby pozostali małżeństwem. I choć Anna nie była jego prawdziwą córką, pragnął być dla niej ojcem. Marzył również o tym, by mieć dziecko z Haven, chociaż ona zdawała się nie przygotowana do podjęcia tej decyzji. Wiedział, że sam seks, choćby najbardziej udany, nie wystarczy, by zatrzymać ją przy sobie na stałe.

Godzinę później zatrzymał wyładowany zakupami samochód przed drzwiami wejściowymi do Centrum.

- Naprawdę nie chcesz, żebym odwiozła cię na lotnisko? - spytała Haven.

- Nie. I tak straciłaś już dla mnie dosyć czasu.

- Kiedy wrócisz?

- W piątek wieczorem. Nie czekaj na mnie z kolacją. Był ciekaw, czy Haven będzie za nim tęsknić.

- Przez te wszystkie zakupy nawet nie zjadłaś lunchu - stwierdził.

- Dzieci są dla mnie ważniejsze - odparła, wzruszając ramionami. Rzuciła mu ciepłe spojrzenie. - Nie wiem, czy ci już mówiłam, ale uważam twój pomysł za wspaniały. Myślę, że sprawi ci to wielką satysfakcję.

- Obiecuj mi, że zamówisz zaraz dla siebie coś do jedzenia i zjesz wszystko do ostatniego okruszka.

- Obiecuję.

Przyciągnął ją blisko do siebie i czule przytulił. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc sobie w oczy. W końcu zaczęli się całować aż do utraty tchu.

- Miłej podróży - wyszeptała Haven.

- Do piątku.

To były tylko dwa dni, ale Brady'emu zdawały się wiecznością. Miał wrażenie, że kiedy wróci, wszystko się między nimi zmieni. Uścisnął Haven jeszcze raz. Gdy poczuł wyraźny opór, rozluźnił uścisk. Wysiadła z samochodu i

poszła, kołysząc lekko biodrami, do Centrum. Na progu odwróciła się i pomachała ręką, po czym zniknęła w drzwiach.

Brady starał skupić się nad tym, co ma jeszcze zrobić. Po pierwsze, musiał się spakować. A potem czekała go najważniejsza sprawa w życiu. Jeszcze przed odlotem do Nowego Jorku zamierzał dać Haven to, o czym marzyła najbardziej - Annę.

- Jesteś gotów? - spytał Brady.

- Tak - odparł Pete.

- No to idziemy.

Wysiedli z samochodu zaparkowanego na podjeździe okazałej rezydencji, która zaczynała nieco podupadać, co tak bystremu obserwatorowi jak Brady od razu rzuciło się w oczy. Mieszkający tu Zieglarowie musieli mieć spore kłopoty finansowe.

- Wiesz, czuję się, jakbym uczestniczył w jakiejś tajnej misji - stwierdził Pete, gdy znaleźli się przy drzwiach wyjściowych.

Brady zadzwonił do drzwi. Też był zdenerwowany, bo gra szła o wielką stawkę.

- Czy masz kontrakt? - spytał.

- Tak. W kieszeni. I pióro też - odparł Pete. - W kamerze wideo jest nowy film i świeże baterie. A ty masz czeki?

- Podpisane i potwierdzone, jak należy - mruknął Brady.

- No to mamy wszystko. Jesteś pewien, że to czysta sprawa?

- Tak.

- To do czego ja ci jestem potrzebny?

- Jesteś moim zabezpieczeniem. Jeśli uda nam się sfilmować Zieglarów, nie będą mogli się później wymigać, twierdząc na przykład, że zostali zmuszeni siłą do podpisania kontraktu.

Drzwi otworzył lokaj ubrany w liberię.

- Chcieliśmy zobaczyć się z panem i panią Zieglar - powiedział Brady.

- Kogo mam zaanonsować?

- Moje nazwisko brzmi Brady Ross.

Po chwili obaj zostali wprowadzeni do salonu o powierzchni większej niż całe piętro w domu Haven. Ściany pomalowane były na ciemnozielony kolor, a w olbrzymich oknach wisiały ciężkie, brokatowe zasłony. Podłogę zdobiły perskie dywany, a na ścianach, dokładnie na wysokości oczu, wisiała cała kolekcja kosztownych obrazów. Cały pokój, zastawiony inkrustowanymi, misternie rzeźbionymi meblami, robił przygniatające wrażenie.

Brady zastanawiał się, czy Douglas zaczął się już po trosze wyprzedawać.

- Nieźle tu - gwizdnął przez zęby Pete.

- To kwestia gustu - odparł Brady z niesmakiem.

Stać by go było na to, by mieszkać w podobnym zbytku, ale nie cierpiał takiego niegustownego blichtru.

Został wychowany przez Charlesa bardzo skromnie. Poza tym wolał przeznaczyć pieniądze odziedziczone po przybranym ojcu na wznioślejsze cele. W dodatku bardzo mu odpowiadał przytulny dom Haven.

Zieglarowie raczyli się zjawić dopiero po dwudziestu minutach. Mieli lodowate miny, jakby robili komuś łaskę. Brady był ciekaw, czy spuszcza z tonu, gdy powie im, że zna co do centa kwotę, na jaką są zadłużeni.

Douglas obrzucił spojrzeniem Pete'a.

- Zupełnie niepotrzebnie przyszedł pan z obstawą - oświadczył sztywno. - Nie grozi tu panu żadne niebezpieczeństwo.

- Pan Loring jest moim serdecznym, zaufanym przyjacielem. Poprosiłem go, by sfilmował nasze spotkanie.

- Do czego to komu potrzebne? - prychnęła Pamela.

- Nie chciałbym, aby powstały jakieś nieporozumienia.

- Nie zwykłem filmować swoich rozmów - stwierdził Douglas z wyższością. - I uważam za wysoce obraźliwe sugestie, że nie jestem godzien zaufania.

Sięgnął po mosiężny dzwoneczek i zadzwonił nim. Natychmiast w drzwiach pojawił się lokaj.

- Gordon, proszę odprowadzić do drzwi pana Rossa i jego... przyjaciela.

Brady wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy. Zanim państwa opuszczę, chciałbym najpierw coś pokazać.

Wyjął z kieszeni czek i pomachał nim Douglasowi przed nosem. Douglas otworzył szeroko oczy, gdy zobaczył na nim kwotę, która z nawiązką pokryłaby jego długi.

- Czek wypisany jest na pana nazwisko i potwierdzony. Oczywiście wiąże się z nim pewne warunki. No ale skoro pana to nie interesuje... - Brady zawiesił głos - ...idziemy, Pete.

- Może się trochę pospieszyłem - odezwał się Douglas. - Gordon, panowie jednak zostają.

Lokaj skinął głową i wyszedł z pokoju.

Brady uśmiechnął się triumfalnie, ale nie odezwał się, czekając, jak zareaguje Douglas. W ten sposób dawał mu odczuć swoją przewagę. Ziegler wyraźnie się niecierpliwił. Brady dobrze wiedział, że stary kutwa nie pozwoli mu teraz odejść.

W końcu chciwość wzięła górę nad dumą.

- Czemu zawdzięczam pana wizytę? - spytał z kamienną twarzą Douglas.

Brady dał znak Pete'owi, żeby wyjął kamerę wideo.

- Najpierw potrzebna jest mi pana zgoda na filmowanie naszej rozmowy.

Gospodarz ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Jeszcze raz, proszę - powiedział Brady, ustawiając się obok niego. -

Proszę powiedzieć to głośno do kamery.

- Zgadzam się na filmowanie rozmowy - wycedził Douglas.

- Dziękuję. A więc mam dla pana propozycję. W zamian za wycofanie pozwu w sprawie opieki nad Anną Dolan oraz pisemne oświadczenie, że nigdy

więcej nie będą państwo usiłować zabrać jej spod opieki Haven Adams ani uzurpować sobie prawa do jej spuścizny, oferuję państwu niniejszy czek.

Brady przytrzymał czek tak, by kamera mogła go uchwycić.

- Boicie się po prostu, że wygramy sprawę! - wybuchnęła nagle gniewnie Pamela. - I myślicie, że damy się przekupić.

- Milcz! - syknął Douglas.

Małżonka rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Przyznaję, że istnieje szansa na to, iż wygracie sprawę - powiedział Brady, wpijając wzrok w Zieglara. - Wtedy niewątpliwie dobierzecie się do znacznie większej sumy niż ta, którą ja wam proponuję. Ale możecie również przegrać. Haven ma wielu świadków, których zeznania zrobią korzystne wrażenie na sędziach.

- Amy mamy świadków, którzy zeznają na jej niekorzyść - wtrącił Douglas.

- Jedyne żądną zemsty była pracownicę. Bardzo łatwo można podważyć wszystkie wasze zarzuty, więc sprawa wcale nie jest dla was taka pewna. Pewny jest natomiast mój czek.

Pamela i Douglas podjęli natychmiastową decyzję. Jeden telefon wystarczył, by wycofać pozew. Lokaj i pokojówka zostali powołani na świadków, gdy podpisywano kontrakt. Wreszcie czek wylądował w spoczonej dłoni Zieglara.

- Wybaczą państwo, ale nie chciałbym się spóźnić na samolot - powiedział Brady.

- Czym pan się właściwie kierował? - spytał na koniec Douglas - Anna jest przecież dla pana zupełnie obcym dzieckiem.

Brady uznał Zieglarów za politowania godne kreatury.

- Kierowałem się uczuciem, którego prawdopodobnie nigdy nie doświadczyliście - odparł - mianowicie miłością.

Haven nie mogła usiedzieć na miejscu. Wstała i podeszła do okna. Na dworze świeciło słońce, ćwierkały ptaki, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów, ona jednak nie dostrzegła niczego. Wszystkie jej myśli zaprzętał niepodzielnie Brady.

Nie było go dopiero jeden dzień, a już umierała z tęsknoty.

W nocy włożyła koszulę Brady'ego, by poczuć przynajmniej jego zapach. Mimo to przewracała się w łóżku, spragniona pieścizot.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy.

- Usiądź najpierw - odezwał się Syd.

Mówił tak poważnym tonem, że serce skoczyło Haven do gardła. Ścisnęła mocniej słuchawkę, spodziewając się najgorszego.

- W porządku, siedzę. Mów, o co chodzi - powiedziała, starając się za wszelką cenę zachować spokój.

Syd milczał przez dłuższą chwilę, przyprowadzając ją niemal o palpitację serca.

- Nie uwierzysz, ale Zieglarowie wycofali pozew - oświadczył w końcu.

- Co takiego?! Jak to możliwe? Dlaczego? - Haven śmiała się i płakała jednocześnie. Anna jest bezpieczna! - to nie do wiary.

- Nie mam pojęcia, dlaczego - odparł Syd. - Niecałe dziesięć minut temu zadzwonił do mnie adwokat Zieglarów i oświadczył, że wycofali pozew.

Gdy Haven odwiesiła słuchawkę po skończonej rozmowie, zapragnęła podzielić się radosną nowiną z Bradym, Niestety, nie zostawił jej numeru telefonu.

Na myśl o mężu nieco posmutniała. Zauważyła, że był ostatnio trochę podminowany. Wiedziała, że jest temu w jakiś sposób winna. Ilekroć usiłował poruszyć poważny temat, zbywała go żartem albo sprowadzała rozmowę na inne tory. Przyłapywała go czasem na tym, że przygląda się jej z zastanowieniem. Dręczyła ją myśl, czy nie żałuje decyzji o pozostaniu choć wyniki testu DNA jednoznacznie wykluczały możliwość, iż jest ojcem Anny.

Stwierdził, że Anna potrzebuje ich oboje, ze względu na grożące jej niebezpieczeństwo ze strony Zieglarów.

Ale teraz, skoro mała była już bezpieczna, nie miał najmniejszego powodu, by zostać.

Pamiętała doskonale z zajęć z podstaw prawa w czasie studiów, że jeśli jedna ze stron zawierających kontrakt okaże się nieuczciwa, kontrakt, niejako automatycznie, zostaje unieważniony. Pora powiedzieć Brady'emu, iż nie może mieć dzieci. Musi uświadomić mu, że zgodziła się na jego propozycję, by potraktowali małżeństwo serio, tając przed nim istotne fakty. Nie powinna go już dłużej okłamywać. Nawet gdyby miał odejść.

Brady, gdy tylko wysiadł z samolotu w piątek wieczorem, wiedziony jakimś dziwnym impulsem skierował pierwsze kroki do budki telefonicznej. Przekartkował książkę w poszukiwaniu adresu Asy Adamsa, po czym udał się do domu rodziców Haven.

Ogarnęło go uczucie euforii. Anna była już bezpieczna, a spotkanie w Nowym Jorku przebiegło pomyślnie. Chodziły mu po głowie różne pomysły, które pragnął jak najszybciej zrealizować. Po raz pierwszy od lat miał widoki na przyszłość. I wszystko to zawdzięczał Haven oraz Annie. Dzięki nim odzyskał wiarę w ludzką dobroć.

Nie mógł się doczekać, kiedy znowu znajdzie się w domu, by wyznać Haven i Annie, jak bardzo je kocha. Ale najpierw musiał nieco zboczyć z drogi. Zamierzał odwiedzić rodziców Haven. Miał w tym swój cel. Pragnął uzyskać informacje, które pomogą mu zdobyć miłość żony. A gdyby miał się przy tym przyczynić do ich pojednania, czułby się bardzo szczęśliwy. Uświadomił sobie bowiem ostatnio, jak ważna jest rodzina.

Drzwi domu ze stiukowymi ścianami otworzyła starsza kobieta, w której rysach nietrudno było odnaleźć podobieństwo do Haven.

- Pani Adams?

- Przepraszam pana - powiedziała chłodno, choć grzecznie - nigdy nie kupujemy nic od domokrażców.

- Nie jestem domokrażcą. Nazywam się Brady Ross. Jestem mężem Haven - wypalił prosto z mostu.

- A więc Haven wyszła za mąż - stwierdziła kobieta.

- Tak.

Brady spodziewał się, że zostanie zasypany pytaniami w rodzaju: gdzie się spotkali, jak długo się znają i dlaczego nie zaprosili rodziców na ślub. No i oczywiście, na koniec, czym się zajmuje oraz czy zamierza wesprzeć Haven w pracy. Ale pani Adams nie odzywała się ani słowem, przyglądając mu się jedynie beznamiętnym wzrokiem. Brady miał wrażenie, że bardziej interesowała ją dzisiejsza pogoda.

- Czy mogę wejść? - zapytał.

Został wprowadzony do pokoju kompletnie pozbawionego wyrazu, niczym pokój hotelowy. Było w nim tylko kilka niezbędnych mebli: kanapa i dwa fotele w brunatnym kolorze oraz mały stolik. Na podłodze leżał oliwkowozielony dywan. Nie było tu żadnych ozdób ani rodzinnych zdjęć. Za to wokół wszystkich ścian stały regały wypełnione po brzegi książkami.

W jednym z foteli siedział mężczyzna w średnim wieku, z fajką w zębach, zatopiony w lekturze ostatniego wydania „Wiadomości z dziedziny chemii stosowanej”.

- Asa - odezwała się Doris Adams - to jest Brady Ross. Mówi, że jest mężem Haven.

Asa Adams wykazał mniej więcej tyle samo zainteresowania, co jego żona. Odłożył z wyraźną niechęcią miesięcznik, wstał i uściśnął Brady'emu rękę.

Co za dziwni ludzie, pomyślał Brady. Zachowują się jak dwa roboty.

- Doszedłem do wniosku, że powinienem się państwu przedstawić - powiedział. - A skoro już tu jestem, chciałbym spytać, czy mógłbym może obejrzeć albumy ze zdjęciami Haven.

Asa Adams pokręcił przecząco głową.

- Nie sądzę, aby było to możliwe. Widzi pan, jesteśmy naukowcami i nie zaprzatamy sobie głowy czymś takim jak robienie zdjęć.

- Ach, tak - odparł Brady, walcząc z rosnącym wzburzeniem. - Może mogliby mi państwo przynajmniej coś o niej opowiedzieć. Jakim była dzieckiem? Czym się interesowała? Jakie miała hobby?

- Obawiam się, że i tej prośby nie będziemy w stanie spełnić - oświadczył Asa. - Powinien pan spytać o to raczej jej niańkę.

- Haven brała kiedyś udział w szkolnym przedstawieniu - odezwała się nagle Doris. - Pamiętasz, Asa, że pojechaliśmy je obejrzeć?

- O, tak - skinął głową mężczyzna. - Pamiętam to jak dziś. Całą drogę szalała niesamowita śnieżycą. Istny koszmar.

Brady'emu przyszło do głowy, że państwu Adams nie pomogłaby nawet transplantacja serca. Gdy Haven opowiadała mu o tym, jak rodzice ignorowali ją przez całe życie, myślał, że przesadza. Teraz miał okazję przekonać się, że mówiła prawdę.

- Czy chciałby pan może obejrzeć pokój Haven? - spytała Doris. - Nie zmieniliśmy w nim nic, odkąd odeszła z domu.

Wcale go to nie zdziwiło. Wyglądało na to, że w całym domu nie zmienili nic od dobrych trzydziestu lat.

Obejrzał się, wychodząc z pokoju. Asa Adams pogрузzył się ponownie w lekturze miesięcznika, zapominając o całym świecie.

- To tutaj - powiedziała Doris i wskazała drzwi na końcu wąskiego korytarza.

Pokój robił wrażenie izby klasztornej. Znajdowało się w nim jedynie łóżko, biurko i szafa. Ani śladu lalek czy innych zabawek. Wyglądał tak, jakby w nim nigdy nikt nie mieszkał.

Brady musiał mieć niewyraźną minę, gdyż Doris dodała nagle:

- Nie przywiązujemy zbyt dużej wagi do rzeczy. Uważamy, że rozrywki intelektualne są znacznie istotniejsze w rozwoju umysłowym człowieka.

W tym momencie Brady zrozumiał, dlaczego Haven otacza się różnymi kolorowymi ozdóbkami. Jej dzieciństwo musiało być jedną wielką nieznośną szarżoną, przepelnioną samotnością.

Czy Doris Adams brała kiedykolwiek swoje jedyne dziecko na ręce i przemawiała do niego czule? A może zabawiała je, pokazując mu przezrocza z matematycznymi wzorami? A Asa Adams? Czy pocieszył kiedykolwiek Haven, gdy przewróciła się na rowerze i stłukła sobie kolano? Brady'emu wydało się to raczej mało prawdopodobne. Ci ludzie byli całkowicie pozbawieni uczuć, zimni, skoncentrowani na sobie i swojej pracy unieszczęśliwili dziecko, które sprowadzili na świat.

Zacisnął pięści. Wezbrała w nim taka złość, że z trudem się powstrzymał, by nie walnąć pięścią w ścianę. Jak mogli traktować w ten sposób swoją córkę? Zastanawiał się, co było większym okrucieństwem: porzucenie dziecka, jak to zrobili jego rodzice, czy też kompletne ignorowanie?

- Dziękuję za pokazanie mi pokoju Haven - powiedział nagle. - Niestety, muszę już iść.

Tak jak się spodziewał, Doris Adams nie zaprotestowała.

Podążał za nią w milczeniu, zastanawiając się, jak to możliwe, że Haven wyrosła na tak cudowną, pełną ciepła i miłości kobietę. Zważywszy jej przeszłość, był to istny cud.

- Czy Haven nadal prowadzi to swoje Centrum Dziecka i opiekuje się małą dziewczynką? - spytała Doris, gdy znaleźli się przy frontowych drzwiach.

Ta mała dziewczynka ma przecież imię, pomyślał Brady.

- Tak - odparł.

Kobieta niechętnie uścisnęła mu dłoń.

- Haven zmarnowała swoje życie. Mogła zostać drugą Marią Skłodowską-Curie, ale poświęciła się obcemu dziecku. A przecież powiedziałam jej po wypadku, gdy lekarz oznajmił, że nie będzie mogła mieć dzieci, że powinna być za to wdzięczna losowi. Nigdy jej nie zrozumiem.

Brady'emu serce podeszło do gardła.

- Wypadek? - spytał schrypniętym głosem.

- Nie mówiła panu o tym? Uległa wypadkowi samochodowemu, gdy miała szesnaście lat. Doznała ciężkich obrażeń wewnętrznych.

Owszem, mówiła mu o wypadku, jednak zataiła istotny szczegół.

- I wtedy właśnie okazało się, że nie będzie mogła mieć dzieci?

Doris skinęła głową.

Brady'ego zabolalo, że Haven go okłamała. Jednak nie to było najgorsze. Krajało mu się serce na myśl o tym, że zgodziła się na to, by potraktowali małżeństwo poważnie wyłącznie ze względu na Annę. Nie było mowy o jakimkolwiek uczuciu.

Gdy opuścił dom Adamsów, siedział przez dłuższą chwilę w samochodzie, obserwując zachód słońca. Nagle uderzył z całej siły pięścią w kierownicę.

- Cholera jasna, Haven! - krzyknął na całe gardło. - Dlaczego musiałem się w tobie zakochać?!

ROZDZIAŁ 14

Zegar wybił dwunastą w nocy. Haven była przerażona. Gdzie się podziewał Brady? Przecież miał przylecieć dzisiaj wieczorem. Nie powiedział wprawdzie dokładnie o której, jednak już dawno powinien być w domu.

Serce waliło jej jak młotem. Krążyła z pokoju do pokoju, przeczesując włosy drżącymi ze zdenerwowania palcami. Co chwila zatrzymywała się, by wyjrzeć przez okno, ale na podjeździe było wciąż pusto. Nie była w stanie jeść ani czytać. Nie mogła usiedzieć przed telewizorem ani skupić się na słuchaniu muzyki.

Kilkakrotnie dzwoniła na lotnisko. Dowiedziała się, że wszystkie samoloty z Nowego Jorku przyleciały planowo. Obdzwoniła też wszystkie szpitale, jednak w żadnym z nich nie było Brady'ego Rossa ani nikogo o podobnym rysopisie. Nie odważyła się zatelefonować do kostnicy. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie skontaktować się z Loringami - może oni mieli jakąś wiadomość od niego - ale w końcu się rozmyśliła. Nie chciała ich niepotrzebnie niepokoić.

Doszła do wniosku, że Brady został w Nowym Jorku na noc. Tylko dlaczego jej o tym nie powiadomił? Może nie był w stanie, bo został pobity do nieprzytomności w jakimś zaułku?!

O pierwszej w nocy usłyszała samochód na podjeździe.

Odetchnęła z ulgą - nic mu się nie stało. Niepotrzebnie się zamartwiała.

Niespodziewanie ogarnęła ją złość. Chciała zauważyć cierpko, że pewnie cierpi na zanik pamięci, ale postanowiła się opanować. W końcu wrócił, cały i zdrowy, i to było najważniejsze.

Usłyszała, że otwiera drzwi wejściowe. Poczwała nagłą ochotę, by przytulić się do niego - wprost nie mogła się go doczekać. Gdy wszedł do pokoju, wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, że coś jest nie tak. Miał kamienny

wyraz twarzy i patrzył na nią lodowatym wzrokiem. Wyglądał dokładnie tak jak pierwszego dnia, gdy się poznali.

Wzięła głęboki oddech, po czym odezwała się łagodnym tonem, usiłując ukryć wewnętrzne wzburzenie:

- Jak ci minęła podróż?

- W porządku - wycedził, rozglądając się wokół siebie tak, jakby jeszcze nigdy tu nie był. Chyba rzeczywiście coś się stało, bo zachowywał się przedziwnie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Jestem po prostu zmęczony.

- Zrobić ci coś do jedzenia?

- Nie jestem głodny.

Haven poczuła się nieswojo. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

- Dzwonił Syd. Zieglarowie wycofali pozew - poinformowała go.

- Na pewno jesteś z tego powodu bardzo szczęśliwa - rzucił beznamiętnym tonem.

Naprawdę coś z nim było nie w porządku. Przecież bardzo kochał Annę, dlaczego więc bez entuzjazmu zareagował na tę wiadomość?

- Czy coś się stało? Dlaczego się tak dziwnie zachowujesz?

Brady zmrużył oczy. Był wyraźnie spięty. Haven poczuła skurcz w żołądku.

- Widziałem się dziś wieczorem z twoimi rodzicami. To dlatego zachowywał się tak dziwnie!

- Powiedziałeś im o nas? Brady skinął głową.

- No i jak zareagowali? Wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

- A jak myślisz?

Haven roześmiała się nieszczerze.

- Jak ich znam, nie zrobiło to na nich najmniejszego wrażenia.

- Nigdy jeszcze nie spotkałem takich ludzi - powiedział ochryplym głosem. - Przy nich Zieglarowie to sama słodycz.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi, że zamierzasz ich odwiedzić.

Ostrzegłabym cię przed nimi.

Brady spojrział na nią z wyrzutem.

- Twoja matka opowiedziała mi o wypadku samochodowym. Aż dziw, jak bardzo różnią się wasze wersje.

Haven przeszył lodowaty dreszcz.

- Więc już wiesz, że... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Że nie możesz mieć dzieci - dokończył za nią Brady. - Tak, wiem.

Haven zrozumiała, że stało się to, czego tak bardzo się obawiała: ukrywanie tej jakże istotnej informacji obróciło się przeciwko niej.

- Czy zamierzałaś mi to w ogóle kiedyś powiedzieć?

- Tak - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem.

- Po tym, jak dowiedziałaś się, że Zieglarowie wycofali pozew?

Haven nie była w stanie zaprzeczyć. Gdyby choć przez ułamek sekundy wierzyła, że ma to jakiś sens, spróbowałaby mu wszystko wytłumaczyć. Z twarzy Brady'ego wyczytała, że zupełnie go to nie interesuje.

- Tak - powiedziała cicho.

Zapatrzył się w głąb korytarza. Widać było, jak nerwowo przelyka ślinę.

- Tak myślałem - mruknął.

Wyciągnęła do niego rękę, ale po chwili cofnęła ją.

- Postanowiłaś odejść, tak?

Spojrział na nią zimnym, obojętnym wzrokiem.

- Znajdź mi chociaż jeden powód, dla którego miałbym zostać.

Jedynym argumentem było to, że się w nim bez pamięci zakochała. Ale on najwyraźniej nie odwzajemniał jej miłości. Do tego nie mogła urodzić dzieci,

o których marzył. Gdyby próbowała odwołać się do jego sumienia, posługując się Anną, to nie załatwiłoby sprawy. Pragnęła, by został właśnie z miłości dla niej.

Była bliska płaczu, ale trzymała się dzielnie.

- Masz rację, nie ma najmniejszego powodu, byś został - odparła, unosząc dumnie głowę.

- Ja też tak uważam.

Poczuła ból, jakby ktoś ugodził ją nożem prosto w serce. Przymknęła na moment oczy, po czym spytała:

- A co będzie z Anną? Czy zamierzasz odejść, nawet się z nią nie pożegnawszy?

Brady spojrzał na nią ponuro.

- Oczywiście, że nie... - Urwał na moment. - Zdaję sobie sprawę, że nie mam do tego żadnych praw, ale chciałbym nadal widywać się z Anną. Nie wiem tylko, czy wyrazisz zgodę.

- Dobrze wiesz, że nie musisz o to nawet pytać - odparła przez ściśnięte gardło.

- Dziękuję ci. Pójdę się teraz spakować.

Minął Haven i wspinał się po schodach. Gdy już był na górze, odwrócił się i powiedział:

- Chciałbym, żeby Anna zatrzymała kotki, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Haven skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Gdy Brady zniknął z pola widzenia, przeszła do dużego pokoju. Gloria otarła się jej o nogi. Haven schyliła się bezwiednie i zgarnęła z podłogi wszystkie trzy kociaki. Ściskając je pod pachą, podeszła do okna i rozchyliła zasłony. Zapatrzyła się w ciemności. Choć noc była ciepła, drżała na całym ciele.

Usłyszała kroki Brady'ego na schodach. Szybko zasunęła zasłony i stanęła tak, by nie widział jej twarzy. Nie potrafiła już dłużej skrywać swoich uczuć.

- Dziękuję ci, że pomogłeś mi w sprawie Anny - powiedziała łamiącym się głosem. - Naprawdę jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

- Haven...

Zastanawiała się, czy spostrzegł, jak bardzo jest przygnębiona. Jeśli zamierza ją pocieszać, zacznie krzyczeć z rozpaczą.

- Idź już - odezwała się stłumionym głosem i machnęła na pożegnanie ręką. Czując, że za chwilę straci panowanie nad sobą. Ponieważ Brady nie ruszył się z miejsca, powtórzyła jeszcze raz, tym razem głośniejszym głosem: - Idź już, proszę!

Po chwili usłyszała szczęk zamka w drzwiach wejściowych i zaraz potem odjeżdżający samochód. Osunęła się z jękiem na podłogę, nie zważając na kotki. Skryła głowę w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

Haven szukała pocieszenia w pracy. Również Anna przynosiła jej ukojenie. I choć czas miała wypełniony bez reszty, nadal odczuwała potworny ból w sercu. Zastanawiała się, czy ten ból kiedykolwiek zelżeje.

Minęło siedem dni od pamiętnej rozmowy z Bradym, zakończonej opuszczeniem przez niego domu. Z samego rana do gabinetu wszedł ktoś bez pukania. Haven spojrzała znad sterty papierów - była to Josephine. Zamknęła za sobą drzwi, po czym oparła się o nie plecami. W jednym ręku miała młotek, a w drugim garść gwoździ.

- Co ty wyprawiasz?

- Dziecinko! Dostyc mam już twojego milczenia i tego, że chodzisz z nosem spuszczonej na kwintę. Czekałam, że może sama do mnie przyjdiesz, ale zdaje się, że prędzej kaktus wyrośnie mi na dłoni. Dlatego pofatygowałam się do ciebie. Jeśli nie powiesz mi, co się stało, zabiję drzwi młotkiem i wyrzucę go przez okno. I będziemy tak tu siedzieć, aż się namyślisz. Jasne?

Po minie Josephine widać było wyraźnie, że nie żartuje. Haven zakreśliły się w oczach łzy. Tłumiła je dzielnie od czasu, gdy odszedł Brady. Poczowała nagle nieodpartą ochotę, by zwierzyć się z wszystkiego Josephine.

Zaczęła opowiadać całą historię, przerywając co chwila. Opowiedziała wszystko od początku do końca, to znaczy od momentu, gdy Brady zjawił się w biurze z wiadomością, która spowodowała, że cały jej dotychczasowy świat legł w gruzach, aż do dnia, w którym, odkrył, że Haven nie może mieć dzieci i postanowił odejść. Nie przeoczyła żadnego szczegółu. Pominęła milczeniem jedynie swoje prawdziwe uczucia. Jej miłość do Brady'ego była zbyt cenna i zbyt bolesna, by dzielić się nią z kimkolwiek.

Gdy skończyła mówić, westchnęła z ulgą, jakby kamień spadł jej z serca. Josephine milczała. Musiała przetrwać to, co usłyszała.

- Wiesz, dziecko - odezwała się w końcu - powinnam przełożyć cię przez kolano i dać ci porządnie w skórę.

Haven roześmiała się na samą myśl o tym.

- Ale nie zrobisz tego, prawda?

- Nie bądź tego taka pewna.

- Nigdy nie tknęłaś mnie nawet palcem.

- A szkoda! - powiedziała ze złością Josephine, po czym pokręciła głową - Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego?

Haven zadała sobie to pytanie co najmniej z tysiąc razy, od czasu, gdy Brady odszedł.

- Zrobiłam to dla Anny. Josephine wzięła się pod boki.

- Zabiję go - oświadczyła. Haven spojrzała na nią zdumiona.

- Dlaczego? Przecież Brady nie zrobił nic złego. Oczy Josephine błysnęły wściekłością.

- Uprzedzałam go, że jeśli cię skrzywdzi, będzie miał ze mną do czynienia. Ale mnie nie posłuchał. Rozkochał cię, a potem rzucił. Musi być chyba zimny jak gład.

- Czy tak łatwo mnie rozszyfrować?

- Zapomniałaś, dziecko, że znam cię od pieluch. Nic się przede mną nie ukryje... - Josephine urwała, uprzytomniwszy sobie, że właśnie wyszło na jaw, iż Haven udało się zataić przed nią istotną sprawę. - Przynajmniej nie na długo - poprawiła się.

- Przepraszam cię, Josie, ale mieliśmy istotne powody, żeby nie zdradzać nikomu prawdy. Wybacz mi, proszę.

Josephine odłożyła młotek i gwoździe na półkę z książkami i usiadła na krześle naprzeciwko Haven.

- Oczywiście, że ci wybaczam. A jak to wszystko zniosła Anna?

Haven przygryzła wargi.

- Zdziwiająco dobrze. I pomyśleć, że, decydując się na ślub, zupełnie nie wzięliśmy pod uwagę tego, jaki to może mieć wpływ na nią.

Wciąż nie mogła zrozumieć, jak mogła być tak krótkowzroczna.

- Jest oczywiście bardzo rozczarowana, że Brady już z nami nie mieszka - dodała. - Mam nadzieję jednak, że nie pozostanie jej po tym żaden uraz. Brady dzwoni do niej codziennie. Zaprosił ją w tym tygodniu aż trzykrotnie na obiad.

I za każdym razem, gdy przychodził po małą, traktował Haven tak, jakby była obcym człowiekiem. Bolało to ją chyba jeszcze bardziej niż to, że odszedł.

- Więc zgadzasz się na to, by nadal widywał Annę? Haven skinęła głową.

- On jest dla niej jak ojciec. Kocha ją, a ona kocha jego.

- A jak ty się czujesz w tym wszystkim?

Haven nie zdążyła odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon.

- Sprawa rozwodowa odbędzie się za sześć tygodni, we wtorek - odezwał się w słuchawce Syd.

Haven westchnęła ciężko, modląc się w duchu, by głos jej się nie załamał.

- O której godzinie?

Zrobiła notatkę w kalendarzu, usiłując za wszelką cenę nie dać po sobie poznać, co czuje.

- Udało mi się dowiedzieć, dlaczego Zieglarowie wycofali pozew - powiedział Syd. - Wyobraź sobie, że Brady ich spłacił.

Haven omal nie wypuściła z ręki słuchawki.

- Co takiego?!

- Zapłacił im za to, że wycofają pozew. Zmusił ich też do podpisania zobowiązania, że na zawsze zostawią Annę w spokoju. Aha, i jeszcze coś. Czy czytałaś dzisiejszą gazetę?

- Nie - odparła, zastanawiając się, co to może mieć wspólnego z Zieglarami i Bradym.

- Kiedy będziesz miała chwilę czasu, zajrzyj na czwartą stronę. Jest tam artykuł, który może cię zainteresować.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała wciąż oszołomiona Haven, gdy już odwiesiła słuchawkę.

- W co? - spytała Josephine.

- Brady spłacił Zieglarów. Dlatego wycofali pozew.

Josephine nie odzywała się przez dłuższą chwilę. W końcu spojrzała na Haven.

- Dziecko, mężczyzna, który zrobił coś takiego, jest pełen miłości - oświadczyła.

- Co masz na myśli?

- Czy mam ci to wyjaśnić szczegółowo?

Haven doskonale wiedziała, co usiłuje zasugerować Josephine. Chyba miała na myśli to samo co ona. Skoro Brady potrafił tak bardzo pokochać dziecko, istniała również szansa, że może pokocha i ją. Tak bardzo chciała, by okazało się to prawdą.

Przełknęła głośno ślinę.

- Nie, Josie, nie musisz mi nic wyjaśniać. Wiem, że Brady jest pełen miłości, którą jest w stanie obdarzyć odpowiednią kobietę. Niestety, los sprawił, że tą kobietą nie jestem ja.

- Czy Brady wie o twoich uczuciach?

- Nie.

- Więc skąd ta pewność?

- Ponieważ sam mi o tym powiedział.

W oczach Josephine pojawił się smutek.

- Tak mi przykro, dziecko.

- Mnie też.

Gdy Josephine wyszła, Haven zaczęła przerzucać gazetę w poszukiwaniu artykułu, o którym mówił Syd. Gdy go znalazła, przeżyła szok.

- To żalosne - stwierdził Pete.

Brady zerknął na niego sponad sterty formularzy, piętrzących się na kuchennym stole. Nie zdawał sobie sprawy, że założenie fundacji wiązać się będzie z taką masą papierkowej roboty. Jednak pozwoliło mu to odwrócić uwagę od innych spraw.

- Wiem, że trzeba wypełnić stos dokumentów, ale jak się zabierzemy do tego we dwójkę, jakoś da się to zrobić.

Pete pokiwał głową.

- Nie to mam na myśli. Chodzi mi o ciebie. Wypełnisz jedną linijkę, a potem zaczniesz gryźć pióro, gapiąc się w okno. Posiedzisz tak kilka minut, no i znowu wypełnisz linijkę. I tak w kółko. Zaczyna mnie powoli trafiać szlag.

Brady nie zdawał sobie sprawy, że jego rozkojarzenie jest aż tak widoczne. Starał się bezskutecznie wyrzucić z pamięci wydarzenia ostatnich tygodni. Nie mógł jednak zapomnieć Haven, radości, jaką mu dawała, namiętności, jaką w nim rozpaliała. A także tego, że przy niej ani przez chwilę nie czuł się samotny. Ostatni tydzień dłużył mu się bardziej niż trzy lata, siedem miesięcy i siedem dni spędzone w niewoli.

Za każdym razem, gdy przychodził po Annę, musiał powstrzymać się całą siłą woli, by nie porwać Haven w ramiona. Cierpiał przy tym katusze.

Wszystko było znowu po staremu. I pomyśleć, że przez chwilę łudził się nadzieją, iż w jego życiu coś się zmieni. Nadal nie miał nikogo i niczego, co by do niego należało. Był zupełnie sam. Może to i lepiej.

- To dlatego... że nienawidzę papierkowej roboty. Przytłacza mnie ta cała sterta - mruknął.

Pete parsknął szyderczym śmiechem.

- Chłopie, komu ty to mówisz? Nie ze mną takie numery.

- O co ci chodzi? - spytał ostrożnie Brady.

- Zaczniemy od tego, dlaczego właściwie siedzimy w tej norze?

Brady nie zwierzył się Pete'owi, że jego małżeństwo się rozpadło.

Postanowił po prostu unikać tego tematu tak długo, aż przestanie odczuwać ból na myśl o Haven.

Miał już na końcu języka gotowe kłamstwo. Że tutaj mogą się spokojnie rozłożyć z papierami i zostawić je na następny dzień, dopóki wszystkiego nie wypełnią. Ale zanim wydobył z siebie słowo, zmienił zamiar. Nie mógł dłużej ukrywać prawdy. Poza tym jego przyjaciel i tak się domyślał, że coś nie gra. Uznał więc, że nadszedł odpowiedni moment, by powiedzieć mu, co się stało.

- Siedzimy w tej norze, bo w niej mieszkam. Rozstaliśmy się z Haven.

Pete spojrzał na Brady'ego zaskoczony.

- Kiedy?

- Tydzień temu. - A mam wrażenie, że minęła już wieczność, dodał w duchu.

- Stary, zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Stało się to tak nagle...

- Niezupełnie. Sprawa była przegrana od samego początku.

Pete zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- To długa historia.

Zajął mu niecałe dziesięć minut opowiedzenie wszystkiego od początku do końca. Przedstawił sprawę tak, że rozpad małżeństwa wydawał się całkiem

logiczny, skoro nie był ojcem Anny i spłacił Zieglarów, zapewniając dziecku bezpieczeństwo. Mógł też dzięki temu przemilczeć sprawę swojego uczucia do Haven i faktu, że odrzuciła jego miłość. Ratował w ten sposób swój honor.

- Niezłe zamieszanie - stwierdził Pete. Brady przeczesał ręką włosy.
- Masz rację.
- Co ci strzeliło do głowy? Przecież to był kompletnie poroniony pomysł.
- Zrobiliśmy to dla Anny.
- Założę się, że nie przyszło ci na myśl, że to się tak skończy.
- Oboje nie myśleliśmy zbyt trzeźwo. Pete przyjrzał się Brady'emu

uważnie.

- Co przez to rozumiesz?

Brady'emu stanęły przed oczami pocałunki i namiętne noce.

- Nic takiego - mruknął.
- Kochasz ją, prawda?
- Skąd ten wniosek? - spytał Brady.
- Przypomniałem sobie naszą rozmowę, gdy spytałeś mnie, jak usidlić

Haven.

- Już dawno o tym zapomniałem.
- Dobra, dobra. Nie rozumiem tylko jednego. Skoro ją kochasz, dlaczego od niej odszedłeś? Miałeś przecież w stosunku do niej tyle planów.

Brady wstał i podszedł do okna. Wyjrzał na dwór i zobaczył w dole kilku przedszkolaków mażących kredą na chodniku pod czujnym okiem matek. Dozorca zamiatał ulicę. Ot, kolejny zwykły dzień. Życie toczyło się dalej - niestety bez Haven. Bolało go to diabelnie.

- Czy potrafiłbyś być z Eileen, gdybyś wiedział, że cię nie kocha? - spytał.
- Wolałbym znaleźć się w ringu ze zgłodniałym lwem - odparł Pete.
- Więc chyba rozumiesz, dlaczego jestem tutaj.
- No nie, nie powiesz mi, bracie, że udawaliście, całując się w urzędzie stanu cywilnego. Taką namiętność widuje się tylko w kinie.

- Przyznaję, że czujemy do siebie pociąg fizyczny.

- Czy mówiłeś Haven, że ją kochasz?

Zamierzał powiedzieć jej to po powrocie z Nowego Jorku. Ale poszedł najpierw odwiedzić jej rodziców. I choć zrozumiał wtedy, że Haven go nie kocha, wciąż był skłonny wierzyć, że jest przed nimi jakaś przyszłość. Dopóki nie znalazł się w domu.

Przypomniawszy sobie tamtą noc. Stał bezradnie z torbą w ręku, łudząc się jeszcze nadzieją, modląc się o to, by Haven poprosiła go, żeby został. Nie uczyniła tego. Wręcz przeciwnie, robiła wrażenie, jakby nie mogła się doczekać, kiedy się go w końcu pozbędzie - z domu i ze swojego życia.

Nie pozostawało mu nic innego, jak zaakceptować ten stan rzeczy.

Usiadł z powrotem za stołem i sięgnął po pióro.

- Nie ma o czym mówić, bracie. Haven dała mi wyraźnie do zrozumienia, co do mnie czuje, czy raczej, czego nie czuje. A teraz zabierzmy się w końcu do roboty.

Punktualnie o siódmej, czyli o godzinie, o której Brady przychodził zawsze po Annę, zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Czy Anna jest gotowa? - spytał Brady, stając w progu. Wyraźnie usiłował zachować dystans.

Haven bolało, że traktuje ją jak obcą osobę. Miała nadzieję, że wiadomość, którą miała mu do zakomunikowania, zmieni choć na chwilę jego stosunek do niej.

- Ogląda „Ulicę Sezamkową”. Proszę, wejdź na chwilę. Muszę z tobą porozmawiać w ważnej sprawie.

Spojrzał na nią, wyraźnie zaniepokojony.

- Czy coś się stało Annie?

- Nie, wszystko w porządku - uspokoiła go. - Proszę, wejdź.

Gdy znaleźli się w dużym pokoju, wskazała mu miejsce na kanapie. Sama usiadła obok i przyglądała spódnicy.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać? - spytał. Haven westchnęła ciężko.

- Syd powiedział mi o tym, co zrobiłeś dla Anny. Jestem... Jestem ci za to niezmiernie wdzięczna.

- Nie ma za co. Czy coś jeszcze?

- Tak - odparła i sięgnęła po leżący na stoliku wycinek z gazety. - Chciałam ci pokazać ten artykuł.

Brady zmarszczył brwi.

- Przeczytaj to, proszę.

- „Dochodzenie w sprawie błędów w laboratorium” - przeczytał na głos.

- To laboratorium, w którym robiliśmy test DNA - wyjaśniła. - Z artykułu wynika, że jeden z laborantów pracował niedbale i popełnił mnóstwo błędów... - Zawiesiła na moment głos. - Dzwoniłam do nich. Okazuje się, że właśnie ten pracownik robił twój test.

Brady przeczytał artykuł. Gdy skończył, nie odezwał się, tylko w milczeniu wpatrywał się nadal w tekst.

- Rozumiesz, co to znaczy? Istnieje szansa na to, że Melinda wcale się nie pomyliła i że jesteś ojcem Anny.

Brady zmiął artykuł w kulkę i wściekłym gestem cisnął go w kąt pokoju. Jego agresja zdumiała Haven.

- Przestań się tak poświęcać! - krzyknął na całe gardło.

Spodziewała się różnych reakcji z jego strony - umiarkowanego optymizmu, niedowierzania - ale nigdy nie sądziła, że wpadnie w furję.

Wstała i spojrzała mu prosto w twarz.

- Co się stało, Brady? Co ja takiego zrobiłam?

- Co ty takiego zrobiłaś? - Zaczął wymachiwać jej palcem przed nosem. - Zajęłaś się swoją śmiertelnie chorą przyjaciółką, zrezygnowałaś nawet z pracy, by móc ją pielęgnować. Zastąpiłaś matkę jej dziecku. Wyszłaś za mąż za człowieka, którego nie kochałaś, by chronić to dziecko. A teraz pokazałaś mi

artykuł, który być może mógłbym wykorzystać jako broń przeciwko tobie w walce o Annę. Oto, co zrobiłaś.

- Nie mógłbyś mi zabrać Anny - odparła Haven, zastanawiając się, dlaczego Brady tak się zachowuje.

- Nie? Być może wcale mnie tak dobrze nie znasz. - Spojrzał na nią z pogardą. - Co jeszcze jesteś w stanie zrobić dla Anny?

Haven poczuła, że i w niej wzbiera złość.

- Zachowujesz się, jakbym popełniła jakieś przestępstwo - powiedziała sztywno.

- Uważam, że to zbrodnia udawać świętą. I tak mogą cię kanonizować dopiero po śmierci.

Haven zacisnęła pięści.

- Wcale nie jestem święta - wycedziła przez zęby.

Brady wzniosł oczy do góry.

- Naprawdę? No to powiedz mi, kiedy ostatnio zrobiłaś coś dla siebie? Nie chodzi mi przy tym o kąpiel w wannie.

- Myślałam, że ta wiadomość cię ucieszy! - wybuchnęła po dłuższej chwili milczenia.

Brady odwrócił się do niej plecami.

- Każdy człowiek ma jakieś granice wytrzymałości - stwierdził zrezygnowany.

- Nie rozumiem.

- W tym cała rzecz.

Gdy odwrócił się znowu twarzą do Haven, był już całkiem opanowany.

- Przepraszam cię - westchnął. - Nie powinienem był się tak unosić.

- Nie szkodzi. No to jak? Zamierzasz ponownie zrobić test?

- Nie - odparł bez chwili zastanowienia.

- Ale... dlaczego? Czyżbyś nie chciał znać prawdy?

- To, czy Anna jest moim dzieckiem, czy też nie, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie muszę sobie niczego udowadniać.

Skoro tak, zastanowiła się Haven, to dlaczego tak go poruszył fakt, że nie mogę mieć dzieci? Zrodziła się w niej nagle myśl, która spowodowała, że zaświtał jej promyk nadziei. A może myliła się przez cały ten czas? Może jednak Brady coś do niej czuł?

Myślała, że dała mu wyraźnie odczuć, że go kocha. Ale teraz nie była już tego taka pewna. Uprzytomniła sobie, że to zawsze on robił pierwszy krok.

Josephine miała rację. Brady był człowiekiem pełnym miłości. Haven uznała, że najwyższa pora upomnieć się o swoją część.

Spojrzała na Brady'ego i poczuła, że traci odwagę. A jeśli była w błędzie? Jeśli jej nie kochał? Czy warto ryzykować? Przecież mogła się ośmieszyć.

A jeśli nawet się wygłupisz, to co z tego? - podszepnął jej wewnętrzny głos. Przecież korona ci z głowy nie spadnie.

Zbyt wiele lat czekała cierpliwie, jak grzeczna dziewczynka, aż los ją wynagrodzi. Okupiła to jedynie samotnością.

Pora iść za głosem serca. Podjąć ryzyko. Przestać w końcu chować głowę w piasek.

- Spytałeś mnie, kiedy ostatni raz zrobiłam coś dla siebie - powiedziała łagodnie. - Za każdym razem, gdy cię dotykałam, całowałam, gdy się z tobą kochałam, robiłam to dla siebie.

Brady milczał, Haven jednak mówiła dalej:

- Nie wiem, czy się domyślasz, ale zakochałam się w tobie. I łudzę się nadzieją... - Przygryzła wargi. - Mam nadzieję, że być może i ty jesteś w stanie pokochać mnie choć troszkę.

Nadal nie reagował. Haven zadrżało serce, pomyślała, że jednak się pomyliła.

- Przepraszam, nie miałam zamiaru tak cię przypierać do muru - mruknęła i odwróciła się do niego plecami.

Niespodziewanie zagroził jej drogę. Gwałtownym ruchem objął ją swoimi dużymi, silnymi ramionami i trzymał tak, jakby już nigdy nie miał jej puścić.

- Chyba mi się śni - wyszeptał zdławionym głosem.

- Nie, wcale ci się nie śni - odparła Haven. Objęła go za szyję i spojrzała na niego z czułością.

- Uprzedzam cię, że już nigdy nie pozwolę ci odejść - oświadczył.

- Nie szkodzi. Zamierzam spędzić w twych ramionach co najmniej siedemdziesiąt lat - odparła.

Brady pochylił się i pocałował ją namiętnie, aż do utraty tchu.

- Kocham cię - wyznał w końcu, patrząc na nią wzrokiem gorętszym niż słońce w upalny letni dzień.

Mogłaby słuchać tych słów bez końca.

- Powiedz to jeszcze raz - poprosiła.

- Kocham cię nad życie.

- To dlaczego ode mnie odszedłeś? Brady zmrużył oczy.

- Cholera! Myślałem, że tego nie przeżyję. Byłem po prostu przekonany, że mnie nie kochasz. I że dlatego zataiłaś szczegóły wypadku. Bolało mnie to jak diabli.

Jakże znajome było jej to uczucie.

- A ja myślałam, że odszedłeś, bo dowiedziałeś się, że nie mogę mieć dzieci. Wiedziałeś już wtedy, że Anna nie jest twoją córką. Nie miałeś więc powodu zostać dłużej. Ponieważ bałam się, że możesz tak zareagować, zataiłam prawdę.

Brady spojrzał na nią z wyrzutem.

- Zapomniałaś, że jestem adoptowanym dzieckiem? Niewiele mi mówią więzy krwi. Będziemy mieć dzieci, Haven. Po prostu je adoptujemy. Dzieci, którym jesteśmy bardzo potrzebni. Tak jak one nam.

Haven się rozpląkała. Brady ujął delikatnie w dłonie jej głowę i zaczął scałowywać łzy z policzków. Potem zaczął całować ją w usta, długo i namiętnie, aż smutek znikł z jej serca - na zawsze.

- Wujku Blady - usłyszeli głos Anny - ty całujesz Binny.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Zgadza się, maluchu.

Anna podbiegła do niego i zaczęła go szarpać za nogawkę.

- Pocałuj mnie tes - zażądała.

Brady chwycił Annę na ręce, śmiejąc się, i unióś ją wysoko w górę.

- Z przyjemnością - powiedział i pocałował ją w czoło. Anna pokręciła mocno głową.

- Nie, nie tak. Pocałuj mnie, plose, tak jak Binny.

Brady spojrzał na Haven rozbawiony.

- Przykro mi, maluchu, ale tak całują się tylko małżeństwa.

- Wyślicie znowu za mons?

- Tak.

- Bendzies znowu z nami mieskać, wujku Blady?

Brady, z Anną na rękę, przytulił do siebie Haven, patrząc na nią tak czułym wzrokiem, że wreszcie zrozumiała, iż lata samotności minęły bezpowrotnie.

- Oczywiście, że tak. I już nigdy was nie opuszczę.

